

LISICKI ROZMAWIA Z KS. KARD. MÜLLEREM

O muzułmańskich imigrantach,
homoseksualistach i sytuacji Kościoła



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 34/286 20-26 SIERPNIA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PZPR w życiorysie
– w ocenie Semki

JAN OLSZEWSKI
M.IN. O TYM,
KTO POWINIEN
STANĄĆ NA CZELE
SĄDU NAJWYŻSZEGO



Dlaczego młodzi artyści
nie chcą walczyć z PiS?



FACEBOOK NIE LUBI PRAWICY

Nowa szefowa polskiego FB nie kryje
swych lewicowych poglądów

ISSN 2259-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 88,5 tys. egzemplarzy

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

PAKIET KSIĄŻEK
J. PIEKARA „ALICJA”
ORAZ J. GRZĘDOWICZ „AZYL”

Cena: 142 zł

Oszczędność: 112 zł

+



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE KSIĄŻKA, BEATA SŁAWIŃSKA
– WYWIAD Z PŁK. WITALISEM SKORUPKĄ
„JA ORZEŁ. Z KEDYWU DO CELI ŚMIERCI”

Cena: 270 zł

Oszczędność: 219 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 479b9cb77c



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Lepszy dżem niż armia

Możliwości są trzy. Pierwsza: Rafał Trzaskowski otrzymał od Grzegorza Schetyny tajną misję i robi wszystko, żeby wybory w Warszawie przegrać. Dwa: jest skrajnie nieudolny i naprawdę nie rozumie, co robi. Trzy: zapatrzył się na przykład Bronisława Komorowskiego i postanowił pokazać, że też potrafi szybko, z gracją i nieoczekiwanie przegrać. Nie umiem powiedzieć, która z tych hipotez jest prawdziwa. Jedno jest wszakże pewne – kandydat Platformy na prezydenta Warszawy systematycznie traci poparcie, a jego kolejne posunięcia to ciąg gaf i wpadek. Nic dziwnego zatem, że według ostatnich sondaży jego przewaga nad Patrykiem Jakim topnieje. Być może już teraz

15 sierpnia w Warszawie: „U dominikanów na Freta – Jarmark św. Jacka – mały, ale przytulny. Można poszperać w książkach, kupić dżem i porozmawiać z sąsiadami. Świetna alternatywa dla patetycznej atmosfery wielkiej defilady”. Naprawdę trudno uwierzyć, że to napisał sam kandydat PO, a nie jakiś złośliwy troll, który się pod niego podszty. To, co kandydat Trzaskowski nazywa z niechęcią, może ironią „patetyczną atmosferą wielkiej defilady”, było największą prezentacją siły polskiej armii po 1989 r. Poza tym, co z punktu widzenia polityka walczącego przecież o masowe poparcie powinno być szczególnie ważne, defiladzie przyglądało się grubo ponad 100 tys. osób! Tymczasem kandydat PO postanowił całe wydarzenie zlekceważyć i zbojkotować. Dlaczego? Co chciał przez to pokazać? Do kogo kierował swoje słowa?

Trudno mi wskazać kogokolwiek poza wąską grupą zielonych, pacyfistów, alterglobalistów i lewaków, dla których wojsko i armia są z natury podejrzane. Podobnie jak niepodległość, suwerenność, naród czy państwo. Taka grupa wyborców w Warszawie istnieje, owszem, tyle że, na szczęście, to raptem kilka procent. Barwna, krzykliwa, mająca wpływ w redakcjach „Krytyki Politycznej” czy „Gazety Wyborczej”, ale to wszystko. Pomysł, żeby 15 sierpnia – dzień pamięci nie tylko o polskim wojsku, lecz także o najbardziej dramatycznym i zwycięskim dniu w dziejach ostatniego stulecia Polski – spędzić na kupowaniu dżemu, jest zatem cokolwiek dziwaczny.

Może być jednak i tak, że Rafał Trzaskowski stał się ofiarą zjawiska, które już kilka razy opisywałem: obraca się wyłącznie w środowisku radykalnych

antypisowców i całkowicie uległ ich mentalności. Byłby wówczas kandydat PO pierwszą i najbardziej tragiczną ofiarą nowej sekty, która głosi, że wszystko, co robi PiS, jest złe, straszne i zgubne. A więc także organizacja defilady musi być zła i niegodziwa. A zatem także wojsko, które zamiast zbuntować się przeciw dowódcom, obalić ministra obrony i pozbyć się prezydenta – wszystko są to przecież przedstawiciele autorytarnego reżimu – maszeruje sobie jakby nigdy nic i jakby nigdy nic budzi entuzjazm zgromadzonych. Tak, z punktu widzenia sekciarzy 15 sierpnia naprawdę był skandalem: na trasie przemarszu zgromadziło się więcej widzów niż w czasie wszystkich demonstracji w obronie demokracji razem wziętych!

Tylko, co też nie jest wielkim odkryciem, tak radykalna postawa antypisowska cechuje wyłącznie wąskie, wewnętrznie spójne i zdeterminowane grupy. Kandydat PO na prezydenta Warszawy może oczywiście takie emocje wykorzystywać, ale sam, jeśli chce wygrać, nie powinien im ulegać. Tymczasem Rafał Trzaskowski najwyraźniej tego nie rozumie. I dlatego zachowuje się niemal jak swoją własną karykatura, bohater innej rubryki tygodnika „Do Rzeczy”, opisującej zmagania ze światem i z rzeczywistością „młodych wykształconych i z wielkich ośrodków”.

Cóż, wszystko, co napisałem, zakłada, że najbardziej prawdopodobne są hipotezy druga i trzecia. A może jednak jest i czwarta? Cała kampania Rafała Trzaskowskiego byłaby dowodem na przebiegły plan Grzegorza Schetyny, który postanowił pozwolić skompromitować się swojemu partyjnemu konkurentowi na własne życzenie. Po prostu dał mu mówić. Ale chyba przeciwniam szefa PO. ©

RYSUNEK TYGODNIA



cieszą się takim samym poparciem, co oznacza, że kandydat PiS może myśleć o wygraniu I tury wyborów.

I wszystko to naprawdę na własne życzenie. No chyba że ktoś, w co nie wierzę, przystawia Trzaskowskiemu pistolet do głowy i każe wypisywać kolejne głupoty. Jedną z największych ostatnio to wytłumaczenie, dlaczego nie wybrał się na defiladę

TEMAT TYGODNIA

18 MACIEJ PIECZYŃSKI

CENZURA W PRAWICĘ

Dyskryminacja w imię różnorodności

21 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PRYWATNY TOTALITARYZM

24 ŁUKASZ WARZECHA

LEWACKIE SCHIZY

KRAJ

28 KAMILA BARANOWSKA

TUSKU, MUSISZ?

Ostatnia nadzieja opozycji

32 PIOTR SEMKA

GRA W CZERWONE

35 ROZMOWA Z JANEM OLSZEWSKIM

SĘDZIOWIE SN DOKONALI ŚWIADOMEJ MANIPULACJI

38 WOJCIECH WYBRANOWSKI

ROBERT BIEDROŃ – MALOWANY PREZYDENT

40 MARCIN MAKOWSKI

DLACZEGO NIE CHCĄ ŚPIEWAĆ O KONSTYTUCJI

42 ŁUKASZ ZBORALSKI

PIOTR N. I INNI

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ

PASJE I FANTAZJE MISTRZA HIERONIMA „Bosch. Zbliżenia” Till-Holgera Borcherta

48 PIOTR GOCIEK

KOMU WOLNO ZMIEŃC KOLOR

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE



56 ROZMOWA Z KARD.

GERHARDEM L. MÜLLEREM

KULT POZORNEJ WOLNOŚCI I JEGO SKUTKI

O sytuacji Kościoła,
dialogu z islamem
i sile tradycji

62 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

„WIDZIAŁEM PRAWICOWE ZOMBI”

64 EWA POLAK-PAŁKIEWICZ

GDY CZERWIEN PŁOWIEJE W ZIELEŃ

HISTORIA

68 PIOTR ZYCHOWICZ

PORZUCENI PRZEZ POLSKĘ

81. rocznica operacji polskiej NKWD

ŚWIAT

74 OLIVIER BAULT

NOWOCZESNE UWIKŁANIE

Problemy prezydenta Macrona

78 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

ZNACZĄCE SAMOBÓJSTWO

EKONOMIA

80 STEFAN SĘKOWSKI

OLIGARCHA U WŁADZY

Kto stanął na czele czeskiego rządu

84 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

POLSKA NA LADZIE

LATO „DO RZECZY”

88 JOANNA BOJAŃCZYK

MIASTO IDEALNE

Sopot – nadmorska oaza

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

PODSTĘPNA BIAŁACZKA

Nowotwory krwi

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...
2018 rokiem Zbigniewa Herberta

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ
GODZ. 20.00

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL



PRZEMYK

A. GINTROWSKA

J. GINTROWSKA

KILJAŃSKI

DRAPAŁA

NAPIÓRKOWSKI

NIEWIADOMSKI

SZERSZEŃ

STASZCZUK

STOKŁOSA

ORAZ

ORKIESTRA
TEATRU WIELKIEGO
W POZNANIU
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOSY

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa

POLSKA
KULTURA
ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

MECENAS KONCERTU



PARTNER



PATRONI MEDIALNI

wprost

gazeta

TVP

GLÓŚ
WIELKOPOLSKA



Bank Polski

WSPÓŁORGANIZATOR



eprasa.pl 479b9cb77c

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w listach m.in. o sądach w Niemczech oraz programach socjalnych w Polsce. Listy przyjmujemy pocztą tradycyjną lub pod adresem e-mailowym: listy@dorzeczy.pl.

Wzór państwa prawa?

W Niemczech też doszło do przepychanki między władzami politycznymi a sądowymi. Sądy odniosły zwycięstwo nad rządem i nad zdrowym rozsądkiem. Sami A., były ochroniarz Osamy bin Ladena, został deportowany do Tunezji. Wedle wyroku sądu administracyjnego w Gelsenkirchen – nielegalnie. Sąd zakazał wydalenia mężczyzny do tego kraju m.in. z obawy, że będzie tam torturowany [...]. Niewykluczone, że zostanie sprowadzony do Niemiec.

Politycy i sędziowie zagubili się w interpretacji praworządności. Rzecznik związku zawodowego policjantów wskazuje na absurd, jakim byłoby świadome sprowadzenie do kraju terrorysty, na którym ciąży kilkanaście zarzutów.

I to ma być wzór dla nas w pojmowaniu państwa prawa?

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji



Czy Polskę grozi bankructwo?

Z zainteresowaniem przeczytałam w numerze „DRz” 30/2018 celną artykuł Macieja Pieczyńskiego o TVN. Rzeczywiście to najgroźniejsza opozycja, która rządzi duszami 50 proc. Polaków. Zgadzam się również z Piotrem Semką („Bez suspensy i bez pokory”, „DRz” 30/2018) w sprawie niepokojącej sytuacji w Kościele katolickim. Niepokoi mnie również rozkręcana wciąż przez obecną ekipę roszczeniowość, która sprawia, że Polska traktowana jest jak kawał sukna do rozdzierania.

W mediach rządowych forsowana jest opinia o wspaniałym rozwoju Polski i nowych miejscach pracy, które obniżyły znacząco bezrobocie. Rozglądam się wokół po mojej prowincjonalnej okolicy, ale żadnych istotnych zmian w gospodarce nie widzę. Żadnych nowych firm, żadnych powrotów z zagranicy, żadnych nowo zatrudnionych – raczej odwrotnie. Ci, którzy pracowali, pracują jeszcze więcej; ci, którzy udawali, że szukają pracy, przestali się rejestrować. Widzę natomiast duże zmiany zachowań społecznych.

Zawsze istniała grupa ludzi, którzy pracują tylko wtedy, gdy nie są zaspokojone ich podstawowe potrzeby [...]. Otóż spora grupa takich osób ostatnio otrzymała w różnej formie sporo wypłat socjalnych lub unijnych, więc przestali szukać pracy, co poprawiło statystyki bezrobocia, a pogorszyło sytuację sadowników, matych firm budowlanych i leśników, którzy zatrudniali tę grupę osób. Statystyki bezrobocia poprawiły również matki w rodzinach wielodzietnych, głównie wiejskich, które przestały szukać pracy poza domem, ponieważ obniżyłoby to ich zasiłki na dzieci.

Wzmózione zakupy odbiorców „500+” zmieniły dane statystyczne, które odczytywane są jako rozwój gospodarczy, którego faktycznie nie widać. Dodatkowe pieniądze na rynku przełożyły się na zakup żywności, mebli, aut, remonty domów, usługi rozrywkowe. To bardzo dobrze, ale to tylko chwilowy efekt 20 mld rocznie na rynku. Żadna nowa jakość dla kraju z tego nie powstaje, bo rząd daje pieniądze za zakup towarów sprowadzanych z zagranicy. Oczywiście cieszę się, że pieniądze te trafiają do rodzin, zamiast do mafii, jak za PO PSL, ale nie zmienia to faktu, że rachunek wydatków państwa zostaje bez zmian, bilans zysków i strat przy obecnym i poprzednim rządzie się zeruje [...].

Ja rozumiem, że w ciągu kilku lat nie naprawimy tego, co zostało wyprzedane i zniszczone, tylko obawiam się, że propaganda sukcesu, którą uprawia obecny rząd, sprawi, że rozkręcone zostaną roszczenia socjalne do takich rozmiarów, że znów stracimy niepodległość, tym razem z powodu bankructwa, tak jak Grecja. Może więc przypomnieć 10. przykazanie: „Nie pożądam rzeczy bliźniego swego”, zamiast kierować się komunistyczną zasadą: „Każdemu według jego potrzeb”, bo to już przerabialiśmy?

**Pozdrawiam redakcję
Lucyna**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenciekiewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Coś (*Brukseł*), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk**
(*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sekowski**,
Teresa Stylińska, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torasiński**,
Matthew Tymmand, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Tomasz Wróblewski, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzry**,
Damian Cygan, **Karol Gac**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz**
Maranowski (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójcisz**, **Włodzisław Zakrzewski**
Fotoreporter: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Fotolia**, oprac. graf. **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisicki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż):

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 88,5 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów

oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego

wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów

opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko

za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów

prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Odeszła królowa soul

Na liście najlepszych wokalistów wszech czasów magazynu „Rolling Stone” zajmuje pierwsze miejsce. Lepsza od Presleya, Lennona, Jaggera... Aretha Franklin, niekwestionowana królowa soul, zmarła 16 sierpnia w wieku 76 lat.

Przyszła na świat 25 marca 1942 r. w Memphis. Jej matka, Barbara Vernice Franklin, była pianistką i wokalistką, a ojciec Clarence LaVaughn Franklin – pastorem i obrońcą praw człowieka. Matka przyszłej gwiazdy zmarła, gdy Aretha miała 10 lat. W chórze taty zaczynała swoją przygodę ze śpiewaniem. W domu pastora bywały gwiazdy gospel. To ukształtowało pierwsze lata kariery Franklin.

W wieku 14 lat miała już za sobą pierwsze studyjne nagrania i koncerty gospel, a w wieku 19 lat podpisała pierwszy kontrakt z dużą wytwórnią. Na sukces musiała jednak poczekać. Ten przyszedł pod koniec lat 60., gdy artystka związała się z wytwórnią Atlantic Records. To wtedy jej niesamowity mezzosopran został doceniony i pojawiły się pierwsze głosy,



FOT. TOPIC/PHOTO FORUM

że oto mamy królową soul. A kiedy singiel „Respect” królowała na listach przebojów i zdobył dwie nagrody Grammy – nikt nie miał już co do tego wątpliwości.

W ciągu całej kariery sprzedała 75 mln płyt, zdobyła 18 nagród Grammy, w 1987 r. jako pierwsza kobieta znalazła się w Rock and Roll Hall of Fame.

Prezydent George W. Bush w 2005 r. uhonorował ją najwyższym cywilnym odznaczeniem Stanów Zjednoczonych – Prezydenckim Medalem Wolności.

Zmagała się z nadwagą. Od 2010 r. miała wiedzieć, że cierpi na raka trzustki. Swoje problemy ze zdrowiem starała się ukrywać, dementowała medialne doniesienia o nowotworze. Jednak w ostatnich latach ograniczała występy sceniczne. Ostatni koncert zagrała w sierpniu 2017 r. Widać było, że pogłoski o chorobie mogą być prawdziwe. W listopadzie ubiegłego roku zaśpiewała na gali fundacji Eltona Johna wspierającej walkę z AIDS. Ostatni raz publicznie.

13 sierpnia przyjaciel rodziny Roger Friedman poinformował o ciężkim stanie Arethy Franklin i w imieniu najbliższych poprosił fanów o modlitwę. 16 sierpnia matka chrzestna Whitney Houston zmarła. Rodzina wydała oświadczenie, w którym napisano, że jest to jeden z najmroczniejszych dni w ich życiu. W historii muzyki również. © © **Radosław Wojtas**

REKLAMA

POLSKIE
RADIO

Lato z radiem FESTIWAL

wstęp wolny

Brodka	Coma	Fisz	Emade	Tworzywo
Kortez	Król	MaJLo	Ørganek	
Oxford Drama	Rebeka	Smolik //	Kev Fox	
Tulia	Barbara Wrońska	xxanaxx		
Krzysztof Zalewski	Daria Zawiałow			

26 sierpnia
Gdynia, Skwer Kościuszki
godz. 13.00 - 24.00

organizatorzy

więcej na:
latozradiem.pl



NA PIERWSZY OGIEŃ

Belfast w epoce postheroizmu



PIOTR SEMKA

Na Zielonej Wyspie byłem już parę razy, ale dopiero teraz udało mi się odwiedzić jej brytyjską część – Irlandię Północną.

„Belfast, Belfast!” – śpiewał kiedyś zespół Boney M., wzywając mieszkańców stolicy Ulsteru do zakończenia orgii przemocy. Zdjęcia z płonących ulic Londonderry oglądaliśmy w latach 70. jako symbol religijnej nienawiści.

Dzisiaj Belfast jest dość spokojnym miastem. Owszem, dzielnice katolickie od protestanckich często dzielą wysokie, ceglane mury, a efektowne murale wciąż bądź bojowników IRA bądź wojowniczych oranżystów. Jednak Belfast wyrwał się już ze spirali nienawiści. Nowym symbolem miasta jest supernowoczesne muzeum ku czci zbudowanego tu statku „Titanic”. Może was zaskoczę, ale do Belfastu przyjechałem w innym celu. Od czasu, gdy wszedłem w skład rady gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej, zawsze staram się obejrzeć za granicą muzea poświęcone ostatniej wojnie.

W Belfaście jest to Northern Ireland War Memorial. Jeśli ktoś myśli, że Ulster w czasie wojny był

zaczynnym miejscem, to się grubo myli. Luftwaffe z wyjątkową zajądłością bombardowała tutejsze, liczne stocznie. Niemieckie bomby zniszczyły 60 proc. zabudowy miasta. A Ulsterczycy wojowali na wszystkich brytyjskich frontach. Jest więc o czym opowiadać.

Gdy dotarłem do War Memorial, odkryłem, że jest to muzeum składające się z jednej dużej sali. Owszem, w zapoczątkowanym w 1963 r. muzeum zgromadzono dużo ciekawych pamiątek, ale ekspozycja z wypłowiałymi już nieco manekinami, ubranymi w mundury brytyjskie, wygląda jak z lat 70. Placówka nie pachnie pieniędzmi. Bilety sprzedawał leciwy weteran w typowym kombatanckim stroju – ciemna marynarka z baretkami wojennych odznaczeń i szare, nieco już znoszone spodnie. Ekspozycję dzielą lata gwiazdne od nowoczesnych technik używanych w muzeum „Titanica”.

Przypomniał mi się klimat polskich muzeów Armii Krajowej, które nasi kombatan ci spontanicznie zakładali na początku lat 90. Były tak samo niedofinansowane, tak samo utrzymywane z niewysokich

dotacji. Zupełnie lekceważone przez Unię Wolności czy SLD.

Tak było przez długie lata, zanim w 2004 r. w Warszawie powstało Muzeum Powstania Warszawskiego, a po nim kolejne nowoczesne placówki.

W Belfaście najwidoczniej nie pojawił się ktoś w rodzaju Lecha Kaczyńskiego, który w 2002 r. rąbnął pięścią w stół i po wygranych wyborach w stolicy zdecydował, że w ekspresowym tempie musi powstać nowoczesne muzeum. I zając się tym mają nie kombatan ci stojący nad grobem, ale grupa młodych fachowców. Tymczasem, jak się zdaje, w Belfaście panuje raczej epoka postheroizmu. Odpowiednie instytucje coś tam odpalają ulsterskiemu War Memorial, ale tyle, by konserwować ekspozycję pamiągającą lepsze lata.

Wychodząc z wystawy, chylę głowę, ściskam nieco rozedrganą z racji wieku rękę starego weterana. Europa lat schyłku jego życia uważa upamiętnianie wojennego wysiłku za coś mało ważnego.

Jakiś fircyk w magistracie uznał pewnie, że War Memorial to kłopotliwa pamiątka po imperialnej przeszłości. ©©



FOT. STEFANO RELLANDINI/REUTERS/FORUM

RUNĄŁ WIADUKT
W GENUI

Na włoskiej autostradzie A10 w Genui zawaliła się główna część wiaduktu mierząca ponad kilometr. Do tragedii doszło we wtorek 14 sierpnia. W momencie katastrofy znajdowało się tam 30–35 samochodów osobowych i kilka ciężarówek. Wiadukt runął z wysokości ok. 50 metrów na tory kolejowe, budynki mieszkalne i przemysłowe. Do końca ubiegłego tygodnia służby ratownicze wydobyły 39 ciał. Szacowano, że pod gruzami znajdować może się jeszcze nawet 20 osób. (luz) ©©

„BRYGADA WSCHÓD”
ZNOWU GROZI

Tajemnicza „Brygada Wschód”, która przyniosła się do wysadzenia budynku na osiedlu Sami Stok w Bielsku-Białej, wystosowała list, w którym grozi kolejnymi zamachami wymierzonymi w developerów. Teraz grupa (lub osoba) podająca się za ekologów grozi wysadzeniem kolejnych budynków: „Każdy budynek na »Trzech Lipkach«, który powstanie wbrew zakazowi dalszej zabudowy tego, wyleci w powietrze razem z okupującymi go »dzikimi lokatorami«, w najmniej oczekiwanym przez Was momencie” – grożą ekoterrorysty. (ww) ©©

STRAŻNIK PAMIĘCI

2018

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



VI EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl
lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY



niepodległa | KRAJOWA
KONFERENCJA ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



WSPÓŁORGANIZATOR



PARTNER STRATEGICZNY



SPONSOR



PARTNERZY



eprasa.pl 479b9cb77c



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rzucić to wszystko...

Podczas gdy opozycja totalna i była prezes Gersdorf usiłują ściągnąć na Polskę interwencje wszelkich możliwych zagranicznych gremiów „w obronie Sądu Najwyższego”, w bratniej Ameryce stanowy parlament Wirginii Zachodniej rozpoczął bezprecedensową procedurę usunięcia całego składu sądu stanowego.

W kraju cywilizowanym pan prezes wyleciałby na zbite siedzenie, a jego trybunał zostałby rozgoniony

Zarzuty wydają się błahe w porównaniu z tym, do czego przyzwyczaili nas polscy sędziowie. Żaden z sędziów Wirginii Zachodniej nie wydał wyroków porównywalnych z ustanawianiem kuratorów dla 140-latków ostatni raz widzianych w 1943 r. w warszawskim getcie,

z uniewinnieniem złapanej na gorącym uczynku posłanki-lapówkary czy z odrzuceniem ekspertyzy grafologa stwierdzającego fałszywość podpisu, na podstawie którego przejmowano nieruchomości, jako „nic niewnoszącej do sprawy”. Żaden sędzia Wirginii Zachodniej nie został nagrany podczas dyktowania koledze z terenu, jak ma poprawić wniosek kasacyjny, bo jest „na granicy odrzucenia”, żaden nie wyprowadził z sądu pieniędzy pod pozorem zapłaty fałszywym biegłym, jak sędziowie z Krakowa.

Takie rzeczy w USA, gdzie sędziowie nie są zamkniętą, uprzywilejowaną kastą, wybierającą się we własnym gronie i przed nikim nieodpowiadającą, byłyby w ogóle nie do pomyślenia.

Sędziowie Wirginii Zachodniej pozwolili sobie defraudować publiczne fundusze na zakup nieprzystługujących im luksusów. A trzech z nich posunęło się do

złamania przepisów, aby podnieść pensje swym faworytom powyżej wyznaczonego ustawą stanowej legislatury limitu.

Przekładając to na polski: przewinienia ich wyczerpują się na poziomie wyłudzenia przez prezesa Rzeplińskiego i jego kolegów nienależnych ekwiwalentów urlopowych. W kraju cywilizowanym za samo to pan prezes, u nas przez niektórych nominowany na autorytet nie tylko prawniczy, lecz także moralny, wyleciałby na zbite siedzenie, a jego trybunał zostałby rozgoniony.

Nie wiem, czy bezprecedensowy „impeachment” całego sądu stanowego uda się do końca, ale samo to, że został podjęty, budzi rozrzewnienie. I choć wiadomo, że to już nie ta Ameryka co dawniej, przed inwazją politycznej poprawności, ma się ochotę, tak jak w starym kawale, westchnąć: „Ech, rzucić tak to wszystko – i do Wirginii Zachodniej!”. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Faszyzm wszędzie

Komisja Europejska oraz Amnesty International ewidentnie zaspęły. A może to szok i niedowierzanie przyczyniły się do braku reakcji tych szlachetnie bezstronnych politycznie instytucji na skandaliczne wydarzenia, które miały miejsce w Poznaniu. Wszak zaledwie kilka dni temu środkiem tego pięknego miasta pognano, ku radości faszystowskiej gawiedzi, zakutych kajdanami, posiniaczonych sympatyków ruchu LGBT. Szli, ślaniając się na nogach, szczuci owczarkami – a jakże! – niemieckimi, bici pałkami przez neonazistowskich bojówkarzy, a wszystko to przy aplauzie rzucających kamie-

niami sympatyków partii rządzącej. Historia wszak zapamięta kilku tęczyowych śmiałków, którzy ginąc pod ciosami siepaczy władzy, ostatnim tchem wykrzyczeli: „Wolność, równość, tolerancja”.

Co mówicie? Że nie tak? Że w „PiS-owskim państwie” nikt paradujących w Poznaniu członków homoseksualnej mniejszości nie napadł, nie obraził? Że ich marsz pomaszerował przez miasto, nie doświadczając żadnej agresji, a reakcje, które wzbudzał wśród gapiów, to: a) zaciekawienie, b) obojętność, c) rozbawienie, przy czym ta ostatnia była najczęstsza, bo trudno się nie śmiać na widok

mężczyzny z biustonoszem na głowie krzyczącego, że wszyscy jesteście tacy sami. Że policja w „PiS-owskim państwie” dbała o bezpieczeństwo aktywistów LGBT? Że, owszem, pojawili się i przeciwnicy afirmacji homoseksualizmu, ale pokrzykali swoje hasła i rozeszli się do domów?

Niewiarygodne. Wszak lewicowo-liberalne periodyki już trzeci rok straszą, że faszyzm wszędzie, galopująca homofobia i kaczystowska nietolerancja. To jak to tak? Uwaga, podpowiadam narrację: PiS-owska władza jest tak nieudolna, że nawet wprowadzając faszyzm, robi to dokładnie odwrotnie. ©©

NOTATNIK MALKONTENTA

Czerwona pigułka, niebieska pigułka



ŁUKASZ WARZECHA

Matrix” braci Wachowskich (dziś podobno sióstr, ale to osobna bajka), choć liczy sobie już 19 lat, jest dziełem ponadczasowym. Tym, którzy mieli pecha nie widzieć, przypomnę: po wojnie, która zniszczyła ziemię, ludzkość żyje pozornie beztrosko w wirtualnym świecie, stworzonym przez maszyny. W rzeczywistości ludzie, zgromadzeni w gigantycznych wylęgarniach, pełnią wyłącznie funkcję naturalnych baterii zasilających wspomniane maszyny. Sztuczny świat nazywa się Matrix (czyli Matryca). Tam

Niektórzy z nas żyją w Matriksie, tyle że politycznym. O jego podtrzymanie dbają rządzący

wszystko wygląda jak w początkach XXI w. Życie toczy się normalnie, tylko czasem, gdy ktoś okazuje się kłopotliwy, system musi interweniować i wtedy zaczynają się dziwaczne rzeczy.

Niektórzy z nas również żyją w Matriksie, tyle że politycznym. O jego podtrzymanie dbają rządzący. W sztucznym świecie naprzeciwko siebie stają odwieczne siły dobra, walczące ze smokiem postkomunizmu, oraz siły zła, uosabiające ów postkomunizm. To bardzo wygodny system, w którym

zwolennicy partii rządzącej łatwo i bez wysiłku mogą się poczuć moralnie lepsi od oponentów.

Zasem tylko – całkiem tak jak w filmie Wachowskich – w Matriksie następuje jakaś awaria i przez moment przebija w tle prawdziwa, znacznie bardziej skomplikowana rzeczywistość. Tak dzieje się np., gdy o reformie wymiaru sprawiedliwości, która ma zrywać z dziedzictwem komuny, opowiada ze swadą PRL-owski prokurator Piotrowicz. Albo wtedy, gdy w słowach stanowczego potępienia o Ewie Gawor jako pracownicy systemu bezpieczeństwa w PRL opowiada bliski dziś PiS Marek Król – wieloletni członek PZPR, do samego końca tej partii. Tutaj nie wytrzymał nawet bliski współpracownik Patryka Jakiego Sebastian Kaleta, pisząc na Twitterze, że w tych sprawach wiarygodność Króla jest zerowa.

W „Matriksie” kluczem do wydostania się z iluzyjnej, acz wygodnej niereczywistości było połknięcie czerwonej pigułki. Alternatywą była pigułka niebieska, pozwalająca zapomnieć o tym, że świat wokół to tylko iluzja. W polskiej plemiennej polityce obie strony hojnie rozdają niebieskie pigułki, pozwalające trwać w złudzeniu, że toczy się jakaś apokaliptyczna wojna dobra ze złem. Ja raźniej poszukiwać pigulek czerwonych, bo – jak stwierdził Józef Mackiewicz – tylko prawda jest ciekawa. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Strach przed sondażami

Fale upałów nie przestają zbierać żniwa. „Stan zdrowia Kaczyńskiego jest ukrywany podobnie jak w czasach komunizmu przywódców ZSRR” (pisownia oryginalna) – orzekł były lider Nowoczesnej. Za to stanu swojego intelektu Ryszard Petru nie ukrywa. Oddajmy mu zatem głos raz jeszcze.

„Termin wyborów samorządowych oznacza, że druga tura odbędzie się w okresie, kiedy wiele osób wyjedzie odwiedzić groby najbliższych. Termin drugiej tury korzystny dla PiS. Potrzebna będzie mobilizacja po stronie opozycji” – stwierdził. „Chce pan powiedzieć, że rodowity Warszawiak Trzaskowski ma wyborców głównie wśród przyjezdnych, a »napływowy Jaki« ma wyborców z dziada pradziada Warszawiaków? To dosyć ciekawe, bo cały czas mówiliście coś dokładnie przeciwnego” – zwróciła uwagę posłowi Żelazna Logika. Niestety, w tym punkcie dyskusja utknęła.

À propos wyborów samorządowych. „Spotkanie z samorządowcami. Pytają o sondaże. Mówię, że ludzie boją się. Burmistrz jednego z miasteczek opowiada: dzwonił ankieter, pytał o wykształcenie, wiek, miejsce zamieszkania, później na kogo będzie głosować. Mówi: przestraszyłam się. Powiedziała, że na PiS, choć głosuje na PO” – napisał również ostatnio strachliwy Stanisław Gawłowski.

„Prawie połowa narodu chce PiS-u i Kukiza. Na prawdę, trudno uwierzyć, że jesteśmy tacy durni” – stwierdził Dariusz Rosati, komentując inny sondaż, udostępniony przez Jana Grabca. Dawno tak odważnej samokrytyki polityka PO nie słyszałem.

Im bliżej głosowań, tym trudniejsza staje się sytuacja ludzi mediów. „Zaczynają się pogrozki: »Proszę porzucić dziennikarstwo, bo inaczej dopilnujemy, żeby został Pan zwolniony i otrzymał wilczy bilet w mediach«” – zwierzył się Jacek Nizinkiewicz. Prawdziwie diabelska alternatywa: albo odejdziesz z pracy, albo go wyrzucą.

„Po ujawnieniu afery taśmowej straszono mnie, że wykończą mi rodzinę, a mnie pozbawią jakiegokolwiek pracy. Nie użalałam się. Podobnie jak wtedy, gdy Hajdarowicz wyrzucił mnie z »Rzeczy«, bo ujawniłem, że jego kredytodawca współpracował z SB. A dziś sami »bohaterowie«... Żalotne” – dodał swoje pięć groszy Piotr Nisztor, najwyraźniej nieczuły na los kolegi po fachu. ©©





NAPRAWDĘ WIELKA DEFILADA

Około 100 samolotów i śmigłowców, 200 pojazdów, ponad tysiąc żołnierzy i 900 rekonstruktorów wzięło udział w Wielkiej Defiladzie Niepodległości zorganizowanej w Warszawie 15 sierpnia. Przemarsz ulicami stolicy był kulminacyjnym momentem obchodów Święta Wojska Polskiego. Jak podaje Ministerstwo Obrony Narodowej, defiladę obejrzało w Warszawie ok. 120 tys. osób.

Defiladę podzielono na trzy części. W pierwszej, pieszej, którą otwierała Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego, maszerowały pododdziały reprezentacyjne Wojsk Lądowych, Marynarki Wojennej, Sił Powietrznych, Wojsk Specjalnych, Wojsk

Obrony Terytorialnej, Żandarmerii Wojskowej oraz pododdział reprezentacyjny wystawiony przez Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych. W defiladzie wzięli udział także przedstawiciele stacjonującej w Polsce międzynarodowej grupy bojowej ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Chorwacji i Rumunii.

Drugą część defilady stanowiły pojazdy bojowe, m.in. rosomaki, raki, kraby i czołgi. W trzeciej części szli rekonstruktorzy, prezentujący strój i uzbrojenie z różnych epok – od wczesnego średniowiecza do XX w. Defiladzie towarzyszył przelot samolotów i śmigłowców. ©© (raw)



FOT. FANIEL CHODAK

OSCAROWA ROLA

Dla wszystkich, którzy mają już dość Małgorzaty Rozenek, bo czują, że niedługo wyskoczy im z lodówki, mamy doskonałą wiadomość. Będzie jej jeszcze więcej. Otóż kolorowe media donoszą, że Lady Małgorzata dostała propozycję zagrania w filmie! Podobno odezwali się do niej twórcy filmów „Listy do M.” i zaproponowali jej rolę w najnowszej produkcji. – Producenci dostrzegli Małgosię na planie jednej z reklam. Spodobały im się jej luz i naturalność. Zaproponowali jej rolę przebojowej kobiety, która pod wpływem miłości do mężczyzny całkowicie zmienia swoje życie – czytamy w magazynie „Party”. Niestety, menedżer Perfekcyjnej Pani Domu potwierdza te doniesienia. – Rzeczywiście, Małgorzata otrzymała propozycję filmową. Otrzymaliśmy scenariusz i jesteśmy w fazie wstępnych rozmów – poinformował. Jeśli to komediodramat, to niech Małgonia bierze rolę w ciemno. Niepo-trzebne jej umiejętności aktorskie. Wystarczy, że będzie sobą.

LANS NA GRZYBACH

Obok negocjacji filmowych Małgorzaty w Internecie rozgorzała wielka dyskusja na temat małżeństwa Majdanów w związku z grzybobraniem. Tak, naprawdę! Otóż, będąc na wakacjach u rodziców, para wybrała się do lasu na grzyby, o czym postanowiła poinformować, wrzucając zdjęcie do Internetu. Sęk w tym, że na zdjęciu Majdany nie wyglądają, jakby szli do lasu na grzyby, lecz co



FOT. M. ROZENEK/INSTAGRAM

najmniej na jakiś pokaz mody. Fani byli okrutni w ocenie. „Pani Małgosiu, jakbyście się normalnie ubrali na grzyby, nic by się nie stało, w lesie nie trzeba obnosić się bogactwem”, „Wyście się ku... wa chyba na pokaz mody ubrali, a nie do lasu, ludzie zejdziecie na ziemię”, „Radziu ze stylizacją trochę przegięł” – to jedne z łagodniejszych komentarzy. Małgosia nie pozostała dłużna i na niektóre postanowiła odpowiedzieć. „Wybacz,

nie ty będziesz decydowała, w czym mój mąż chodzi na grzyby. Następnym razem pójdzie we fraku. Jego grzyby, jego zabawa” – odpisała jednej z fanek wściekła Małgonia. Nie tylko jego, skoro pochwalili się zdjęciami w sieci. Jednak Radzia we fraku na grzybach chętnie zobaczymy. To nawet lepsze niż Małgosia w roli aktorki!

PROFESOR EWA I JEJ BADANIA

Ewa Chodakowska, czyli trenerka wszystkich Polek, udzieliła okładowego wywiadu jednemu z kolorowych magazynów dla pań. Opowiada o misji, którą ma do spełnienia. – Wróciłam do Polski z zamiarem przeprowadzenia rewolucji w życiu kobiet. Pokazania Polkom, że mają wpływ na swoje życie. Kobiety, trenując regularnie, rosną w siłę nie tylko fizycznie, lecz także mentalnie. Zaczynają zadawać sobie pytania, czego chcą, są świadome swoich potrzeb, bardziej otwarte, wyznaczają cele i podejmują konsekwentną pracę nad ich realizacją. Tego uczą trening ciała na macie. To proste narzędzie do wprowadzania zmian w życiu. Gdybym miała po prostu „sprzedawać” szczupłe ciało, to w ogóle bym się tym nie zajmowała. Bo to zbyt błahe i niewarte zachodu – opowiada Chodakowska. – Uczę kobiety zdrowego egoizmu. Dbamy o siebie dla siebie. Z miłości do siebie. Kobieta jako jednostka ma prawo czuć się spełniona i szczęśliwa. Te, które pracują ze mną, robią to dla siebie. Zauważam coraz częściej, że mają serdecznie dość „robienia dla faceta”. W przyszłości będę na to przedstawiała badania naukowe – zagroziła. Badania naukowe potwierdzające, że kobiety lubią czasem zrobić coś dla siebie, uważamy za absolutnie niezbędne. Bez nich w życiu w to nie uwierzmy!

ŻAL.PL

Monika Richardson, po mężu Zamachowska, znana jest ze swoich złotych myśli. Był nawet czas, że jacyś PR-owcy kazali jej uważać na to, co mówi, ale na szczęście Monika posłuchała ich tylko na chwilę. Teraz znów mówi to, co myśli, ona jest dzięki temu szczęśliwsza, a ci, którzy jej słuchają, uśmiechnięci. A więc wszyscy wygrywają. I tak ostatnio Monika, prowadząc jeden z odcinków „Pytania na śniadanie”, rzuciła, że jeśli chodzi o jej macierzyństwo, to jej największym żalem jest to, że gdy zostawała mamą, nie było jeszcze tak rozwiniętych mediów społecznościowych. – To jest jeden z moich największych żalów w życiu, że moje dzieci urodziły się, jak jeszcze nie było Instagrama, i nie mogłam się tym pochwalić – wyznała. Ani na tym zarobić. Co za okrutna niesprawiedliwość dzieje! ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, czy śledziliście paradę wojskową z okazji tego święta, które prawica obchodzi na pamiątkę zatrzymania marszu sprawiedliwości społecznej na Europę?

Szczerze mówiąc, jesteśmy zaszokowani, iż w nowoczesnej Europie nadal mają miejsce tego typu parady wojskowe, z prezentacją tych długich luf, na widok których pewnie niejedna feministka pisze na szybko zajadły komentarz pełen antymaskulinistycznej retoryki, krytyki patriarchy i wojny jako wymysłu mężczyzny, iżby ciemnić waginoosoby.

Myśleliśmy, iż tego typu parady to już tylko Rosja pana Putina, Turcja pana Erdoğan i Korea pana Kima.

Tymczasem w kraju należącym, przynajmniej formalnie, do UE, chwalimy się jakimiś czołgami, armatami, karabinami, jeżdżą żołnierze na koniach, łoś. Tak śmieszno, ale trochę straszno. I przykro, jak sobie pomyśleć, co w takich dniach muszą czuć Niemcy. Czy na pewno się nie boją.



Jak zresztą w tym kraju ma być normalnie, skoro według jednego z badań aż 97 proc. mieszkańców twierdzi, iż odczuwa dumę z bycia Polakiem? No chyba coś nie pykło i ankietowanymi były tylko osoby z Podkarpacia, które odpowiedziały na pytania w przerwie między dojeniem krów, a układaniem żony kablem od żelazka, końcówką z żelazkiem.

Jeśli natomiast tak nie było, to martwi nas, iż tylko 3 proc. mieszkańców tego kraju ma świadomość, iż narodowość jest raczej powodem do wstydu lub powinno się ją przemilczeć, a identyfikować się raczej jako miłośnicy wege, członkowie społeczności LGBT, bywalcy starbunia, fani makbuka. Na pewno jesteśmy to my i wszyscy nasi znajomi.

Może więc jednak ankietowani odpowiadali z lufą pisowskiego pistoletu przy czole, jednocześnie pamiętając lekcje płynące od rozsądnych i europejskich środowisk, iż patriotyzm to tak naprawdę fashysm?

Of kors, nie widzieliśmy jeszcze filmu Smarzowskiego pt. „Kler”. Widzieliśmy jednak trailer, który utwierdził nas w pierwotnym przekonaniu, iż chodzi o krytykę księży i działalności Kościoła katolickiego w tym kraju.

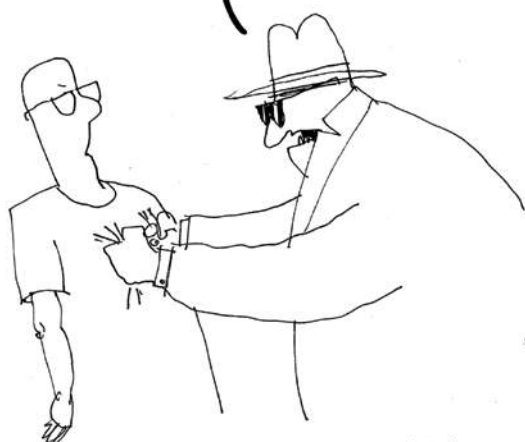
Zdecydowanie dobrze, iż Smarzowski podjął ten temat. Przede wszystkim w dyskursie lewicowym wciąż zbyt mało i za rzadko wspomina się o pedofilii w Kościele, o bogaceniu się księży, zbie-

Myśleliśmy, iż tego typu parady to już tylko Rosja pana Putina, Turcja pana Erdoğan i Korea pana Kima

raniu przez nich pieniędzy oraz wytykaniu, iż przecież prawie każdy ksiądz ma partnerkę, a jeśli nie ma partnerki – to sprawdzić, czy nie gej.

Dobrze więc, iż wreszcie ktoś odważył się o tym głośno mówić. Na wypadek, gdyby kościelna dyktatura w tym kraju próbowała wsadzić Smarzowskiego do więzienia, zakładamy, nieco awansem, KOS – Komitet Obrony Smarzowskiego. Zabrali nam demokrację, konstytucję, ale przynajmniej Wojtka nam nie zabiorą. ©

No bądź ty m faszysta, do jasnej cholery!!!



f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Mamy wielki żal do Eine Totalopposition o bojkot Wielkiej Defilady. Nie żebyśmy tęsknili za widokiem Grzeška i Kaški, ale pozwolić, żeby okazję do lansowania się wykorzystał Tyszka Stanisław, który udrapował się w szaty „jedyne go przedstawiciela opozycji”, to już jednak skandal. Aha, w związku z tym mamy też żal do Peezela.

Az Peezelem było tak. Ponieważ Władek Kosiniak-Kamysz miał inne plany, partia wydelegowała na trybunę honorową Wielkiej Defilady Piotra Zgorzelskiego. Niestety, wydelegowany Zgorzelski także miał inne plany, więc się nie pojawił i wyszło na to, że Peezel przyłączył się do bojkotu. Czyli do lansowania Tyszki. Wstyd!

Zgorzelski utrzymuje, że ma nieobecność usprawiedliwioną, gdyż tego dnia w jego okręgu wyborczym odsłaniano odrestaurowany przedwojenny pomnik ku czci ofiar Bitwy Warszawskiej. I musiał tam być. Jesteśmy podejrzliwi. Podejrzewamy, że po prostu zaczytał się w jakimś e-booku, zwłaszcza że skończył już Semkę, a zaczął Hrabala.

W polityce, jak wiadomo, wszystko ma znaczenie. Zastanawiamy się więc, dlaczego Rafcio Trzaskowski, który też bojkotował defiladę, sfotografował się w tym czasie na jarmarku, przeglądając akurat „Dziennik” Juliana Greena. Tak się bowiem składa, że czytaliśmy tę książkę. Oto możliwe wyjaśnienia: a) też tak jak Green chce powrotu mszy po łacinie; b) też tak jak Green czuje się ogólnie niezrozumiany przez współczesnych i powtarza za nim: „Nie widzę już dla siebie miejsca na tym świecie brutalnym i nudnym zarazem”; c) jest samokrytyczny jak Green: „Mam wrazenie, że jest we mnie bajoro stojącej wody, która mnie zatruwa. Bywają dni, że mógłbym krzyczeć ze zgrozy”.

Kandydat opozycji na prezydenta WARSZAWY bojkotuje defiladę w rocznicę Bitwy WARSZAWSKIEJ. Czy jest na sali lekarz?

À propos lektur Trzaskowskiego. Pamiętacie, jak w rocznicę śmierci Geremka snobował się na fejsiku przechwałkami, że u profesora po

francusku „referował credo Edgara Morina z »Penser l'Europe«”? Mamy dla Rafcia złą wiadomość. Referowanie po francusku było zupełnie niepotrzebne, bo książka Morina ukazała się po polsku w 1989 r. Pod tytułem „Myśleć: Europa”. Jest nawet w bibliotece sejmowej, numer katalogowy 000029338. Ostrzegamy potencjalnych bohaterów naszej rubryki: w sprawach książek generalnie lepiej z nami nie zaczynać.

dwaj panowie g

Z tego wszystkiego zapomnieliśmy w sumie o kwestii fundamentalnej, która nas łupnęła jak piącha Pudziana. Uwaga, będziemy pisać pomału i czasem wielkimi literami, żeby do wszystkiego dotarło. Kandydat największej partii opozycyjnej na prezydenta WARSZAWY bojkotuje defiladę w rocznicę Bitwy WARSZAWSKIEJ. Czy jest na sali lekarz?

Z okazji Wielkiej Defilady CBOS opublikowało badanie, z którego wynika, że 97 proc. ankietowanych odczuwa dumę ze swojego pochodzenia narodowego. Brzmi wiarygodnie. Pozostałe 3 proc. czyta „Gazetę Wyborczą”.

W sierpniu wypada jeszcze jeden bardzo ważny dzień. To imieniny Patrycji. Mało kto wie, że tego dnia tradycyjnie już na stole Patrycji Koteckiej vel Pati Koti vel żony Zizou Ziobro lądują od rana kosze kwiatów wysłanych przez rozmaitych prezesów spółek Skarbu Państwa. Ktoś jednak musi być pierwszy i zawsze jest pierwszy: to Jacek Kura-Kurski, prezes TVP, którego bukiety przybywają najwcześniej. Chętnym do udziału w rywalizacji podpowiadamy: Pati Koti obchodzi imieniny 22 sierpnia.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

To się robi nudne. Przekazatory poinformowały 14 sierpnia, że premier Mateusz podjął wreszcie decyzję: wybory samorządowe odbędą się 21 października. Też ci nowina. 22 maja nasza wpływowa rubryka informowała: „A propos wyborów samorządowych. Wiewiórki mówią, że klamka zapadła i że będą 21 października”. Czas ujawnić niepisane motto naszej rubryki: „Tomorrow’s news today”. Wzięliśmy je z filmu o Bondzie.

A propos wyborów samorządowych. Dzisiaj (jeśli czytają nas państwo w poniedziałek 20 sierpnia) Państwowa Komisja Wyborcza podejmie ważną decyzję dotyczącą sposobu głosowania: książeczki czy płachta. Wiewiórki mówią, że nastąpi powrót płachty.

Będzie to jedna z ostatnich ważnych decyzji podjętych przez PKW pod kierownictwem Wojciecha Hermelińskiego. Tak, został wybrany w 2014 r. na dziewięcioletnią kadencję, ale 29 marca przyszłego roku skończy 70 lat i będzie musiał (zgodnie z przepisami) zrezygnować. Mamy złą wiadomość dla Eine Totalopposition. Nowego szefa PKW powoła prezydent Andrzej Sebastian. Tak, też na dziewięcioletnią kadencję. Zależy, dyktatura PiS będzie trwać wiecznie!

Pamiętamy, że jakiś czas temu zdaniem wiewiórek pewnym kandydatem Nowogrodzkiej na nowego

A w dzisiejszym programie gwiazdy rozjeżdżają stółki!



dliwej ordynacji. Kupiliśmy popcorn, bo KRaP-owcy są w tej sprawie niezwykle zgodni. Jedni chcą podzielić Polskę na cztery okręgi, inni na sześć, a jeszcze inni wolą jedną listę krajową.

Tymczasem czerwoni bracia z Ezelde propagują w związku z wetem teorię spiskową. Ich zdaniem prezydent Andrzej Sebastian zawetował ordynację, bo zmusili go do tego polscy biskupi

zdjęcia ze studniówki znanego kukisty i browarnika Jakubiaka Marka. To się w głowie nie mieści! Jakubiak nie nosił wtedy żadnych wąsów, za to na głowie nosił afro w stylu wczesnego Hajdarowicza. Nie mamy wątpliwości – to się nie mogło skończyć normalnie. Zatem Jakubiak musiał trafić do polityki.

Zostającej chwili. Eine Totalopposition wpadła na nowy, oryginalny i zaskakujący pomysł: wywiesiła czarno-biało-czerwone billboardy ze wstrętnym Kaczyńskim i hasłami typu: „PiS wziął miliony i chce być bezkarny” albo „PiS wziął miliony, a wszystko drożeje”. Mało kto wie, że jest to najoryginalniejsza kampania Pełó od czasu poprzedniej takiej kampanii z roku 2007 i czarno-białych billboardów z napisami: „Rządzą PiS, a Polakom wstyd”.

Osłomowanie nowej kampanii poprosiliśmy autorytety moralne. „Żałosna, prostacka próba wyjścia z kryzysowej sytuacji i przykrycia nieudolności liderów” – mówił Stefan Niesiołowski. „Opozycja nie ma nic ciekawego do zaprezentowania. Dlatego odwołuje się do takiej retoryki” – dodawał Jerzy Borowczak. A nie, przepraszamy, to nie o kampanii Pełó. Tak mówili w roku 2014 o billboardach PiS z wymierzonej w Pełó kampanii „Obiecali – oszukali”. ©©

97 proc. badanych przez CBOS odczuwa dumę z pochodzenia narodowego. Pozostałe 3 proc. czyta „Gazetę Wyborczą”

szefa PKW był sędzia Mariusz Muszyński. Ale to było, jeszcze zanim ogłoszono, że wybiera się do Sądu Najwyższego.

Zapowiadaliśmy weto i jest weto. Nowa ordynacja wyborcza do europarlamentu poszła do kosza z woli prezydenta Andrzeja Sebastiana. Oraz w odpowiedzi na apel Klubu Jagiellońskiego i zorganizowaną naprędce nową koalicję KRaP (Kukiz'15, Razem, PSL). Po wywalczeniu weta koalicja KRaP postawiła sobie nowy cel, to znaczy wspólne opracowanie nowej, sprawie-

żądni miejsc w europarlamencie dla swoich pupilów. Pupile będą w myśl tej teorii kandydowali z następujących list: Kukiz'15, Prawica Rzeczypospolitej Marka Jurka oraz nowa partia Antoniego Macierewicza. Jak widać, nie tylko Rafcio Trzaskowski powinien się rozejrzeć za lekarzem.

Mimo wszystko wciąż mamy sezon ogórkowy. Z tej okazji postanowiliśmy się pochwalić ciekawym odkryciem. Otóż sobie tylko znanymi metodami weszliśmy w posiadanie



Maciej Pieczyński

Standardy największego internetowego portalu społecznościowego są zdecydowanie lewicowe. Antyprawicowa krucjata to zresztą modny trend w korporacjach

Dołączenie Agnieszki, a zarazem utworzenie stanowiska head of Poland, jest jasnym dowodem naszego silnego zaangażowania w Polskę – tak o Agnieszce Kosik, nowej szefowej Facebooka w Polsce, mówił Robert Bednarski, szef portalu na Europę Środkowo-Wschodnią. Dodał, że nowa decyzja personalna jest „jasnym dowodem” dużego znaczenia całego, podlegającego mu regionu w strategii firmy.

Nasuwa się pytanie, na czym dokładnie będzie polegać to „silne zaangażowanie” i w co popularny serwis społecznościowy zamierza się nad Wisłą zaangażować. Nie jest przecież tajemnicą, po czyjej stronie sporu politycznego z reguły opowiadają się administratorzy Facebooka. O poglądach szefowej polskiego oddziału tej firmy mogą świadczyć informacje, które ona sama o sobie, m.in. właśnie na Facebooku, publikuje. Prawicowi internauci szybko zlustrowali pod tym kątem Agnieszkę Kosik. Trzy zdjęcia z jej facebookowej galerii ilustrują cały katalog lewicowo-liberalnych przekonań, wpisanych w kalendarz bieżącego sporu politycznego w Polsce. W październiku – grafika zapraszająca na czarny protest. W listopadzie – zaprojektowana przez stowarzyszenie Akcja Demokracja naklejka na zdjęcie profilowe z tęczaową datą „11.11”, z sercem zamiast kropki i podpisem: „Niepodległość bez nienawiści”. W styczniu zmiana naklejki – tym razem fotografię zdobi logo Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Kosik do Facebooka przeszła jednak nie z polityki, lecz z marketingu. Jej biznesową sylwetkę naszkicował portal Wirtualne Media. Wynika z niej, że przez 15 ostatnich lat pracowała w domu mediowym MediaCom Warszawa. Przez ostatnią dekadę zajmowała tam stanowisko prezesa. Wcześniej była dyrektorem zarządzającym w spółce Guideline, należącej do MediaCom.

FOT. DADO RIVIC/REUTERS/EPIC

Cenzura

W latach 1993–2003 pracowała w domu mediowym OMD Poland.

Do zadań Agnieszki Kosik w Facebooku będzie należeć przede wszystkim współpraca z partnerami biznesowymi na terenie naszego kraju. Nie ma pewności, czy i na ile doświadczona menedżerka będzie angażować się w spory światopoglądowe. Sam Facebook dowiódł już jednak nie raz, że staje po jednej ze stron sporów ideologicznych.

„KONIEC WOLNOŚCI SŁOWA”

„Facebook czyści polski Internet z prawackiego rynsztoka” – triumfował teoretycznie liberalny portal NaTemat.pl, gdy w zeszłym roku z popularnego serwisu społecznościowego jednego dnia zniknęło ponad 300 stron. „Koniec wolności słowa na Facebooku” – komentował prawicowy portal Wolność24. Po kilku dniach strony zostały odblokowane. Facebook w specjalnym oświadczeniu tłumaczył, że blokada była wynikiem „błędów jednego z systemów

bezpieczeństwa”, i przeprosił za „niedogodności”. Co jednak znamienne, ten „błąd” nastąpił akurat niedługo przed Marszem Niepodległości. Wśród usuniętych stron, obok radykalnych ONR czy NOP, były również fanpage’e poświęcone żołnierzom wyklętym i husarii. Znikały także zdjęcia z symbolem Polski Walczącej.

Kiedy Mark Zuckerberg zeznawał przed Kongresem USA, kongresmen Ted Cruz pytał go o zaangażowanie polityczne. W odpowiedzi usłyszał, że Facebook nie dopuszcza mowy nienawiści, treści terrorystycznych czy nagości. Zuckerberg zapewniał też, że jego firma nie weryfikuje swoich pracowników pod względem poglądów politycznych. Faktem jednak jest, że w walce z mową nienawiści portal jest niekonsekwentny. Przez długi czas i mimo licznych protestów na Facebooku funkcjonował fanpage „Jan Paweł II gwałci małe dzieci”. Gdy internauci zgłaszali to administracji, otrzymywali taką odpowiedź: „Zapoznaliśmy się ze stroną zgłoszoną

w prawicę

przez Ciebie z powodu zawierania treści lub symboli propagujących nienawiść, ale stwierdziliśmy, że nie narusza ona dokumentu Standardy Społeczności”.

Sylwia de Weydenthal, zatrudniona na stanowisku client partnera polskiego Facebooka, w rozmowie z „Dziennikiem. Gazetą Prawną” stwierdziła: „Rozumiem całkowicie, że taka treść może być dla katolików nieprzyjemna, to jednak Facebook nie ma wiedzy, czy ta opinia jest prawdą, czy nie [...]. My oceniamy tylko fakty”.

Na tak bezczelne słowa internauci zareagowali założeniem profilu „Sylwia de Weydenthal gwałci małe dzieci”. Szybko się okazało, że w tym przypadku administracja Facebooka nie miała problemu ze stwierdzeniem, iż taki profil „narusza standardy społeczności”.

Sama Sylwia de Weydenthal nie kryła się ze swoimi poglądami politycznymi. Brała udział w marszach KOD. Na swoim profilu facebookowym udostępniała memy profilu „Sok z Buraka”. Na jednym z nich

zdjęcie Jarosława Kaczyńskiego opatrzone jest podpisem: „SŁOŃCE NARODU MAO PIS DA”. Twórcy tego profilu nazywają go „społecznością satyryczną o lekkim zabarwieniu politycznym”. Trudno jednak ocenić, gdzie jest ta „lekkość”. „SzB” wyśmiewa wszystko, co prawicowe i PiS-owskie, jednocześnie wiernopoddająco i bez żadnego – wydawałoby się, naturalnego dla satyry – dystansu wychwalając wszystko, co związane z Platformą Obywatelską. Przede wszystkim jednak „Sok z Buraka” w swojej propagandowej walce z przeciwnikami notorycznie dopuszcza się kłamstwa. Jednym z najgłośniejszych fake newsów, opublikowanych przez ten profil, był mem przedstawiający zdjęcie młodych, kąpiących się w błocie ludzi, z podpisem: „Narodowo-katolickie media nazwały takie coś na Woodstock zezwierzęceniem. Jak więc nazwaj to dzisiejsze zdjęcie ze Światowych Dni Młodzieży?”. A zdjęcie naprawdę pochodziło z Woodstock. Mimo wpisów przesączonych nienawiścią

i nieprawdą „Sok z Buraka” wciąż spełnia standardy społeczności Facebooka i nikt go nie usuwa.

Skandaliczny profil „Jan Paweł II gwałci małe dzieci” w końcu zniknął z portalu Zuckerberga. Nie został jednak usunięty przez administrację Facebooka. Właściciel profilu po prostu zmienił nazwę, na... „Sram na grób pileckiego”. Dopiero kolejne skargi użytkowników Facebooka zostały wysłuchane i profil szkalujący polskiego bohatera przestał „spełniać standardy społeczności”.

ZŁY NACJONALIZM, DOBRY KOMUNIZM

Największy na świecie portal społecznościowy konsekwentnie usuwa treści prawicowe. Czasem, tak jak w 2017 r., gdy zablokowano od razu kilkaset stron, administracja serwisu wycofuje się z blokady, przeprasza i tłumaczy kwestiami technicznymi. Tak było w przypadku profilu Miriam Shaded. Prezes fundacji Estera

opublikowała na Facebooku zrzuty ekranu z groźbami, które otrzymywała od użytkowników w zemście za krytykę islamskiej migracji. Od siebie zapytała, co ma „takemu pokojowemu muzułmaninowi odpisać”. Facebook zablokował jej konto na 30 dni. Shaded błyskawicznie nagłośniła sprawę, udzielając m.in. wywiadu Wirtualnej Polsce. Po kilku godzinach serwis zdjął blokadę. „Zespół badający, czy zgłoszone treści są zgodne ze Standardami Społeczności, pracuje, by utrzymać bezpieczeństwo naszej społeczności. Czasami podczas tej pracy zdarzają się pomyłki. Decyzja dotycząca strony została ponownie rozpatrzona, a strona przywrócona. Pragniemy przeprosić, jeśli ktokolwiek poczuł się tym urażony” – napisała firma w oświadczeniu dla mediów.

Tymczasem na Facebooku wciąż istnieje profil Komunistycznej Partii Polski, której symbolami są sierp i młot na czerwonym tle, opatrzone dobrze znanym z historii hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”. Standardy społeczności wciąż spełnia również Komunistyczna Młodzież Polski. Na zdjęciach opublikowanych na profilu KMP można zobaczyć m.in. Stalina z podpisem: „Komuna jest spoko” czy cały „panteon” czerwonych zbrodniarzy: Wandę Wasilewską, Bolesława Bierutę, Feliksa Dzierżyńskiego, Konstantego Rokossowskiego, Marcelego Nowotkę oraz Karola Świerczewskiego, a pod spodem komentarz: „Chwała bohaterom”. Profile tego typu funkcjonują w sieci pomimo ustawowego zakazu propagowania komunizmu.

Nic nie wiadomo o tym, by organizacje komunistyczne skarżyły się na cenzurę czy choćby na „problemy techniczne” na Facebooku. Za to portal wydał otwartą wojnę polskim narodowcom. „Obecność organizacji konsekwentnie naruszających nasze zasady może zostać zabroniona na naszej platformie. Tak stało się w przypadku Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR) i Narodowego Odrodzenia Polski (NOP) w Polsce. Uważamy, że organizacje te otwarcie propagują poglądy rasistowskie, antysemickie i homofobiczne” – poinformował Facebook, przyznając się do stosowania motywowanej ideologicznie cenzury. W kwietniu administracja portalu usunęła profile ONR i NOP.

Na tym jednak nie koniec. Zakazane zostały nie tylko konkretne organizacje, lecz także ich symbole. „Zgłoszone do nas materiały zawierające takie symbole i odwołania, wykorzystywane do rozprze-

strzeniania mowy nienawiści, zostaną usunięte” – zapowiedział Facebook. „Choć nie jest to przypadek specyficznie polski, bo zjawiska takie występują na całym świecie, uznaliśmy, że warto to wyjaśnić z bardziej lokalnego punktu widzenia”. Od 27 kwietnia usuwane są wszystkie wpisy promujące ONR i NOP. Przy czym za promocję może być – i bywa – uznana również publikacja np. zdjęcia z manifestacji, na której widnieje symbol zakazanej organizacji. Ofiarą tej cenzury padł m.in. lokalny portal Dzień Dobry, Białystok. Z fanpage’a tego serwisu Facebook usunął zdjęcia, na których widniał banner ONR. „To tak, jakby przedstawiciel redakcji był na miejscu (wydarzenia) i celowo nie zauważył, że ONR-owcy się tam znajdowali. Być może administratorzy Facebooka chcą, by pokazywać świat takim, jaki nie istnieje?” – komentuje dziennikarka portalu Agnieszka Siewiereniuk-Maciowska.

Organizacje komunistyczne nie skarżą się na cenzurę czy „problemy techniczne”. Facebook wydał za to otwartą wojnę polskim narodowcom

Facebookowi przeszkadza symbolika ONR, ponieważ organizacja rzekomo propaguje homofobię. Natomiast już słowo „pedał” wcale nie musi zostać ocenzurowane, o ile oczywiście znajdzie się w odpowiednim kontekście ideologicznym. Na Facebooku bez problemu można znaleźć zdjęcia z Parady Równości, na których widać transparenty o treści: „Jestem pedałem i mam obowiązki pedalskie”. Nawet jeśli to „autoironia” aktywistów LGBT, to jednak trudno sobie wyobrazić, by Facebook pozwolił na podobną w treści ironię wobec homoseksualistów, wyrażoną przez kogośkolwiek spoza tego środowiska. Zresztą hasło jest parafrazą słynnej maksymy Dmowskiego. Nie można się zatem dziwić, że portal o lewicowym profilu ideologicznym akceptuje prowokacyjne wobec idei narodowej nazwanie Polaka „pedałem”, a jego obowiązki wobec polaków – „obowiązkami pedalskimi”.

Cenzura nie dotyczy jedynie organizacji radykalnych. Fanpage’e kojarzone również z bardziej umiarkowaną prawicą są nieustannie nekane przez administrow-

rów portalu społecznościowego. Cyklicznie blokowane są takie strony jak Pitu-pitu, Nagroda Złotego Goebbelsa czy Antyfeministyczna. W dodatku Facebook zaostrza politykę. W kwietniu opublikował nowy regulamin, jeszcze bardziej ograniczający wolność słowa. W ramach walki z mową nienawiści portal zabrania nie tylko każdej formy propagowania przemocy, lecz także porównywania swoich rozmówców do zwierząt postrzeganych jako gorszych pod względem intelektualnym czy fizycznym. Jak podaje „Komputer Świat”, na blokadę na Facebooku można zasłużyć, nazywając kogoś „świnia”, czy używając w wirtualnej konwersacji takich określeń jak „brzydki”, „oszust”, „kretyn”, „skąpiec”, „puszczalska” czy nawet „nie lubię”.

NOWY ŚWIAT KORPORACJI

Antyprawicowa krucjata Facebooka jest częścią większego zjawiska. Wielkie międzynarodowe korporacje otwarcie wspierają wartości głoszone przez lewicę. Marka modowa J. Crew podjęła współpracę z Human Rights Campaign, żeby poprzez odzież walczyć o przywileje środowisk homoseksualnych. 9 czerwca, w „Dniu Dumy LGBTQ”, klienci tej firmy otrzymywali tęczowe flagi. HRC otwarcie zachęca duże amerykańskie przedsiębiorstwa do walki o obalenie prawa chroniącego wolność religijną w stanach Indiana i Arkansas.

Światowe Forum Ekonomiczne informuje, że 91 proc. firm sklasyfikowanych w rankingu Fortune 500 (500 największych amerykańskich przedsiębiorstw) realizuje politykę niedyskryminacji ze względu na orientację seksualną. 67 proc. z nich rozszerzyło świadczenia zdrowotne oraz ubezpieczeniowe dla homoseksualistów, biseksualistów i transwestytów. Ten trend popiera ONZ, uznając walkę z homofobią za „imperatyw rozwoju”.

W czerwcu, który jest uważany za „miesiąc dumy” środowisk homoseksualnych, symboliczne wsparcie dla środowisk LGBT okazały takie firmy jak: Netflix, Google, a także polski Empik. „Chcemy podkreślić, że [...] szanujemy i wspieramy inicjatywy na rzecz równości” – można było przeczytać na profilu facebookowym popularnej sieci księgarń, która z tej okazji zmieniła barwy na tęczowe.

Zaangażowanie polskich przedsiębiorców w promowanie ideologii lewicy światopoglądowej nie ma wciąż jeszcze takiego wymiaru i takiego zasięgu jak na Zachodzie. Na szczęście.



Rafał A. Zierniewicz

Korporacje informatyczne, kontrolujące informacje w Internecie, są kluczowym elementem budowy lewicowego totalitaryzmu. Przed cenzurą może uchronić nas tylko działanie państwa

Jednoczesne zablokowanie przez Facebook, Youtube i Twitter niezależnego dziennikarza Alexa Jonesa, połączone z usunięciem go z wyszukiwania przez Google, choć słabo odnotowane w mediach, wstrząsnęło cyberprzestrzenią. Amerykański libertarianin w swym serwisie Infowars od wielu lat walczy z internetowymi korporacjami, oskarżając je o stosowanie cenzury, zmywy monopolistycznej i celowe pranie mózgów klientom. Reakcja korporacji potwierdziła jego zarzuty i na nowo rozpalila dyskusję o tym, co pozwoliłoby zrobić z wolnością, której oazą miał być Internet.

Ponad 30 lat temu amerykańska telekomunikacja została zdominowana do tego stopnia przez kilka wielkich koncernów, na czele z American Telephone & Telegraph, że praktycznie stworzyły one monopol. Wielcy gracze bez trudu dogadywali się między sobą, uniemożliwiając konkurentom jakiegokolwiek wejście na intratny rynek.

Ten stan rzeczy zmienił Ronald Reagan, do dziś za swą „reaganomikę” znienawidzony przez lewicowy establishment. Podobnie jak w innych dziedzinach – transporcie, energetyce, usługach finansowych – użył narzędzi przymusu państwowego do odtworzenia rynkowej konkurencji. Już kilka lat po podzieleniu AT&T średnie ceny połączeń telefonicznych spadły ponad trzykrotnie, ruszyło też nadrabianie opóźnień we wzbogacaniu oferty o usługi związane z nowymi technologiami: połączenia faksowe, modemowe etc. Wbrew bowiem stereotypowi, w którym USA jawią się jako kraj zawsze przodujący, długotrwały oligopol poważnie spowolnił ich telekomunikację. Jeszcze pod koniec lat 90., gdy nie tylko w Azji, lecz także nawet w Polsce telefony

komórkowe były powszechne, w Ameryce można je było zobaczyć tylko u funkcjonariuszy rządowych – w szerokim użyciu najbardziej zaawansowanym urządzeniem pozostawał tzw. beeper, przez który można było za pomocą telefonistki przywołać jego posiadacza do aparatu stacjonarnego.

Bardzo dziś potrzebujemy kogoś, kto miałby wolę i siłę powtórzyć ten sukces Reagana na nowym, wyrosłym z telekomunikacji rynku – wyszukiwarek internetowych i mediów społecznościowych. I to nie tylko na rynku amerykańskim, bo analogiczny do wyżej wspomnianego oligopol zbudowany został w ostatnich dziesięcioleciach na skalę światową.

Historyczna analogia nie oddaje całej grozy obecnej sytuacji. Reagan interweniował, bo monopol zawyżał ceny i blokował innowacje. Zagrożenie nie wykraczało poza ekonomię. W najczarniejszych snach nie przyszłoby nikomu do głowy, że AT&T mogłoby swą monopolistyczną pozycję wykorzystać np. do tego, żeby zablokować możliwość posiadania telefonów członkom Partii Republikańskiej lub odmówić połączeń z biurami tej partii. Czy jakiegokolwiek innej organizacji, uznanej przez pracowników firmy za „niezgodną ze standardami”

korporacji albo nazwanej przez kogoś „faszystowską”. Nie do pomyślenia byłoby, żeby telekomunikacyjny monopolista, powołując się na jakieś ustanowione przez siebie „standardy społeczności telefonujących”, podstępnie i wybiórczo wyłączał rozmowy albo ograniczał jednym numerem możliwość łączenia się z innymi. Nie wyobrażano sobie też sytuacji, że jakaś korporacja może kontrolować z zagranicy przepływ informacji w danym kraju, nawet pomiędzy instytucjami rządowymi i publicznymi, i odmawiać



Prywatny totalitaryzm

■ podporządkowania się prawom tego kraju, otwarcie lekceważąc jego władze.

W czasach Reagana takie wizje uznano by za przesadne nawet w fantastyczno-naukowej grotesce. W świecie dzisiejszych mediów społecznościowych to już przecież normalność.

Facebook, Google, YouTube i Twitter w ostatnich dwóch dziesięcioleciach praktycznie sprywatyzowały i podzieliły między siebie Internet. To, czego tam nie ma, nie istnieje dla ogromnej większości ludzi, szczególnie tych z młodszych pokoleń, czerpiących z sieci całą swoją wiedzę o świecie. A w Internecie nie ma tego, co któraś z czterech wymienionych korporacji „zbanuje”. Jeśli hasło nie pojawia się w odpowiedzi na pytanie zadane wyszukiwarce, to desygnał przestaje istnieć. Zostaje, mówiąc językiem genialnej w swym profetyzmie powieści George’a Orwella, „wyparowany”. Można też, tak jak u Orwella, w miejsce „wyparowanej” osoby czy faktu podłożyć z czasem fikcyjną.

Analogia do świata powieści Orwella idzie bardzo daleko. W „Roku 1984” zainstalowane w każdym domu „teleekrany” pełniły dwojaką rolę – z jednej strony, włączały poddanym totalitarnego reżimu propagandę i narzucały im „nowomowę”, z drugiej – szpiegowały każdego w każdej chwili i podczas każdej czynności. Dokładnie taką rolę pełnią dziś miliony smartfonów i komputerów. Z jednej strony – wielkie korporacje, a ściślej biorąc, ich doskonale anonimowi i kierujący się sobie tylko znanymi kryteriami pracownicy, decydują o tym, co może, a czego nie może wiedzieć ich właściciel, z drugiej zaś szpiegują go bezustannie, sprawdzają, gdzie jest, co kupuje, jak się zabawia etc. – a sposób, w jaki wykorzystują zdobytą wiedzę, jest wyłączenie ich wewnętrzną sprawą. Chyba że – do czego jeszcze wrócimy – zderzą się z silnym, realizującym własne interesy aparatem państwowym.

Jest też jednak zasadnicza różnica. U Orwella te wszystkie narzędzia kontroli nad ludźmi i sterowania nimi były w ręku rządzonego po dyktatorsku, totalitarnego państwa. I ani wtedy, gdy Orwell pisał swą powieść, ani wtedy, gdy Reagan demopolizował rynek telekomunikacyjny, nikomu nie przychodziło do głowy, że podobny system odbierania wolności i powszechnej cenzury mógłby zostać zbudowany kiedykolwiek przez kogoś innego niż państwo rządzone przez tego rodzaju reżim.

Przeciwnie – w swobodzie prywatnej działalności widziano najlepsze zabezpieczenie na przyszłość wolności – zarówno słowa, jak i wszystkich innych. Duchowi przewodnicy republikańskiej kontrrewolucji, Alvin i Heidi Tofflerowie czy George Gilder, poświęcali wiele miejsca wizjom rozwoju Internetu, entuzjazmując się, że nowa sieć komunikacyjna sama w sobie raz na zawsze oddaliła wszelkie dawne zagrożenia, że Internetu, gdzie każdy może być jednocześnie odbiorcą i twórcą upowszechnianych treści, z samej jego natury nie da się cenzurować i nie może go zdominować kilku wielkich nadawców, jak to się stało z telewizją czy wcześniej z rynkiem prasowym.

Pierwsza przesłanka tych optymistycznych wizji legła w gruzach dość szybko, gdy lekcję skutecznego cenzurowania sieci dały światu komunistyczne Chiny. To jednak nie zachwiało wiarą, że w świecie demokratycznym i rynkowym Internet będzie ostoją wolności. Mimo świeżego przykładu koniecznych demonopolizacji, których szczęśliwie w latach 80. zdołały USA dokonać, zupełnie nie pomyślano o doświadczeniu XIX w. i tym, czego ono dowiodło: że jeśli państwo abdykuje na rzecz wolnego rynku i nie ma kto dopilnować, aby rynkowe reguły były przestrzegane przez tych, którzy mają wystarczające siły, by nie liczyć się ze słabszymi, to wolny rynek ginie, niszczone przez wyrastające szybko monopole oraz zмовy kartelowe.

KORPORACJE RZĄDĄ

Co poszło źle? Powtórzyła się właśnie sytuacja z pierwszego okresu kapitalizmu – głośno chwalać wolny rynek i swobodę, zbudowano system korporacyjnych monopoli i zmów kartelowych, często korzystających z życzliwości władzy publicznej, który praktycznie nie głoszone wszem wobec wartości zniweczył. Lewica, narzucająca swój punkt widzenia językowi debaty publicznej, nazwała ten system – „prywatyzowania kosztów, uspołeczniania zysków” – „neoliberalnym”. Bardzo nietrafnie, gdyż w istocie mówić należy o systemie „neokomunistycznym”. Zresztą, okrzepłszy, zupełnie już otwarcie legitymizuje się on nauczaniem Marksa. O ile bowiem „kapitalizm monopolistyczny” wieku XIX był dla marksistowskiej lewicy wrogiem, o tyle jego XXI-wieczny nawrót, po zrealizowaniu na Zachodzie „długiego marszu przez instytucje”, który dał jej panowanie w państwo-

wych, opinotwórczych i korporacyjnych elitach, jest afirmowany jako ustrój dający „Dzieciom Marksa i Coca-Coli” możliwość zrealizowania wreszcie odwiecznej wizji „nowego, wspaniałego świata”.

Problem dotyczy oczywiście nie tylko korporacji informatycznych – te akurat, kontrolując przebieg informacji, okazują się kluczowe dla budowania lewicowego totalitaryzmu.

Jak każda budowa i ta przebiega etapami. Początkowo wiele zdarzeń sprawiło wrażenie spontanicznych – dziś widać, że korporacje wyciągają wnioski z błędów, a ich polityka jest coraz bardziej świadoma i bezwzględna.

Dwa lata temu Mark Zuckerberg, założyciel i szef Facebooka, musiał tłumaczyć się z masowej „wycinki” kont należących do amerykańskich konserwatystów i sympatyków Partii Republikańskiej oraz ograniczania ich zasięgów. Przesłuchiwany w tej sprawie przed komisją senatu zarzekał się, że kontrolę nad treściami przekazywanymi sobie przez użytkowników Facebooka prowadzą tylko „algorytmy” i nikt nie skupia uwagi na pojedynczych kontach. Zapewniał też, że niezbędne ingerencje mają swego rodzaju demokratyczną legitymację, ponieważ usuwane są te treści, które jako niedopuszczalne zgłasza „społeczność Facebooka”, choć przyznał, że ten mechanizm może być nadużywany przez zorganizowane grupy wyznawców określonej ideologii. Tym tłumaczył represje, które dotyczyły kont działaczy pro-life, ruchów chrześcijańskich oraz sympatyków prawicy. Być może wyjaśnienia te wzięto za dobrą monetę, a być może politycy amerykańscy nie chcieli stawiać spraw na ostrzu noża, dostrzegając swą bezsilność – w każdym razie sprawa facebookowej cenzury „rozeszła się po kościach”. Podobnie jak ujawnienie mechanizmu profilowania użytkowników, zresztą stosowanego od dawna i nie tylko przez firmę Cambridge Analytica, czy stosunkowo niedawna kwestia przekazania danych milionów użytkowników do Chin.

W USA Facebook musiał się przynajmniej tłumaczyć. W krajach takich jak Polska korporacja zachowuje się z neokolonialną butą. Nikt nie wie nawet, bo korporacja uważa to za swoją tajemnicę, kto tak naprawdę zarządza polską częścią serwisu oraz kto i na jakich zasadach kieruje pracą cenzorskich zespołów, fizycznie znajdujących się poza granicami Polski. Do pewnego momentu Facebook na wszelkie

skargi odpisywał standardową notą – że zażalenia na sposób wywiązywania się przezeń ze zobowiązań wobec użytkowników można składać tylko do jednego, konkretnego sądu w Kalifornii. Decyzja organów wspólnotowych Unii Europejskiej zobowiązała go wprawdzie do uznawania jurysdykcji krajów, w których prowadzi działalność, ale na razie pozostaje to teorią. Facebook kpi sobie z użytkowników, nawet nie siląc się na tłumaczenia, jakie to jego „standardy” i w jaki sposób naruszyć miały konkretnie wykluczane treści i osoby.

Oficjalne oświadczenia korporacji, że nie cenzurują one treści według klucza politycznego i „pozostają neutralne”, zwalczając każdą „mowę nienawiści” bez względu na jej zabarwienie, zakrawają na kpinę. Można by w nieskończoność podawać – nawet ograniczając się tylko do obszaru polskojęzycznego – przykłady dobitnie temu przeczące. Gdy z jednej strony mimo wielokrotnych zgłoszeń, zbywanych odpowiedzią: „Nie stwierdzono naruszenia standardów” latami utrzymywane są na Facebooku nawet najobrzydliwsze profile atakujące patriotyzm, wiarę i inne wartości, w rodzaju osławionego profilu „Jan Paweł II zaj...ł mi sztalugi” czy hejterskiego, antyprawicowego „Soku z Buraka” – błyskawicznie „wycinane” są wpisy i konta, na które padnie cień podejrzenia o związki z czymkolwiek, co pachnie „skrajną prawicą”. Podobnie jak w praktyce komunizmu sowieckiego cenzorskie zapisy, widać wyraźnie, dotyczą nie tylko treści – np. każdej, nawet wyważonej krytyki imigrantów czy homoseksualizmu – lecz także osób i organizacji. Facebook posunął się do oświadczenia wprost, że z zasady będzie usuwał wszelkie wzmianki o polskich organizacjach narodowych oraz historyczne symbole polskiego ruchu narodowego, nie dbając, że chodzi o organizacje działające zgodnie z polskim prawem, na mocy rejestracji, których nikt poza sądem RP nie ma prawa wyłączać spod konstytucyjnego prawa do wolności słowa.

Facebook wydaje się największym grzesznikiem, ale to tylko dlatego, że swe oddanie „politycznej poprawności” głosi i realizuje otwarcie. YouTube również usuwa z zasady pewnych nadawców – np. w ciągu kilku minut znika każdy materiał umieszczony przez Jacka Międlara, bez względu na jego treść. Podobne kłopoty ma wciąż popularny youtuber Marcin Rola. Z kolei przedstawiciele Twittera nieoficjalnie chwalą się, że oni, sprytniej od ludzi Zuckerberga, stosują „shadowbanning”, czyli

dyskretnie odcinają widoczność konta dla innych, nie informując jego właściciela. Otwarcie wyrwało się jednemu z jego amerykańskich pracowników, że „najfajniejsze jest w tej pracy, że jak widzę jakiegoś głupka głosującego na Trumpa, to go po prostu wyciszam”. Wzbudziło to krótką burzę w części mediów tradycyjnych, ale zostało zbyt jako „nadgorliwość”.

Sztuczka, używana od lat przez YouTube, polega na pozostawianiu cenzurowanej treści, ale usunięciu jej z wyszukiwarki. Tutaj pozwolę sobie użyć własnego przykładu: do pewnego momentu po wpisaniu do wyszukiwarki YouTube hasła „Ziemkiewicz o Unii Europejskiej” otrzymywało się długą listę relacji z moich spotkań, na których mówiłem na ten temat. Nagle wszystkie one zniknęły. Od tej chwili, by

w kilka minut rzeczy, a obok strażnika, który odbierze mu służbowe karty i smartfona, a potem wyprowadzi z wieżowca. To jedynie ślepi słudzy korporacyjnego molocha, groźnego, potężnego, niepoddającego się żadnej kontroli i kierującego się tylko maksymalizacją zysku. Tam, gdzie korporacje zderzają się z silną wolą, potrafią nie tylko powściągnąć „cywilizacyjne” zapędy swych funkcjonariuszy, lecz także posłusznie współpracować z każdym reżimem. Google w trosce o ogromny rynek chiński posłusznie poddaje się tamtejszej cenzurze, podobnie jak YouTube, a Facebook udostępnił władzom dane o użytkownikach mimo oburzenia, jakie wzbudziło to na Zachodzie.

W naszej części świata korporacje kreują się jednak na obrońców wolności.

Rzecz nie w tym nawet, kogo i jak internetowe korporacje blokują i szpiegują, **lecz w tym, że działają one z pogardą wobec państw**

obejrzeć któryś z tych materiałów, trzeba wpisać dokładnie tytuł, pod którym został on zapisany. W ten sposób serwis zablokował, niby to nie blokując, bardzo wiele różnych wypowiedzi krytycznych wobec UE. Zapewne nie przypadkiem zbiegło się to w czasie z informacją o przeznaczeniu przez KE znaczących funduszy na „poprawę wizerunku integracji europejskiej w sieci”.

ODZYSKAĆ CYBERPRZESTRZEŃ

Rzecz nie w tym nawet, kogo i jak internetowe korporacje blokują i kogo szpiegują, lecz w tym, że działają one z zupełną pogardą wobec państw, w których funkcjonują, nawet w USA – cóż dopiero w Polsce. Ich pracownicy czują się u nas jak XIX-wieczni kolonizatorzy, przekonani, że mają misję „cywilizować” dzikusów i prawo wynagrodzenia sobie wysiłku tego cywilizowania ich kosztem. Polska specyfika jest zresztą taka, że tę politykę korporacje prowadzą często rękami Polaków z pochodzenia, reprezentujących podobną, targowicką mentalność co politycy i media opozycji totalnej. Z władzy nad polską debatą publiczną, którą daje im praca dla korporacji, korzystają z palikociarską pasją niszczenia „polskiego ciemnogrodu”, który „robi nam obciach przed światem”.

Mniejsza zresztą o jednostki – każdy z tych ludzi pewnego dnia może zobaczyć na swym biurku karton na spakowanie

Z jednej strony dekorują się tęczą i natrętnie propagują lewicowe ideolo. Z drugiej – zapowiadają walkę z fake newsami. Jak zamierzają odróżnić fake newsy od prawdziwych? Polski przedstawiciel jednej z korporacji ujawnił na niedawnej sesji, zorganizowanej przez fundację Ordo Iuris, że kryterium to stanowić będzie potwierdzenie informacji przez wybrane, „wiarygodne” media. Czyli informacja o gwałtach w Kolonii czy aresztowaniu Tommy’ego Robinsona zostaną jako fake newsy usunięte z wyszukiwarek, a tym samym z Internetu, natomiast news o 60 tys. nazistów maszerujących przez Warszawę pozostanie w nich jako „potwierdzony”.

Chyba nie trzeba dodawać, że w ten sposób korporacyjny dyktat w sieci w kilkadziesiąt lat odwrócił o 180 stopni nadzieje, które w niej pokładano.

Czas bić na alarm. Obieg informacji w sieci, a szczególnie ich wyszukiwanie i media społecznościowe powinny zostać poddane ochronie prawnej, na zasadach podobnych do mediów tradycyjnych. Państwo musi mieć wolę i narzędzia do wyegzekwowania swych konstytucyjnych gwarancji na całym swym terytorium, także we współtworzącej je cyberprzestrzeni. Inaczej staniemy się kopią marionetkowych, kolonialnych państw z dawnych wieków, rządzonych przez kompanie handlowe z kolonialnych mocarstw.



Łukasz Warzecha

Lewicowe obsesje kształtują świat, w którym władza nie liczy się z tym, czego naprawdę chcą ludzie

Co łączy jazdę samochodem (spalinowym), występy zwierząt w cyrku, budowę ścieżek rowerowych, polowania, najazd imigrantów, zaufanie wobec obywateli, penalizację kar cielesnych i obsesyjną obawę przed bronią palną? Wszystko to są punkty odniesienia dla lewicowej obsesji. Obsesji, która nie tylko w polskich warunkach przekracza granice sztucznych i mylących podziałów na „prawicę” i „lewicę”.

Jedną z najbardziej rozpowszechnionych manipulacji w debacie publicznej jest przedstawianie jakiegoś poglądu lub rozwiązania jako całkowicie oderwanego od ideologii „obiektywnie słusznego”, opartego na opiniach bezstronnych ekspertów, podczas gdy w rzeczywistości mamy do czynienia z najbardziej perfidną wersją ideologicznej krucjaty. Zwykle po takie oszustwo sięga lewica i robi to tak skutecznie, że łapie się na nie wiele osób, uważających się za „prawicowców”. Oto kilka głównych lewicowych obsesji.

OBSESJA PIĘRWSZA: LUDZIE SĄ ZA GŁUPI, ŻEBY SAMI DECYDOWAĆ

To poniekąd matka wszystkich lewicowych obsesji. Ona też sięga najgłębszej ideowej różnicy między prawicą (prawdziwą) a lewicą.

Jeśli sięgniemy do genezy i istoty ruchów socjalistycznych jeszcze z wieku XIX, o praktycznym komunizmie i socjalizmie z wieku XX nie mówiąc, to zobaczymy, że zawsze pojawiał się tam rys pogardy wobec tego, co ludzie wybierali w sposób naturalny. Według lewicowych wizjonerów to nigdy nie było dobre i zawsze należało to zniszczyć – co wspaniale pokazał w swoim złośliwym portrecie rewolucjonistów Joseph Conrad w „Tajnym agencie”. Ludzie są za głupi, żeby dostrzec geniusz lewicowych teoretyków, uparcie wybierają inne rozwiązania. A zatem, dla ich dobra, należy ich zmusić do innego wyboru. Kiedyś był to, w pierwszej kolejności, wybór samego systemu komunistycznego i jego

przedstawicieli, wybór gospodarki centralnie sterowanej zamiast rynkowej, kołchozów zamiast indywidualnych gospodarstw itd.

Ten sposób myślenia nie skończył się jednak wraz z upadkiem komunizmu. Ma się świetnie również w Polsce za rządów tzw. prawicy. Władza zawsze uważa, że wie lepiej, czego potrzebują obywatele: jak mają się odżywiać, co mogą kupować i kiedy, jakiego rodzaju umowy wolno im zawierać, jak mają wyglądać ich domy, w jak dużych mieszkaniach wolno im mieszkać, jakie strony internetowe mogą odwiedzać...

Władza, która tak traktuje obywateli, uznaje ich za idiotów, ale jednocześnie pozwala im głosować w wyborach, prowadzić auta, zakładać rodziny i wykonywać wiele innych czynności, które wymagają przecież pewnej odpowiedzialności i przewidzenia konsekwencji swoich działań.

Paternalizm państwowy jest ideą z gruntu lewicową, ponieważ opiera się na braku zaufania do ludzi i narzucaniu im gotowych, wymyślonych przez władzę rozwiązań tam, gdzie powinno się rzeczywistość pozostawić samej sobie i pozwolić się jej w naturalny sposób kształtować. Na tym polega konserwatyzm.

OBSESJA DRUGA: EKOLOGIA

Wśród polskich konserwatystów od jakiegoś czasu pojawia się teza, że kwestie ekologiczne zawłaszczyła sobie lewica, wypychając z tej dziedziny prawicę, podczas gdy koncept poszanowania naturalnego środowiska jako dzieła boga jest w istocie bardzo konserwatywny. Zwolennicy tej tezy wskazują, że to komunizm przez dziesięciolecia nie liczył się ze środowiskiem, niszczył je, kształtował dla własnych potrzeb w wyjątkowo bezwzględny sposób.

Lewackie

FOF FOTOLIA



schizy

To prawda. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy, że dziś ekooszołomstwo jest firmowym znakiem lewicowej ideologii, a charakteryzuje je m.in. całkowite lekceważenie potrzeb ludzi. Liczą się tylko roślinki i zwierzątka. Ludzie są zawsze na drugim miejscu. Doskonałym przykładem jest blokowanie potrzebnych inwestycji drogowych nawet wówczas, gdy ich projektanci i inwestorzy robią wszystko, żeby obejść się ze środowiskiem jak najłagodniej. Dla ekoświrów i tak ważniejsze będzie, że gdzieś na drodze projektowanej inwestycji mieszkają jakieś rzadkie robaki albo żaba. Tymczasem jeśli istnieje jakaś konserwatywna ekologia, to na pierwszym miejscu musi mimo wszystko stawiać człowieka i zastanawiać się, jak można chronić przyrodę tak, żeby ludzie nie ponosili wysokich kosztów.

Że z lewicowego punktu widzenia wygląda to inaczej, widać doskonale na

przykładzie religii globalnego ocieplenia. Nie wdając się w szczegóły, nawet jeśli przyjąć, że klimat zmienia się faktycznie, nie ma żadnej pewności, że dzieje się tak za sprawą działań człowieka. Choćby dlatego, że podobne, bardzo gwałtowne zmiany miały miejsce wielokrotnie w przeszłości tak głębokiej, że działalność człowieka nie miała szansy być ich przyczyną. Tymczasem religia globalnego ocieplenia domaga się, żeby ludzie ponosili absurdalnie wysoki koszt działań, co do których skutków nie ma żadnej pewności. Takie podejście stoi m.in. za polityką klimatyczną Unii Europejskiej, która nas wszystkich już teraz kosztuje realne pieniądze, a będzie kosztowała jeszcze więcej. To jednak dla lewicy nie ma znaczenia – ludzi może nie być stać na prąd, ale ważne, że będzie więcej czystej energii.

Innym skutkiem są kolejne normy dotyczące hodowli zwierząt, które sprawia-

ją, że więcej płacimy za jedzenie. Trudno już dziś kupić np. tańsze jajka z normalnego chowu klatkowego – sieci handlowe zwietrzyły interes i sprzedają niemal wyłącznie znacznie droższe (a wcale nie lepszej jakości) jajka z chowu „ekologicznego”. Dzieci natomiast nie będą prawdopodobnie znały w ogóle cyrku ze zwierzętami, bo z tego typu pokazami zawzięcie walczą ekoświry i wygrywają. Taki zakaz wprowadził swego czasu warszawski ratusz, ale uchylił go Wojewódzki Sąd Administracyjny. Tutaj jednak pokrewieństwo ideowe z obecną ekipą jest pełne, bo identyczną regulację zaprojektowało niedawno Ministerstwo Środowiska – pochwalone za to przez PO.

W paradygmacie lewicowych ekooszołomów człowiek jest intruzem, złem, które należałoby wyeliminować, żeby swobodnie mogła się rozwijać przyroda. Cała uwaga skierowana jest na

przychylenie nieba zwierzętom przy lekceważeniu ludzi. Naszym rodzimym wykutem takiego sposobu myślenia – co ciekawe, po rzekomej prawej stronie – była próba wygaszenia hodowli futerkowych, z całego serca poparta przez Naczelnika, który potem jednak musiał zgodzić się na zwrot (być może chwilowy) w tej sprawie w obliczu potrzeb wyborczych. Wciąż jednak odbiciem tego paradygmatu jest proponowana nowa ustawa o ochronie zwierząt.

OBSESJA TRZECIA: CZYSTY TRANSPORT I MIASTA OGRODY

Samochód, jako wynalazek, który zmienił myślenie o indywidualnych podróżach, o swobodzie, jest również symbolem indywidualnej wolności znienawidzonym przez lewicę. Nie przypadkiem wszystkie autorytarne, a tym bardziej totalitarne rządy – by wspomnieć tylko czasy PRL – traktowały samochód jako dobro luksusowe, ściśle reglamentowane, często niedostępne dla zwykłych ludzi. Jeśli przyjrzeć się polityce transportowej, która robi karierę w całej Europie, w tym w Polsce, można mieć poczucie déjà vu.

Lewicowa ideologia w tym względzie przypomina angielski ruch luddystów z pierwszej fazy rewolucji przemysłowej, czyli początków XIX w. Luddyści sprzeciwiali się zmianom, które przyniosła mechanizacja produkcji tkanin, i wyspecjalizowali się w niszczeniu maszyn tkackich. Stosunek dzisiejszych ekoświrów do prywatnych aut, zwłaszcza spalinowych (elektryczne jeszcze są w stanie przełknąć), jest podobny.

W skrócie doktryna wygląda następująco. Po pierwsze – prywatny samochód to zło. Po drugie – samochód z silnikiem spalinowym to zło największe. Trzeba za wszelką cenę wymuszać korzystanie z „czystych” środków transportu, zwłaszcza samochodów elektrycznych i rowerów. To prosta konsekwencja schizy ekologicznej. Po trzecie – trzeba zmuszać ludzi do korzystania z transportu zbiorowego. Najlepiej robić to poprzez konsekwentną dyskryminację kierowców: podwyższanie różnego rodzaju kosztów przez nich ponoszonych czy utrudnianie wjazdu. Po czwarte – „miasta są dla ludzi, nie dla samochodów” (tak jakby samochody były autonomicznymi organizmami). Miasto ma mieć szerokie chodniki, wąskie ulice, minimum miejsc parkingowych i mnóstwo dróg dla

rowerów. Najlepiej zrobić z miasta coś na kształt ogrodu Eden, gdzie świetnie będą się czuli pracujący na zlecenie single, pomykający na rowerkach, ale gdzie nie ma miejsca dla normalnie pracujących ludzi z rodzinami.

Wszystkie te postulaty są przedstawiane nie jako ideologiczna ofensywa, ale jako bezalternatywne wnioski wynikające z eksperckiego namysłu nad rzeczywistością. Co jest oczywiście nieprawdą – u ich podstawy leży arbitralnie określony paradygmat. Ekoosołomy mówią np. o konieczności poprawy „jakości życia” w miastach. Jednak to, co się na tę jakość składa, definiują sami. Dla wielu osób bowiem jakość życia może oznaczać możliwość swobodnego dojazdu własnym autem i zaparkowania go bez problemów.

**Ekoosołomy mówią
np. o konieczności poprawy
„jakości życia” w miastach.
Jednak to, co się na tę jakość
składa, definiują sami**

Jeśli przyjrzeć się programowi promocyjnego elektromobilności, który realizuje (choć to może za dużo powiedziane) obecny rząd, oraz temu, jak traktuje kierowców, widać, że lewacka doktryna jest realizowana niemal w stu procentach. W jednej ze swoich niedawnych wypowiedzi ówczesny wiceminister energii Michał Kurtyka stwierdził, że aby ludzie przesiedli się masowo do aut elektrycznych, potrzebna jest „zmiana sposobu myślenia społeczeństwa”. Tyle że społeczeństwo jakoś sposobu myślenia zmienić nie chce i jest uparcie praktyczne: widzi, że elektryczne autka to wciąż zabawki, a jeśli w ogóle ich kupno staje się gdzieś opłacalne, to wyłącznie dzięki sowitym subsydium i ulgom (czyli dokładaniu z publicznej kasy). A skoro ludzie sami sposobu myślenia zmienić nie chcą, to trzeba ich zmusić – choćby wprowadzając strefy czystego transportu, które sprawiają, że wjazd normalnym samochodem do centrum miasta stanie się luksusową imprezą dla wybranych.

OBSESJA CZWARTA: HOPLOFOBIA

Lewica nie cierpi samodzielności i siły obywateli – jest z gruntu antyrepublikań-

ska. Dlatego też im obywatele samodzielniejsi, tym bardziej lewica cierpi. Jednym z największych lewicowych koszmarów są obywatele posiadający broń. Ta bowiem daje poczucie własnej podmiotowości, a zarazem wymusza ponoszenie odpowiedzialności za własne działania. Lewica na całym świecie ma na punkcie broni obsesję, domagając się, żeby obywatele nie mieli do niej w ogóle dostępu. Oczywiście dotyczy to jedynie obywateli przestrzegających prawa, bo przecież przestępcy lewicowe brednie mają gdzieś.

Tam, gdzie plan udało się już niemal całkiem zrealizować – np. w Wielkiej Brytanii, gdzie przepisy nie pozwalają posiadać przy sobie jakichkolwiek urządzeń do samoobrony, o broni palnej nawet nie wspominając – konsekwencje stają się od razu widoczne: wzrost brutalnej przestępczości i bezkarność bandytów.

W Polsce jest nie inaczej – lewica obsesyjnie i irracjonalnie reaguje na wszelkie propozycje umożliwienia niekaranym i praworządnym obywatelom łatwiejszego wchodzenia w posiadanie broni. Pozostaje głucha na oczywisty argument, że ograniczenia zawsze dotyczą jedynie tych, którzy prawa przestrzegają. W lewicowej wizji Polacy uzbrojeni oznaczają masowe strzelaniny na każdym rogu.

Lista lewicowych obsesji mogłaby być o wiele dłuższa. Znalazłoby się na niej jeszcze choćby sprzeciw wobec kary śmierci, walka o „równouprawnienie” mniejszości seksualnych, żądania penalizacji jakichkolwiek kar cielesnych (o czym niedawno pisałem w „Do Rzeczy”) i wiele innych punktów. Wybrałem te, które najczęściej są przedstawiane jako całkowicie niepowiązane z lewicowym światopoglądem, podczas gdy w istocie wprost z niego wynikają. Biorąc się z traktowania obywateli jak głupków, tendencji do odgórnego kształtowania rzeczywistości, typowej dla rewolucyjnego myślenia, niechęci do jakiegokolwiek obywatelskiej niezależności i upodmiotowienia. Najgorsze jest, że większość z opisanych wyżej elementów lewicowego paradygmatu przejęły – nie tylko w Polsce – ugrupowania oficjalnie prezentujące się jako prawica, a ich wyborcy uważają nierzadko, że to świetne rozwiązania, i popierają je całym sercem. Czyżbyśmy mieli do czynienia z cichym ideologicznym zwycięstwem lewicy?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Poznański mural upamiętniający defiladę 10. Pułku Strzelców Wielkopolskich, która odbyła się w 1919 r.

Poznań z nowym muralem

W mieście odsłonięto wyjątkowy mural upamiętniający 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości i wybuchu powstania wielkopolskiego

W tym roku obchodzimy 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości oraz wybuchu powstania wielkopolskiego – największego z polskich powstań narodowych zakończonych sukcesem. Jest to wydarzenie niezwykle ważne dla lokalnej, wielkopolskiej społeczności. Enea, stawiając sobie za cel uczczenie tych wydarzeń oraz osób związanych z odzyskaniem niepodległości, wsparła projekt tworzenia

murali patriotycznych. Włączyła się tym samym w ogólnopolski program wieloletni „Niepodległa”, który łączy i wspiera inicjatywy upamiętniające 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę.

– W listopadzie 1918 r., po 123 latach nieobecności na mapach politycznych Europy, Polska odzyskała niepodległość. Stało się to głównie dzięki wytrwałości i ofiarności polskiego społeczeństwa. Chcemy upamiętnić bo-

haterów tamtych wydarzeń. Dla Grupy Enea – firmy społecznie odpowiedzialnej, związanej z Poznaniem – niezwykle ważne są wartości patriotyczne, utrzymywanie tradycji pracy organicznej oraz nieustanne działanie na rzecz rozwoju gospodarczego Polski. Jesteśmy dumni z polskiej historii i narodowych osiągnięć, dlatego jesteśmy częścią ogólnopolskich obchodów – powiedział Mirosław Kowalik, prezes Enei.

Mural przedstawia defiladę batalionu zapasowego 10. Pułku Strzelców Wielkopolskich w Poznaniu, odbieraną przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Defilada odbyła się na dzisiejszym pl. Mickiewicza 27 października 1919 r., w czasie uroczystego zjednoczenia sił zbrojnych byłego zaboru pruskiego z Wojskiem Polskim. W tle widoczne są Zamek Cesarski i flaga powstania z orłem w koronie. Na górze muralu widnieje napis: „Chwała Powstańcom”. Autorem grafiki jest dr hab. Arkadiusz Marcinkowski z Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w Poznaniu, która także objęła patronat nad projektem patriotycznego muralu.

Mural przy ul. Dąbrowskiego 33 będzie można podziwiać do lutego przyszłego roku.

NIETYPOWA FORMA

Czemu akurat mural? Aby – jak tłumaczył Zbigniew Hoffmann, wojewoda wielkopolski – podczas odsłonięcia muralu przez nietypową formę zainteresować wydarzeniami sprzed 100 lat młodych ludzi. Murale to bowiem rodzaj sztuki monumentalnej, która coraz częściej dodaje koloru i charakteru miastom, ale też często niesie ze sobą ważne treści, stając się atrakcją turystyczną. I choć polską stolicą murali pozostaje Łódź, to Poznań też może się pochwalić dużą liczbą zdobiących miasto grafik. Dotychczas najbardziej rozpoznawalnym był ten odsłonięty w 2015 r. na rogu ulic Śródka i Rynek Śródecki, zatytułowany: „Opowieść śródecka z trębaczem na dachu i kotem w tle”. Ma on przypominać o historii dzielnicy, która ponad 100 lat temu była jeszcze oddzielnym miastem. Dzisiaj to malowidło jest jedną z głównych atrakcji turystycznych prawobrzeżnej części Poznania, do którego pielgrzymują przez most Biskupa Jordana turyści zwiedzający Ostrów Tumski.

Marta Szuma

Tusku, musisz?





Kamila Baranowska

To, jak histerycznie sympatycy opozycji reagują na jakąkolwiek krytykę Donalda Tuska, pokazuje, jak ogromne nadzieje wiążą z jego powrotem do krajowej polityki

Kilka dni temu „Super Express” opublikował sondaż pracowni Pollster, z którego wynika, że gdyby w drugiej turze wyborów prezydenckich spotkali się Andrzej Duda z Donaldem Tuskiem, to obecny prezydent mógłby liczyć na 51 proc. poparcia, a szef Rady Europejskiej na – 49 proc. Ta minimalna różnica na granicy błędu statystycznego dla wszystkich przeciwników PiS stała się kolejnym argumentem potwierdzającym to, co głosili już od dawna. Że Tusk jest dziś jedynym politykiem, który może zatrzymać PiS i poprowadzić opozycję (najlepiej zjednoczoną) do zwycięstwa. O ile zechce, co wcale nie jest takie pewne.

Patrząc na to, co się dzieje po stronie opozycji, trudno dziwić się jej zwolennikom. Ryszard Petru, okrzyknięty nową nadzieją polskiej polityki, zawiódł wszystkie oczekiwania. Mateusz Kijowski, którego też swego czasu obsadzano w roli lidera opozycji, skompromitował się jeszcze bardziej w równie krótkim czasie. Grzegorz Schetyna jak nie budził entuzjazmu, tak nadal go nie budzi, bo wciąż tak samo brakuje mu czaru i charyzmy Tuska. SLD z Włodzimierzem Czarzastym raczej nie pociągnie za sobą tabunu młodych, niezdecydowanych wyborców, a Partia Razem Adriana Zandberga jest zbyt niszowa i zbyt nieprzewidywalna. Jest jeszcze Robert Biedroń, który wciąż nie może się zdecydować, czy chce pozostać samorządowcem i powalczyć o reelekcję w Słupsku, czy jednak skupić się na budowaniu własnej formacji, by być gotowym na wybory parlamentarne w 2019 r. I na tym lista kandydatów do roli lidera opozycji właściwie się kończy. Oczywiście do wyborów jeszcze daleko i wiele się może wydarzyć, z pojawieniem się kogoś zupełnie nowego włącznie, ale dziś nikogo takiego na horyzoncie nie widać.

Nic dziwnego, że Tusk jest dziś ostatnią nadzieją tych, którzy chcą odsunięcia PiS od władzy i powrotu do tego, co było przed 2015 r. Dlatego były premier ma dziś specjalny status wśród zwolenników opozycji – polityka nietykalnego. Każdy, kto krytykuje Tuska, nieistotnie słusznie czy nie, wypomina mu jego błędy, przypomina afery Platformy, gdy był jej szefem, jest od razu zaliczany do obozu propagandystów PiS. Co ciekawe, najbardziej widać to nie po reakcjach polityków, lecz przede wszystkim sympatyzujących z opozycją dziennikarzy, komentatorów, ekspertów, którzy na próbę najmniejszej krytyki odpowiadają natychmiastową, emocjonalną reakcją.

Przekonała się o tym także autorka niniejszego tekstu, gdy kilka tygodni temu opublikowała, gościnnie, tekst na portalu Gazeta.pl. Tekst opisywał zjawisko rosnącego rozdziewięku między diagnozami środowisk opiniotwórczych a odczuciami społecznymi. Jeden akapit tekstu traktował o Donaldzie Tusku. Przypomniałam w nim, że to, iż to PiS stał się głosem milionów Polaków, którzy czuli się niedocenieni przez własne

Ci sami, którzy traktują Tuska jako najbardziej skutecznego polityka do walki z PiS, obawiają się, że byle krytyka pod jego adresem może go pograć

państwo, jest poniekąd zasługą Platformy i Tuska. I przytoczyłam opinię Ludwika Dorna, który w 2013 r. stwierdził, że to właśnie Tusk jako pierwszy uznał, że paliwem konfliktu politycznego i społecznego może być szacunek społeczny lub jego brak, czyniąc wrogiem numer jeden nie tylko PiS jako partię, lecz także wyborców.

BARIERA OCHRONNA

Okazało się, że dla większości czytelników był to najważniejszy i najbardziej obrazoburczy wątek w całym niekrótkim tekście. Oburzyli się Tomasz Lis z „Newsweeka” i Paweł Wroński z „Wyborczej”, Bianka Mikołajewska z OKO.Press i ks. Kazimierz Sowa, który poinformował, że przestaje czytać

portal, bo ten „pluje jadem na Tuska”. Zresztą ten sam ks. Sowa dużo wcześniej w wywiadach przyznawał: „Byłbym dumny, gdyby Donald Tusk był prezydentem Polski”. Równie wielkie oburzenie popłynęło ze strony anonimowych czytelników portalu, którzy natychmiast ruszyli do ataku.

Wszystko to było dość zaskakujące, zważywszy na to, że reakcje miały się nijak do tego, o czym tekst traktował. Pokazały jednak dobitnie, jak ważną osobą dla przeciwników PiS jest Tusk i jak bardzo gotowi są bronić go przed jakąkolwiek krytyką, która – w ich ocenie – mogłaby stanowić próbę osłabienia jego szans w ewentualnej przyszłej walce z PiS.

Paradoks polega na tym, że ci sami, którzy traktują Tuska jako najbardziej skutecznego polityka do walki z PiS,

w 2020 r. – Jeśli będzie ryzyko klęski, to moim zdaniem nie wystartuje – stwierdził Rokita w rozmowie z „Wprost”.

Rokita ma sporo racji. Tusk wiedział, kiedy odejść z krajowej polityki. Pod koniec 2014 r. Platforma była poobijana aferą taśmową, a jego polityczny czar działał na wyborców coraz mniej. Doskonale zdawał sobie sprawę, że zbliżające się wybory nie będą dla Platformy tak łatwe jak poprzednie, choć pewnie nie spodziewał się przegranej Bronisława Komorowskiego i tego, że PiS będzie rządzić samodzielnie. Tusk nie lubi i nie umie przegrywać, więc wybrał drogę kariery unijnej, by tam przeczekać chude dla Platformy lata, a potem zdecydować co dalej.

Rokita prognozuje, że Tusk stanie do wyborów prezydenckich w 2020 r. tylko w dwóch przypadkach. – Albo jeśli PO

z Jarosławem Kaczyńskim. – Gdyby prezes PiS Jarosław Kaczyński zdecydował się kandydować w wyborach prezydenckich, to nie wahałbym się ani chwili i stanąłbym do takiego pojedynku – oświadczył.

Sympatycy Tuska odebrali to jako wyzwanie rzucone liderowi PiS, sympatycy PiS z kolei jako rezygnację z kandydowania, skoro jasne jest, że Kaczyński kandydować nie będzie. – Donald Tusk nie chce przegrać z Andrzejem Dudą, który według prezesa Kaczyńskiego będzie kandydatem na prezydenta w 2020 r. – skomentowała Beata Mazurek, rzeczniczka PiS.

PAMIĘĆ WYBORCÓW

W jeszcze wcześniejszym wywiadzie Tusk deklarował, że „na pewno nie wybiera się na emeryturę”. – To, co robię w Brukseli, daje mi poczucie, że mam wiedzę i narzędzia, które będzie warto wykorzystać – mówił. I choć zastrzegł, że „nie chce formułować żadnych scenariuszy”, to jednocześnie dodał: – W 2019 r. będę tutaj i niech nikt nie myśli, że będę tylko oglądał telewizję czy grał w piłkę z wnukami.

Przywołany na początku sondaż dla „Super Expressu”, w którym Tusk uzyskuje wynik zbliżony do wyniku urzędującego prezydenta Andrzeja Dudy, wielu komentatorów odczytało jako bardzo obiecujący dla Tuska. Skoro nie ma go od trzech lat w krajowej polityce, a mimo to cieszy się niesłabnącą popularnością, to co dopiero będzie, jak wróci tu na dobre i rozpocznie kampanię? Tyle tylko że tę logikę można odwrócić. Być może właśnie stąd dobry wynik Tuska, że wiele wydarzeń z jego udziałem zatarło się wyborcom w pamięci. Gdyby Tusk zdecydował się na start w wyborach, PiS mocno by się postarał, aby pamięć wyborcom odświeżyć i przypomnieć wszystko to, od czego Tusk będzie chciał się odciąć – od ośmiorniczek i afery podsłuchowej przez Amber Gold, OFE po wypowiedzi, że pieniędzy na „500+” w budżecie nie ma, bo gdyby były, to on dawno by je znalazł. Rację ma Rokita, gdy mówi, że Tusk nie zaryzykuje startu, nie mając absolutnej pewności wygranej. To polityk, który od wielu lat wybiera tylko wygrane bitwy. Jeśli PiS wygra wybory w 2019 r., a w 2020 r. sondaże Andrzeja Dudy będą stabilne, to do startu nie przekonają go nawet rozpaczliwe okładki: „Tusku, musisz!”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Gdyby Tusk zdecydował się na start w wyborach, PiS mocno by się postarał, aby pamięć wyborcom odświeżyć

obawiają się, że byle krytyka pod jego adresem może go pogrążyć.

W każdym razie na wszelki wypadek zamierzają zapewnić Tuskowi barierę ochronną tak długo, jak będzie trzeba. Kiedy zatem na początku października były premier pojawi się na przesłuchaniu komisji śledczej ds. Amber Gold, możemy znów spodziewać się tłumów witających go i odprowadzających do budynku Sejmu. Dokładnie tak, jak było w ubiegłym roku, gdy przyjechał na przesłuchanie (w charakterze świadka) do prokuratury. Chodzi o manifestację, jak wielkim poparciem i niesłabnącą popularnością cieszy się w Polsce były premier.

Jednak to nie popularność będzie czynnikiem przeważającym, jeśli chodzi o decyzję samego Donalda Tuska, czy kandydować w wyborach prezydenckich. Najważniejsze będą okoliczności polityczne w roku 2019, czyli to, kto wygra wybory parlamentarne i będzie rozdawał karty w parlamencie.

WIEDZIAŁ, KIEDY ODEJŚĆ

Jan Rokita, który dobrze zna sposób myślenia Tuska, trafnie opisał to, co musiałoby się stać, by Tusk rzeczywiście zechciał powalczyć o prezydenturę

przetrwali i osiągnie wybitny sukces wyborczy. Na razie niewiele na to wskazuje. Albo gdy powstanie zjednoczony front opozycji, który zaprosi go do wjazdu na białym koniu do Polski. Warunkiem tego drugiego wariantu jest odejście Schetyny i kryzys Platformy. Myślę, że to jest opcja, na którą stawia teraz Tusk – uważa Rokita.

Z tego ostatniego doskonale zdaje sobie sprawę Schetyna, dlatego niechętnie dziś mówi o planach na przyszłość. – Geografia polityczna w polskim Sejmie będzie decydująca co do tego, kto będzie startował i czego się możemy spodziewać – mówił niedawno w Polsat News, dając do zrozumienia, że zrobi wszystko, by to on decydował, kto i na jakich warunkach będzie kandydatem PO w wyborach prezydenckich.

POJEDYNEK?

Sam Tusk na razie nie mówi ani tak, ani nie. Za każdym razem, gdy podczas pobytu w kraju udziela wywiadu TVN24, rzuca aluzję, która rozbudza wyobraźnię polskich polityków i komentatorów, a z której niewiele wynika. Ostatnio np. stwierdził, że chętnie stanąłby do rywalizacji wyborczej, ale

Premierowe odcinki w każdy
poniedziałek 20:00



ZADAWAJ PYTANIA NA ŻYWO

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl



Piotr Semka

Czy w płataninie oskarżeń można znaleźć jakieś racjonalne zasady oceny polskich polityków z „PZPR w życiorysie”?



Graw czerwone

Jakbym wiedział, że Piotrowicz jest w PZPR, to bym z niej wystąpił” – ogłasza dziś z emfazą Włodzimierz Czarzasty. To oczywista hucpa lidera SLD, ale też dobry przykład tego, jak w grze o wypominanie życiorysów obóz okrągłostołowy nagle poczuł się mocny. Prawo i Sprawiedliwość wydaje się zaskoczony tym zwrotem wydarzeń. Jej politycy przypominają w mediach, że większość aktywnych do końca istnienia PZPR polityków jest dziś w obozie Platformy i SLD.

Jednak wystarczyło wysunięcie na czoło politycznych wojen PiS Stanisława Piotrowicza, prokuratora wiernego partii komunistycznej do 1990 r., by aktywiści KOD poczuli moralne prawo do smarowania skrótem PZPR lokali rządzącej partii.

Dzisiaj, gdy od schyłku PRL mija już niemal 30 lat, młoda generacja Polaków zazwyczaj nie wchodzi w niuanse, kto był „u czerwonych” do końca, a kto wcześniej

odszedł z trzaskaniem drzwi i narażał się w podziemiu.

Coś, co wydawało się jasne ileś lat, nie musi być jasne dla kolejnej generacji. Sam odczułem to niedawno, gdy w sieci zaczęło krążyć – z adnotacją „sensacja” – moje zdjęcie z Jackiem Kurskim z 1990 r. Tuż przed drugą turą wyborów prezydenckich w 1990 r. trzymamy duży plakat z napisem: „Wałęsa tak”.

Zdjęcie pochodzi z naszej książki „Lewy czerwcowy”, która ukazała się po obaleniu rządu Jana Olszewskiego w 1992 r. i była naszym krytycznym rozliczeniem się z prezydentem Lechem Wałęsą. Przez ponad dwie dekady wszyscy pamiętali tę naszą spowiedź z nadziei wiązanych z Wałęsą i krytykę jego rządów. Jednak przychodziły nowe pokolenia i nie mają ochoty na badanie niuansów, ideowych rozczarowań i zmian kursu. Odkrywają jakiś fakt z przeszłości i przypasowują go do dzisiejszych poglądów. Przez lata uderzało to w opozy-

cjonistów ze stalinowskim epizodem – od Kuronia do Bauman.

Dzisiaj ten sam proces uderza w byłych członków PZPR w szeroko rozumianym obozie dobrej zmiany. Podawanych nazwisk nie jest wiele – wciąż słychać te same, ale obejmują ludzi znanych. To bardzo często Krzysztof Czabański, Wojciech Jasiński, Jerzy Targalski czy Marcin Wolski. Wszyscy oni mieli epizod w partii komunistycznej i dla wszystkich cezurą był sierpień 1980 r., a najpóźniej stan wojenny. Czabański już w 1981 r. był redaktorem „Tygodnika Solidarność”. Po 13 grudnia rzucali czerwone legitymacje. Brali udział w działalności opozycyjnej. Wolski miał zakaz pracy w mediach i założył niezależny od władz kabaret objazdowy.

Dzisiaj znaleźli się w luce niepamięci o tamtych latach. Młodzi niechętni władzy wytykają im partię, a młodzi z mediów sprzyjających dobrej zmianie często nie wiedzą, jak do zarzutów o PZPR się odnieść, i tylko ripostują: „A u was było więcej komuchów”.

Ja pamiętam jeszcze tamtą epokę.

CENNI SOJUSZNICY

W czasach PRL wystąpienie przeciw władzy członka PZPR było przyjmowane z ekscytacją. Już list otwarty do członków PZPR w 1964 r. Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego zrobił wrażenie wśród wielu Polaków właśnie dlatego, że napisali go członkowie partii. Tak samo przyjmowano oddawanie legitymacji partyjnych przez pisarzy, filmowców czy intelektualistów z elit twórczych. „Skoro już partyjni występują przeciw władzy, to musi być naprawdę źle” – tego typu opinie wpadały mi do ucha od chwili, gdy zainteresowałem się polityką.

Sam pamiętam rozważania w dyskusjach dorosłych, czy prof. Edward Lipiński, współzałożyciel KOR, jeszcze formalnie jest członkiem PZPR czy już nie. Wolna Europa podkreślała na wszystkie sposoby otarcie się choćby członków partii o opozycyjne listy i memoriały. Nic dziwnego – takie informacje pozwalały na łamanie bariery strachu przed popieraniem czynnego oporu przeciw ekipie Gierka.

A potem wybuchł Sierpień 1980 r. i zmiany Szawłów w Pawłów stały się czymś normalnym. W albumie o proteście w Stoczni Gdańskiej wydanym w 1981 r. znajduje się dość tajemnicza scena. Oto jeden z delegatów strajkowych staje na krześle, przysięgając na wiszący na ścianie krzyż. Był to Zdzisław Marchlewicz, wysłannik trzech strajkujących zakładów

z Pruszcza Gdańskiego. Ktoś na sali rozpoznał w nim sekretarza zakładowej organizacji PZPR. Oburzony brakiem zaufania Marchlewicz przysięgł na krzyż, że będzie lojalny wobec strajkujących. I wszyscy z chwilą przysięgi przyjęli go z entuzjazmem. Bogdan Lis, jeden z liderów strajku w Sierpniu 1980 r., w chwili wybuchu protestu był członkiem PZPR i choć formalnie partię opuścił dopiero w 1981 r., to nigdy nie kwestionowano jego lojalności. Z życzliwością przyjmowano pomoc partyjnych reformatorów. Tak było ze Stefanem Bratkowskim, szefem SDP, lecz także członkiem PZPR do stanu wojennego, który mediował w sporach Solidarności z władzą. Prasa związkowa życzliwie śledziła też aktywność tzw. poziomek, czyli struktur poziomych w PZPR, mając na widoku nadzieje na rozmiękczenie partii. Maciej Łopiński i Andrzej Liberadzki – obaj sympatyzujący z „poziomkami” – redagowali w latach 1980 i 1981 gdański magazyn „Czas” jako pismo otwarte na dialog z Solidarnością, gdy „Polityka” – dziś fryzowana na pismo liberałów – była o wiele mniej jednoznaczna. Całe to życzliwe kibicowanie ludziom „dobrej woli” w partii zakończył moment wprowadzenia stanu wojennego.

Wtedy większość tych, „którzy chcieli dobrze”, legitymację PZPR oddała. O ich późniejszej niedoli opowiadano w ponurych miesiącach stanu wojennego jako o czymś wzniosłym – choćby o Jacku Maziarskim, delegacie na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR w lipcu 1981 r., który dał do prasy ogłoszenie: „Przyjmę każdą uczciwą pracę”. Nieporównanie mniej osób wiedziało, że usunięci z PZPR Maciej Łopiński z Andrzejem Liberadzkim redagowali od 1983 r. podziemne pismo gdańskiego regionu nielegalnej Solidarności. Stare znajomości miały zaskakujący walor. Dzięki plotkom od dawnych kolegów Łopińskiego z Liberadzkim z gdańskiego KW gdańska „regionówka” zawsze miała świeże informacje z zaplecza trójmiejskiego obozu władzy.

W wyborach w 1989 r. członkostwo w PZPR do 13 grudnia 1981 r. także nie było żadnym problemem w walce o miejsce na listach Solidarności, o ile ktoś miał podziemne zasługi. Najbliższy ówczesny doradca Wałęsy Bronisław Geremek też miał partyjny epizod.

W powstającym od 1990 r. Porozumieniu Centrum, pierwszej partii Jarosława Kaczyńskiego, na czoło wysunęli się Jacek

Maziarski i Krzysztof Czabański – obaj z partyjnym epizodem w życiorysie, ale nikt nie robił z tego problemu. Duet Łopiński-Liberadzki także bez problemu objął szefostwo solidarnościowego „Tygodnika Gdańskiego”.

Nikt nie robił z tego zagadnienia, bo po lewej stronie właśnie odbywał się nieporównanie bardziej efektowny i szokujący spektakl. Oto Adam Michnik przeprowadzał trzy procesy naraz. Po pierwsze, winował najpierw Wojciecha Jaruzelskiego, a potem Czesława Kiszczaka na postument „ludzi honoru”. Po drugie, kreował młodych partyjnych reformatorów, na czele z Aleksandrem Kwaśniewskim, Włodzimierzem Cimoszewiczem i Jerzym Jaskiernią, na nadzieje polskiej demokracji. I wreszcie trzecie zjawisko – walczył zębami i pazurami, chroniąc byłych członków SB i jej współpracowników przed lustracją oraz dekomunizacją.

Na tym tle PZPR-owski epizod Czabańskiego czy Wolskiego ginął wśród fajerwerków demonstracji przyjaźni Michnika z Jaruzelskim czy z Jerzym Urbanem.

Od tej generalnej abolicji szefa „Wyborczej” dla postkomunistów były dwa wyjątki. Jeden to podejrzenia o moczaryzm

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

**posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu**

- dwa badania lekarskie oraz badanie biomechaniczne postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie **19.08 - 30.09.2018 r.**

W ofercie również **POBYTY WYPOCZYNKOWE**



**Klinika Uzdrawiskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II**
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

– ich ofiarą padł traktowany na dystans Józef Oleksy i w mniejszym stopniu Leszek Miller, którym wypominano akces do partii w 1968 r. Drugim wyjątkiem były realne konflikty interesów. Gdy Robert Kwiatkowski, Lech Nikolski i Aleksandra Jakubowska próbowali „skroić” Agorę, Michnik natychmiast ich obrzucił kłutwą „nowych pampersów” – od nazwy grupy marzącej o budowie nowoczesnych prawicowych mediów.

Jednak jeśli tylko nie miało się epizodu z Marca '68, to żadnego wypominania okresu partyjnego nie trzeba było się spodziewać. Twórca reform III RP Leszek Balcerowicz miał za sobą członkostwo w PZPR do 1981 r. i nikt w mainstreamie się na ten temat nawet nie zająknął. Szybciej już po prawej stronie wytykano posiadanie legitymacji PZPR do 1990 r. Henrycie Bochniarz, minister gospodarki w rządzie gdańskich liberałów, czy Marcinowi Święcickiemu z Unii Wolności.

W ślad za UW zasadę niemal absolutnej otwartości dla byłych PZPR-owców i tajnych współpracowników SB przyjęła Platforma Obywatelska. Donald Tusk po katastrofie SLD przyjął pod swe skrzydła Danutę Hübner, Dariusza Rosatiego i Włodzimierza Cimoszewicza, a Michał Boni, gdy już poczuł się w platformerskim obozie pewnie, przyznał się do współpracy z SB i objął fotel ministra administracji i cyfryzacji w drugim rządzie Donalda Tuska.

KACZYŃSKI W BUDIONOWCE

Procesowi rehabilitowania „reformatorskich” członków PZPR przez Unię Wolności i Adama Michnika od początku lat 90. towarzyszyło zmienianie sensu. Po układzie Okrągłego Stołu każda chęć dekomunizacji była uznawana za bolszewizm. Na okładkach „Wprost” Jarosław Kaczyński ubierany był w szpiczastą budionówkę, a na łamach „Nie” straszył Antoni Macierewicz jako lustracyjny czekista lub miłośnik Che Guevary w skórzanym płaszczu z naganem w rękę. Towarzyszyła temu jeszcze inna teza Michnika – komunizm był najbardziej szpetny, gdy szedł pod rękę z nacjonalizmem. Do znudzenia przypomniano cytaty z Czesława Miłosza o PZPR jako emanacji ONR.

PiS długo lekceważył tego typu ataki. Było pewne, że jego dorobek walki na rzecz lustracji, dekomunizacji i ukarania zbrodni stanu wojennego jest na nie najlepszą odpowiedzią.

Tak można było uważać do lat 2005–2007 r., gdy PiS pierwszy raz objął władzę,

ale i pierwszy raz zetknął się z problemem braku kadr. I właśnie za premierostwa Jarosława Kaczyńskiego Platforma z lubością wyciągnęła PiS polityczny awans sędziego Andrzeja Kryżego najpierw na podsekretarza, a potem sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Kryże w latach 70. skazywał opozycjonistów, w tym Bronisława Komorowskiego. Niejako na fali wyciągnięto Kaczyńskiemu nominację na ministra skarbu dla Wojciecha Jasińskiego, kolegi ze studiów, ale do 1982 r. członka PZPR. To było już odejście od zasady, że nie wypomina się akcesu do partii tym, którzy zerwali z systemem po stanie wojennym. Jednak działała już też logika walenia w PiS czym się da. Na podobnej zasadzie nagłośniono fakt, że po 13 grudnia Kaczyński nie był internowany, jako dowód, że nie był opozycjonistą, choć Tuska także nie umieszczono wtedy na listach zatrzymań.

Kaczyński w myśl logiki obłączonej twierdził nie zdymisjonował Kryżego, o Jasińskiego już nawet nie wspominając. Ten przypadek nie okazał się jednak dla lidera PiS ostrzeżeniem, jak bardzo łatwi do ugodzenia są niekonsekwentni moralisci. Jarosław Kaczyński uznawał, że jego placet to ostateczne rozgrzeszenie.

W rządzie Kaczyńskiego minister budownictwa Andrzej Aumiller był członkiem PZPR aż do jej rozwiązania, podobnie jak potem skarbnik PiS z lat 2009–2014 Stanisław Kostrzewski. Bywały też sytuacje dziwaczne. Oto w 2007 r. znana socjolog Jadwiga Staniszkis, która – wydawałoby się – powinna znać gdańskie podziemie z lat 80., w wywiadzie prasowym „odkryła”, że Maciej Łopiński był w PZPR. I znów Staniszkis odrzuciła tradycję niewypominania partii, o ile przygoda z nią zakończyła się po ogłoszeniu stanu wojennego i po niej następował epizod podziemny.

Potem to PO znalazła się w defensywie. Wyszła na jaw wspomniana już współpraca Boniego z SB, a Tusk musiał wiele się nagimnastykować, by bronić Lecha Wałęsy wobec dokumentów ujawnionych przez duet Cenckiewicz-Gontarczyk.

Po powrocie do władzy PiS w 2015 r. dla jednoznacznie antykomunistycznego wizerunku tego ugrupowania, w porównaniu ze sprawą sędziego Kryżego, był casus Stanisława Piotrowicza. Kaczyński postawił na byłego prokuratora z epoki PRL i członka egzekutywy KW PZPR w krośnieńskiej prokuraturze jako lidera zmagających się o zmianę w TK i sądownictwie.

Piotrowicz jako szef Komisji Sprawiedliwości był mimo wszystko czymś nowym

dla standardów PiS. Wcześniej nie było w klubie miejsca dla ludzi, którzy choć otarli się o represje stanu wojennego. Co kierowało Kaczyńskim? Zimna krew Piotrowicza na burzliwych komisjach? A może władcze przekonanie, że to on decyduje o tym, kto był prawdziwym komunistą? Tak czy inaczej opozycja dobrze wykorzystała taką okazję do ataków.

PORA NA WNIOSKI

Młodsze pokolenia nie wyznają się już dobrze w zbyt skomplikowanej dla milennialsów płataninie życiorysów w polskiej polityce. A TVP co rusz robi opozycji prezenty, dopuszczając do kuriozalnych sytuacji, w których Marek Król, były sekretarz KC PZPR do 1990 r., proszony jest o komentowanie i ocenianie przeszłości Ewy Gawor.

Jednak los lubi płać figle. Niedawno wyszła na jaw szpetna przeszłość sędziego SN Józefa Iwulskiego, a ostatnio wspomnianej Ewy Gawor. Więcej szkieletów w szafie wciąż ma obóz totalnej opozycji.

Na dodatek narasta skala groteski. Oto grupa byłych polityków PZPR na czele z Aleksandrem Kwaśniewskim i Włodzimierzem Cimoszewiczem podpisała niedawno list porównujący obecną policję do ZOMO.

Sławomir Cenckiewicz skomentował to tak: „Piotrowicz większym komunistą niż Stalin, Lenin, Mao? Mógł tow. Piotrowicz się do PO zapisać, to byłby uznany za niezłomnego i wówczas jego »precz z komuną« z trybuny sejmowej zyskałoby inny wymiar”.

PiS może jak zwykle liczyć, że opozycja przykryje jego błędy swoimi, jeszcze większymi.

Powrót SLD w sondażach do pozycji ok. 10 proc. zapewne już niedługo przyniesie nawrót postkomunistycznej arogancji tej partii. Zakochani w tradycji PRL starzy i młodzi działacze przypomną Polakom o swoim kulcie Jaruzelskiego i trosce o pozbawionych wysokich emerytur esbeków.

Jednak upływ czasu będzie wyostrzał kontury historii i pozostawał mniej miejsca na światłocienie. Stanisław Piotrowicz i sędzia Kryże będą latami przypinani jako dowód na postpeerelowski charakter PiS, choć to po stronie PO i SLD są sympatie setek tysięcy najbardziej gorliwych obrońców stanu wojennego – od płk. Adama Mazguły do Jerzego Urbana. Niesprawiedliwie? Na pewno tak, ale taką cenę płaci się za brak konsekwencji.

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy zawieszenie przez Sąd Najwyższy przepisów ustawy o SN to już otwarty bunt sędziów?

MEC. JAN OLSZEWSKI: To nie jest żaden bunt sędziów, tylko zwyczajne nadużycie władzy sądowniczej. Obowiązująca obecnie konstytucja – której fanem nie jestem, ale przestrzegać jej należy – bardzo wyraźnie wprowadza zasadę trójpodziału władzy i w miarę precyzyjnie ten trójpodział określa. Wyłącznym prawem do tworzenia norm prawnych dysponuje władza ustawodawcza. Do władzy sądowniczej należy jedynie szeroko pojęta wykładnia norm, tworzonych przez władzę ustawodawczą. Sędziowie SN tę zasadę złamali. Zastosowali bowiem normę, która nie tylko nie została nigdzie w polskim prawie zapisana, lecz także nie da się tej normy wyinterpretować z żadnego obowiązującego przepisu. Tym samym dokonali pewnego aktu sądowniczej samowoli.

Sędziowie SN powołali się na instytucję zabezpieczenia...

Gdzie Rzym, gdzie Krym?! Nie można w sprawach ustrojowych stosować zasad obowiązujących w postępowaniu cywilnym. Sędziowie SN dokonali świadomej manipulacji. Ich inicjatywa zawieszenia przepisów ustawy jest absolutnie niedopuszczalna i musi zostać przez rząd zignorowana, a odpowiedzialni za nią sędziowie powinni podlegać postępowaniu dyscyplinarnemu.

W jednym z wywiadów stwierdził pan, że nie mamy do czynienia z dwuwładzą sądowniczą, tylko z niesubordynacją sędziów. Sprawa wydaje się jednak poważna, bo znaczna część prawników, polityków i ich zwolenników uważa decyzje tych sędziów za obowiązujące. Czy jest jakiegokolwiek rozwiązanie, które pogodziłoby obie strony sporu prawnego w Polsce?

Kompromis można zawrzeć w sporze politycznym. Tutaj jednak mamy do czynienia ze sporem o praworządność. Jedna strona uchwała prawo, a druga nie chce tego prawa przestrzegać. Dlatego nie ma żadnej płaszczyzny do kompromisu. Uważam, że zmiana struktury Sądu Najwyższego zgodnie z nową ustawą powinna być konsekwentnie przeprowadzona do końca.

Opozycja i tak będzie nowych sędziów SN nazywać „dublerami”, podobnie jak to miało miejsce w przypadku TK.

Oczywiście. Mamy do czynienia z opozycją totalną. To nie zmienia faktu, że powołane zgodnie z konstytucją instytucje



Z mec. Janem Olszewskim, byłym premierem rozmawia Maciej Pieczyński

Sędziowie SN dokonali świadomej manipulacji

muszą zacząć działać. Uważam jednak, że nierozwiązany pozostaje problem prezesury Małgorzaty Gersdorf. W tym wypadku zachodzi pewna wątpliwość co do tego, który z przepisów należy zastosować: czy ten mówiący o kadencji I prezes, czy ten dotyczący zmiany wieku emerytalnego. Ten dylemat powinien rozstrzygnąć jedyny powołany do tego organ, jakim jest TK. Trudno się było spodziewać, że sprawę do TK skieruje bojkotująca wszystko totalna opozycja. Na wysokości zadania powinien jednak stanąć obóz rządzący. To wielki błąd, że nie skorzystano z TK.

Czy Julia Przyłębska na stanowisku prezesa TK to dobra zmiana w porównaniu z poprzednikiem? Jest mniej upolityczniona?

Nie słyszę codziennie medialnych, politycznych wypowiedzi pani prezes. Oczywiście udziela wywiadów, bo nie ma powodu, by ignorować media, ale zachowuje w swoich wypowiedziach wstrzemięźliwość. W tym sensie to wy-

rażny postęp w porównaniu z Andrzejem Rzeplińskim, który nie tylko brylował w niechętnych władzy mediach, lecz także uczestniczył w imprezach politycznych.

Stwierdził pan, że nowym prezesem SN powinien zostać człowiek spoza polityki. Czy w ogóle są w Polsce sędziowie naprawdę apolityczni?

Moim zdaniem prezesem SN powinien zostać ktoś o cechach charakteru i poglądach na rolę sędziego, które reprezentuje Barbara Piwnik. Oczywiście to była minister sprawiedliwości w rządzie SLD, jednak nie można jej zarzucić, że stoi obecnie po którejśkolwiek ze stron sporu politycznego w Polsce. W swoich medialnych wypowiedziach prezentuje wyważone, zgodne z aktualnym stanem prawnym opinie. To jest według mnie wzór niezależnego sędziego.

Mówiliśmy o dwuwładzy sędziowskiej, teraz porozmawiajmy o dwuwładzy w ogóle. Prezydent Gdańska niedawno zapowiedział, że nie zaprosi wojska na obchody rocznicy II wojny

■ światowej. Ostatecznie zaproszenie dla szefa MON wystosował, ale niesmak pozostał. Szczególnie że pierwszej decyzji Pawła Adamowicza opozycja przyklasnęła. Nie obawia się pan, że grozi nam podział na dwie Polski, już nie tyle w sferze sądów, polityki, ile w sferze najbardziej podstawowych symboli?

Dla mnie zamieszanie wokół rocznicy wybuchu wojny to sprawa szczególnie przykra. Pamiętam wrzesień 1939 r. Miałem wtedy dziewięć lat. To był czas mojego, gwałtownie wówczas przerwano przez wojnę, dzieciństwa. Wszyscy słuchaliśmy z ogromnymi emocjami komunikatów Polskiego Radia. Przez pierwszy tydzień tego tragicznego września spiker codziennie rano powtarzał słowa: „Westerplatte broni się nadal”. Dla mojego pokolenia to hasło miało wielkie, symboliczne znaczenie. Dlatego nie potrafię zrozumieć zachowania prezydenta Gdańska. Paweł Adamowicz najwyraźniej reprezentuje inne pokolenie, inne przekonania, inny stosunek do historii, imponują mu tradycje Wolnego Miasta Gdańska lat 30., kiedy po ulicach maszerowały hitlerowskie bojówki, a w senacie WMG większość głosów miała NSDAP... Żeby nigdy do podobnego rocznicowego skandalu nie doszło, potrzebne jest nowe prawo, które kwestię ogólnonarodowej symboliki wyłączy z kompetencji władz samorządowych. Myślę, że przygotowaniem takiego projektu powinien się zająć pan prezydent Andrzej Duda.

Opowieść o „lewym czerwcowym” służy PiS jako polityczny mit założycielski. Na ile Zjednoczona Prawica realizuje to, czego nie zdołał dokonać rząd Jana Olszewskiego?

Od tzw. nocy teczek minęło ćwierćwiecze, wiele od tamtego czasu się zmieniło, więc trudno mi odpowiedzieć jednoznacznie. Co do zasady byłem i jestem zwolennikiem dobrej zmiany. Jednak poszczególne działania obecnego rządu oceniam różnie. W moim przekonaniu największym dokonaniem Zjednoczonej Prawicy jest podjęcie próby zwalczania patologii życia społecznego i publicznego, które były skutkami przyjętego kierunku transformacji ustrojowej. Bardzo dobrze oceniam wszelkie prospołeczne działania. Znakomitym rozwiązaniem okazał się program „500+”. Pozytywnie oceniam również priorytetowe traktowanie polskiego interesu narodowego w polityce zagranicznej i gospodarczej. Razi mnie natomiast pogarszający się styl debaty publicznej. Odpowiedzialność za to ponoszą obie strony politycznej barykady, chociaż oczywiście w różnym stopniu.

Nie widać końca wojny polsko-polskiej. Sugerował pan niedawno, że Jarosław Kaczyński powinien wybaczyć Wałęsie...

Początkowo wydawało mi się, że występując z inicjatywą pojednania, Wałęsa przemyślał sobie własną przeszłość. Obecnie jednak wolałbym poczekać, sprawdzić, czy to element jakiejś postępującej przemiany wewnętrznej czy kolejna prowokacja. Wałęsa już tyle razy zmieniał zdanie, że jego deklaracjom należy przysłuchiwać się z wielką ostrożnością i ograniczonym zaufaniem.

Wierzy pan, że gdyby PiS złagodził retorykę, druga strona zrobiłaby to samo? Jak dotąd za każdym razem, gdy rząd się z czegoś wycofywał, opozycja atakowała równie mocno, tym razem zarzucając władzy słabość albo zdradę własnych wyborców.

Trudno się czego innego spodziewać po opozycji, która sama na swój temat ukuła – fatalne, moim zdaniem – hasło „opozycji totalnej”. Natomiast nie wiem, czy pan pamięta, ale na początku rządów PiS Jarosław Kaczyński wystąpił z propozycją, by – wzorem brytyjskiego parlamentaryzmu – ustanowić instytucję lidera opozycji sejmowej, który miałby zagwarantowaną wysoką pozycję i szerokie uprawnienia. Ten kompromisowy projekt pozostał, niestety, bez echa.

Przyczyną upadku pańskiego rządu, tak dobrze wspomnianego przez PiS, była próba lustracji. Do dziś politycy Zjednoczonej Prawicy chętnie wypominają przeciwnikom politycznym komunistyczną przeszłość – nie tylko agenturalną, lecz także partyjną. Tymczasem także wśród polityków PiS wciąż jest wielu byłych działaczy PZPR. Może PiS powinien dekomunizację zacząć od siebie?

Dzisiaj w powszechnej świadomości zaciera się granica pomiędzy lustracją a dekomunizacją, podczas gdy od samego początku były to dwa odrębne postulaty, dwa odrębne procesy, dwie odrębne sprawy. W PRL partia miała wielkie znaczenie propagandowe, jednak faktyczną władzę sprawowały służby specjalne – i właśnie to jest istota zbrodniczości tamtego systemu. Dlatego, o ile niezbędne było oczyszczenie państwa z byłych funkcjonariuszy i agentów SB, o tyle postulat czystki antykomunistycznej, jakkolwiek nośny i popularny, to jednak w polskich warunkach



FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

jest to faktycznie nierozwiązywalny problem. Trzeba pamiętać, że np. w okresie Gierkowskim ok. 3 mln ludzi należało do partii, a milion z nich w 1980 r. wstąpiło do Solidarności. Wypominanie PZPR-owskich korzeni jest wygodnym argumentem w debacie publicznej, wykorzystywanym przez obie strony sporu. Zarówno w PiS, jak i w obozie totalnej opozycji są dziś byli prominentni działacze PZPR. Jednak w PiS jest ich o wiele mniej.

Jednak niektórzy są na pierwszej linii frontu. Sejmową twarzą reformy sądownictwa jest prokurator z okresu stanu wojennego. To nie pasuje do wizerunku partii antykomunistycznej.

Niestety, ale można niemal policzyć na palcach jednej ręki prokuratorów z czasów PRL, których usunięto po przemianach ustrojowych. To samo dotyczy sędziów. Wymiar sprawiedliwości III RP nie został oczyszczony z ludzi pełniących funkcje przed 1989 r. To, że pan Piotrowicz był prokuratorem w czasie stanu wojennego, nie przynosi mu chwały, ale są różne świadectwa na temat jego działalności w tamtym okresie. Należy więc oceniać na podstawie konkretnych działań, a nie zajmowanych stanowisk.

Zastanawiać może też to, że PiS szybko się pogodził z prezydenckim wetem wobec ustawy degradacyjnej. Może po prostu czasy się zmieniły i antykomunizm staje się powoli pustym hasłem? Może dziś głównym wrogiem PiS nie jest już postkomuna, tylko totalna opozycja?

Coraz mniej jest ludzi, którzy znają czasy PRL z własnego doświadczenia. Osobiście również byłem przeciwnikiem ustawy degradacyjnej, ale z innych powodów niż obrońcy tamtego systemu. Zdegradować można generała, oficera lub podoficera do stopnia szeregowca. A szeregowiec to wciąż żołnierz, który ma prawo nosić polski mundur. Dlatego uważam, że zamiast ustawy degradacyjnej powinna zostać przyjęta ustawa relegacyjna – aby na jej podstawie komunistycznych zbrodniarzy całkowicie usuwać z szeregów polskiej armii. Dotyczyć to powinno jednak określonych służb, które w istocie rzeczy były narzędziem politycznego zniewolenia Polski: Informacja Wojskowa, aparat polityczno-wychowawczy, prokuratura i sądownictwo wojskowe. Proces relegacji powinien objąć także sowieckich oficerów, skierowanych przez Stalina do tworzenia polskiej armii w latach 1943–1956. Nie powinien natomiast dotyczyć zwykłych żołnierzy LWP. Dla wielu Polaków, którzy

nie zdążyli do gen. Andersa, służba w armii Berlinga była jedynym sposobem na wyrwanie się z sowieckiej niewoli i powrót do Polski. W szeregach LWP walczyło też wielu przymusowo wcielonych Polaków, w tym żołnierzy AK. Dlatego ich krew, przelana na Wale Pomorskim czy na ulicach Berlina, jest tyle samo warta co krew polskich żołnierzy spod Narwiku czy Monte Cassino. Mają oni takie samo moralne prawo do statusu kombatantów jak choćby powstańcy warszawscy. Natomiast komunistyczni zbrodniarze w polskich mundurach powinni być z wojska usunięci. Odpowiedzialność za załatwienie tej niezwykle ważnej symbolicznej kwestii spoczywa na barkach pana prezydenta.

Niedawno pojawiły się pogłoski, że do łask prezesa Kaczyńskiego wrócił Antoni Macierewicz. Myśli pan, że to prawda i że były szef MON – a nie-

Macierewicz był największym przegranym rekonstrukcji rządu. Największym wygranym zaś – Mateusz Morawiecki. Czy to materiał na następcę prezesa Kaczyńskiego?

Trudno mi powiedzieć, czy Mateusz Morawiecki ma wystarczający polityczny talent, by skonsolidować wokół siebie silny obóz. Z pewnością objął niezwykle odpowiedzialną funkcję w bardzo trudnej dla rządu sytuacji, znajdując się pod permanentnym ostrzałem opozycyjnej „ulicy” i „zagranicy”. Jeśli wziąć pod uwagę skalę trudności, to udało mu się uniknąć zasadniczych błędów.

A co będzie z Andrzejem Dudą? Podobno Jarosław Kaczyński znów obraził się na prezydenta. Tym razem powodem miała być zapowiedź zawetowania nowej ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Czy to możliwe, by PiS za dwa lata nie poparł reelekcji Dudy?

O ile niezbędne było oczyszczenie państwa z byłych funkcjonariuszy i agentów SB, o tyle postulat czystki antykomunistycznej w polskich warunkach to faktycznie nierozwiązywalny problem

gdyś minister w pańskim rządzie – wróci również do pierwszej ligi polskiej polityki?

Wciąż stoi przed nim bardzo ważne z punktu widzenia państwa zadanie, którym jest wyjaśnienie rzeczywistych przyczyn katastrofy smoleńskiej. Mam nadzieję, że z właściwą sobie energią Antoni Macierewicz wreszcie tę swoją misję pomyślnie zakończy. Uważam, że dymisja była błędem. W efekcie została bowiem przerwana reforma sił zbrojnych. Niestety, jego następcą na stanowisku szefa MON nie wykazuje się podobną energią i zdecydowaniem. Antoni Macierewicz, jako wyrazista, jednoznacznie określony polityk o poglądach narodowo-katolickich, miał zawsze wielu przeciwników. Między innymi właśnie dlatego stał się specjalistą od straceńczych, ale bardzo ważnych misji, które wymagają odwagi i nieliczenia się z ryzykiem wizerunkowych strat. Dokonał w życiu wielu bardzo ważnych rzeczy. Zapoczątkowanie lustracji to jego ogromna zasługa. Nawet jeśli nie udało się od razu, nawet jeśli zapłaciłmy za to upadkiem rządu, to było warto. Gdyby nie upór i konsekwencja Antoniego Macierewicza, proces rozliczeń z komunistyczną przeszłością nigdy nie zostałby przeprowadzony i dziś żylibyśmy w innej Polsce.

Jeżeli chodzi o sprawę ordynacji, to projekt PiS ma pewne uzasadnienie. Im wyższy próg wyborczy, tym mniejsze ryzyko dostania się do parlamentu egzotycznych ugrupowań. Uważam, że podwyższanie progu wyborczego to słuszną tendencją, i mówię to na podstawie własnego doświadczenia z pierwszej kadencji Sejmu, kiedy progu nie było w ogóle. Jednak moim zdaniem nowa ordynacja nie powinna wejść w życie, gdyż stworzyłoby to kolejny pretekst dla instytucji unijnych do oskarżania Polski o łamanie praworządności. Tym bardziej że ustawa dotyczy wyborów do jednej z tych instytucji i wychodzi poza powszechne w Unii standardy. Ogromna większość państw UE przyjęła zasadę, że całe państwo członkowskie jest jednocześnie okręgiem wyborczym. Gdyby takie rozwiązanie wprowadzono również w polskim systemie, nawet z nieco wyższym niż pięcioprocentowy próg wyborczy, nie można byłoby nam zarzucić naruszania standardów unijnych. A co do relacji prezesa Kaczyńskiego z prezydentem, to jeśli nie nastąpią zupełnie nieprzewidywalne wydarzenia, to uważam, że kandydatura Andrzeja Dudy z poparciem PiS jest przesądzona. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Wybranowski

Pedofilia w słupskiej instytucji to niejedyna bulwersująca sprawa, którą bliscy współpracownicy Roberta Biedronia próbowali zamieść pod dywan. Nie udało im się

Były poseł Ruchu Palikota, a obecnie prezydent Słupska – Robert Biedroń – coraz intensywniej wysyła sygnały wskazujące, że chce wrócić do wielkiej polityki. Co prawda jeszcze w marcu deklarował, że powalczy o reelekcję w mieście, ale już zaczął przymiarki do budowy nowego, lewicowego ruchu politycznego. „Kocham Słupsk podobnie jak Polskę” – napisał na Twitterze. A w rozmowie z „Newsweekiem” stwierdził, że czeka go „podjęcie trudnej decyzji”.

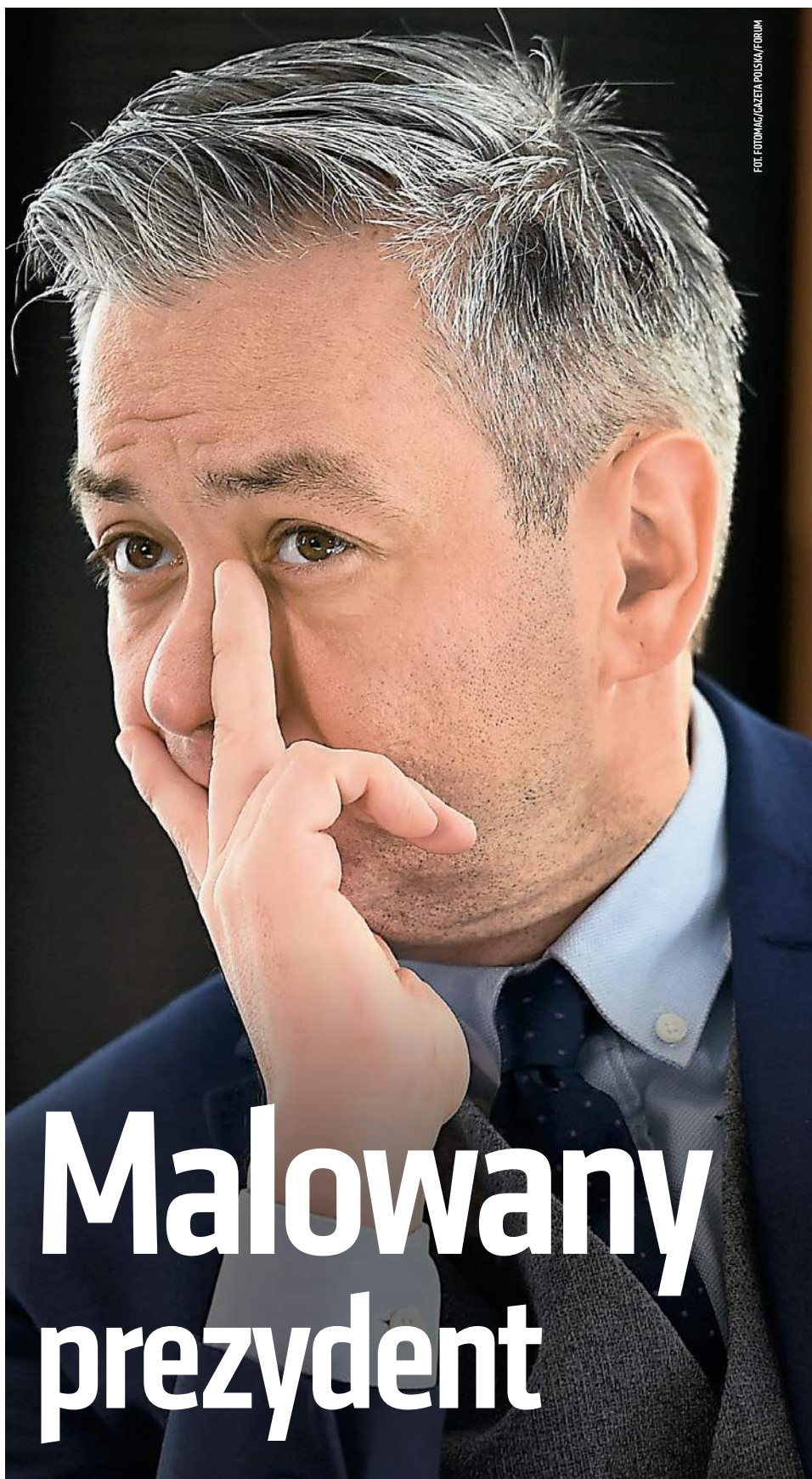
– W Słupsku już bardzo mocno widać, że prezydent Biedroń skłania się ku polityce krajowej. Stracił zainteresowanie sprawami naszego miasta, zwłaszcza takimi, które mogłyby sprawić mu kłopot, zakończyć się porażką, i chyba przygotowuje swojego następcę – uważa radny Daniel Jurasz ze Słupskiego Porozumienia Obywatelskiego.

W gronie polityków lewicy i byłych działaczy Nowoczesnej zainteresowanych współpracą z Biedroniem mówi się, że ogłosi on start własnego ugrupowania, jeżeli prezydent Andrzej Duda zawetuje nowelizację ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Stare przepisy dawałyby ugrupowaniu Biedronia – cieszącego się popularnością w elektoracie lewicowo-liberalnym – szanse na zdobycie mandatów europosłów.

Popularność prezydenta Słupska może jednak za chwilę mocno się zmniejszyć. Obciążają go nie tylko kiepskie zarządzanie miastem, lecz także – tak jak wytykają mu miejscowi samorządowcy i media – marazm oraz kompromitujący brak działań w dwóch poważnych aferach, które wstrząsnęły miastem, a które miały miejsce w kontrolowanych przez urząd instytucjach.

RATUSZ TUSZOWAŁ PEDOFILIĘ?

W maju policjanci aresztowali Pawła K., który w Miejskim Ośrodku Kultury



FOT. FOTOMAG/GAZETA POLSKA/FORUM

Malowany prezydent

w Słupsku prowadził dla dzieci kursy tańca. Funkcjonariusze ustalili, że K. molestował co najmniej dwie swoje podopieczne – 13- i 14-latkę. Prokuratura nie wyklucza, że ofiarą pedofila mogło paść więcej dzieci. Mężczyzna został tymczasowo aresztowany, jednak po kilku miesiącach sąd zdecydował o wypuszczeniu go na wolność.

Okazało się, że władze Słupska już w lutym miały sygnały o tym, iż Paweł K. molestuje dziewczynki, i nie powiadomiły o tym odpowiednich organów. Mężczyzna pracował i spotykał się z nastolatkami bez żadnych przeszkód aż do momentu zatrzymania przez policję.

– W tej sprawie pewne jest, że w połowie lutego do dyrektor MOK w Słupsku wpłynął anonim informujący, że Paweł K., molestuje dzieci. Szefowa ośrodka zamiast zawiadomić prokuraturę, wezwała K. i pokazała mu donos. Przedstawiła go też wiceprezydent miasta Krystynie Danileckiej-Wojewódzkiej, prawej ręce Roberta Biedronia. Nie spowodowało to żadnej reakcji wobec K. Gdyby anonim nie trafił również na policję, to kto wie, może nikt nie zatrzymałby tego procederu – mówi Przemysław Woś, dziennikarz Radia Gdańsk, który badał całą sprawę. Podkreśla, że nie ma dokumentów, które wskazywałyby, iż Biedroń został zapoznany z treścią anonimowego donosu. – Byłoby jednak bardzo dziwne, gdyby wiceprezydent miasta, zastępczyni Biedronia i osoba, z którą on sam bardzo blisko współpracuje, nie poinformowała go o tym, że w miejskiej placówce zatrudniona w niej osoba molestowała dziewczynki – dodaje dziennikarz.

Podejrzany o molestowanie nastolatek mężczyzna jest w Słupsku uważany za wielką gwiazdę. W 2016 r. Biedroń przyznał mu miejskie stypendium. Za pieniądze od prezydenta Paweł K. miał wspólnie z dziećmi przygotować spektakl pt. „Z ulicy na parkiet”.

Po wyjściu z aresztu śledczego Paweł K. poszedł do podlegającego miastu ośrodka, gdzie ponownie spotkał się z dziećmi, namawiając je do wyjazdu na organizowany przez siebie obóz. – Prezydent Biedroń nie wyciągnął żadnych konsekwencji wobec kierownictwa MOK, które mając informacje o pedofilskiej aktywności K., nie zawiadomiło policji, a następnie kolejny raz umożliwiło mu kontakt z młodzieżą. Jakby zupełnie nic się nie wydarzyło, jakby problem nie istniał, nie dotyczył ratusza – dziwi się

w rozmowie z nami jeden z miejskich urzędników.

Oficjalnie władze miasta poinformowały jedynie lokalnych dziennikarzy, że „sprawa jest delikatna” i nie będą jej komentować do zamknięcia śledztwa. Z Robertem Biedroniem nie udało nam się w ubiegłym tygodniu porozmawiać. Nie odebrał telefonu, nie odpisał na wiadomość z prośbą o rozmowę.

– Nie jest możliwe, by prezydent miasta, zatrudniający dyrektorów miejskich instytucji, nie otrzymywał informacji o niepokojących wydarzeniach w miejskich placówkach. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy brak działań w tej sprawie nie jest zaniechaniem obowiązków przez prezydenta Biedronia i jego współpracowników – komentuje słupska radna PiS Anna Mrowińska.

CICHO SZA...

Molestowanie dzieci w MOK to niejedyna afera, którą – jak opowiadają nam tamtejsi samorządowcy – Robert Biedroń i jego ekipa próbowali wyciszyć.

Kilka miesięcy temu grupa pracowników podległej miastu słupskiej biblioteki miejskiej poskarżyła się, że w pracy jest nieustannie mobbingowana i prześladowana przez szefową tej instytucji. Skarżyli się, że są wzywani „na dywanik”, straszeni utratą pracy za tzw. lajki czy wpisy na Facebooku. Zarzuty okazały się tak poważne, że miejscy radni zdecydowali się przeprowadzić wśród pracowników biblioteki ankietę. Chcieli też przeprowadzić kontrolę w bibliotece, ale nie zostali wpuszczeni do środka. Po tym, gdy sprawa została upubliczniona, szefowa placówki wzięła urlop. Po sześciu miesiącach – przy braku reakcji ze strony prezydenta – wróciła do pracy.

Wcześniej Państwowa Inspekcja Pracy zajęła się podnoszonymi przez kilku innych pracowników magistratu zarzutami o mobbing w samym ratuszu. Kontrolerzy ustalili, że urząd ma problemy z przestrzeganiem zasad BHP, wykryto też nieprawidłowości w wypłatach tzw. ryczałtów dla kierowców, a także brak właściwej reakcji na skargi czterech pracowników urzędu, którzy czuli się źle traktowani przez przełożonych. Pracownicy PIP chcieli też przeprowadzić wśród pracowników ratusza ankietę antymobbingową, ale – jak wynika z ujawnionych dokumentów – na to nie zgodził się Robert Biedroń.

– Sprawę mobbingu znam dobrze, zajmowałem się nią. Z pewnością gabinet

prezydenta Biedronia wiedział, że są sygnały dotyczące tego, iż źle się tam dzieje. Że nic nie zrobiono? Cóż, taka od dawna jest taktyka prezydenta Biedronia, zamiatania pod dywan wszystkich spraw, które mogą uderzyć w jego wizerunek jako świetnego samorządowca – mówi nam radny Daniel Jurasz ze Słupskiego Porozumienia Obywatelskiego.

Radny opowiada nam też, że ostatnie cztery lata Biedronia w Słupsku polegały głównie na medialnym lansie i działaniach wizerunkowych: jeździ na rowerze, sztucznej choince postawionej zamiast naturalnej pod ratuszem czy wprowadzeniu parytetów w nazwach ulic. Samorządowiec wytyka prezydentowi Słupska uciekanie od problemów miasta.

– Zapomniał, że wszystkich afer, wszystkich problemów się pod dywan zamieść nie da, bo w końcu dywan pęknie i zaczął wychodzić na wierzch – komentuje Jurasz.

BIJĄ W BIEDRONIA

Z pewnością Biedroniowi nie uda się zamieść pod dywan kwestii zaskakującego braku działań wobec informacji o pedofilii w miejskim ośrodku. Także dlatego, że cała sprawa już trafiła na arenę polityczną. W ubiegłym tygodniu Roman Giertych, adwokat polityków PO, zaatakował prezydenta Słupska w Internecie. „[...] Według mediów o praktykach Pawła K., zanim postawiono mu zarzuty i aresztowano, był informowany ratusz, ale prezydent Słupska Robert Biedroń był przeciwny kontroli w tym ośrodku. Bez wątpienia sprawa jest poważna i wymaga wyjaśnień. Do dnia dzisiejszego nie słyszałem żadnego stanowiska władz miasta Słupska w tej sprawie [...]” – napisał Giertych na Facebooku.

W kuluarach spekuluje się, że to kolejna odsłona wojny między opozycją PO, obecnie bliską Giertychowi, a Biedroniem. Wybuchła w połowie lipca, gdy do mediów przeciekły informacje o szykowanym przez prezydenta Słupska własnym, alternatywnym wobec Platformy ruchu politycznym, który jeśli zafunkcjonuje, to może odebrać PO część głosów lewicowego elektoratu. Sam Biedroń dotychczasowe działania partii Schetny określił wówczas mianem „dziadostwa”, zaś politycy Platformy zarzucili mu, że krytykując ich partię, wspiera PiS.

Dlaczego nie chcą śpiewać o konstytucji



Marcin Makowski

„Dlaczego nie śpiewacie o konstytucji? Dlaczego nie chodzicie pod Sąd Najwyższy, a całą robotę muszą za was odwalać Rolling Stones i Roger Waters?” – zdają się pytać „starzy” „młodych”

Im dłużej trwa ten spór pokoleniowy, im więcej w nim pretensji, tym silniejsze mam wrażenie, że elity III RP na dobre wpadły w koleiny moralizatorstwa i rekonstruowania własnej „heroicznej” przeszłości. Współcześni 20-, 30-latkowie mają po prostu wejść w ich ciuchy, bić się z ZOMO, konspirować, komponować protest songi, okazywać obywatelskie nieposłuszeństwo i obalić PRL bis. Jeśli tego nie robią, to tylko ze względu na hedonistyczne zachłyśnięcie się imponderabiliami dojrzałego kapitalizmu. Jednak na to, że młodzi mają gdzieś pouczenia tłustych misiów III RP, które za komuny obudziły się pod koniec lat 80., a 90. i dwutysięczne poświęciły na robienie kariery, żaden z nich nie wpadnie.

GWIAZDY NA RATUNEK

8 lipca The Rolling Stones zagrali w Polsce. Chociaż w 1967 r., gdy I sekretarzem KC PZPR był Władysław Gomułka, a wojska radzieckie stacjonowały na terytorium PRL, nie zabierali głosu na tematy polityczne (podobnie jak podczas koncertu

w 2016 r. na komunistycznej Kubie), tym razem było inaczej. W końcu list z apelem o obronę demokracji wysłał legendarny noblista, Lech Wałęsa. Co prawda sam go nie napisał, bo autorem i pomysłodawcą po fakcie okazał się jakiś zaangażowany społecznie mecenas, ale mleko się rozlało. „Jestem za stary, by być sędzią, ale jestem dość młody, by śpiewać” – powiedział ze sceny Mick Jagger. „Cały świat dowiedział się, jak w Polsce władza dokonuje zamachu na Sąd Najwyższy” – grzmiały nagłówki części polskich mediów i tweety polityków opozycji.

Rok wcześniej falę muzycznego wsparcia zapoczątkowali wokalista U2, który na koncercie w Amsterdamie wykrzyczał: „Naszym braciom i siostram z Polski odbierana jest wolność!”, oraz Patti Smith, występująca „w obronie puszczy”. Od tego czasu w dobrym tonie było pokazanie środkowego palca „Kaczorowi dyktatorowi” przez jednego czy drugiego progresywnego muzyka, odwiedzającego uciemioną ojczyznę Chopina. W te wakacje nastąpiło coś w rodzaju kumulacji politycznych coming outów światowych gwiazd. Massive Attack wyświetlali na Open’erze nagłówki z mediów, które dziwnym trafem obracały się jedynie wokół tematu „wolnych sądów” i „Unii, która ma uratować polskie sądy”. Pearl Jam koncertował z logotypem Ogólnopolskiego Strajku Kobiet w tle, a Roger Waters z Pink Floyd nauczał w Gdańsku o rodziale Kościoła od państwa oraz biegał w koszulce KOD, nazywając prezesa PiS „neofaszystą”.

Atmosfera wyczekiwania na kolejne ciosy w reżim okazała się tak napięta, że wielu puszczały nerwy. Gdy zespół Guns N’ Roses

przed koncertem w Chorzowie zatweetował: „What the F%CK is going on Poland?!” redaktor „Newsweeka” Dariusz Ćwiklak błyskawicznie podpiął ten komentarz do sytuacji politycznej w kraju. Niestety, chwilę później okazało się, że analogicznymi wrzutkami zespół promuje całą trasę koncertową. I zapadła niezręczna cisza. Do największego kuriozum doszło jednak pod koniec lipca na koncercie Iron Maiden w Krakowie. Gdybym nie był świadkiem słów Bruce’a Dickinsona i nie słyszał ich w pełnym kontekście, byłbym gotów uwierzyć, że nawet on, mówiąc o „cenie wolności, którą znamy w Polsce”, opowiada o sądach. Tak też część „środowisk demokratycznych” podawała dalej jego zdanie w mediach społecznościowych. A że chwilę wcześniej mowa była o II wojnie światowej, walce z niemieckimi nazistami, a jego wypowiedź dotyczyła bohaterstwa polskich żołnierzy... kto by się przejmował takimi detalami? Podstarzałe gwiazdy rocka, nawet jeśli autentycznie przejmują się polską praworządnością, władzy jednak nie obalą. I tu leży pies pogrzebany, bo pałeczki po nich nie chcą przejąć młodzi.

PIĆ, JEŚĆ, SPAĆ, ZAMIAST PROTESTOWAĆ

„Taco i reszta woli śpiewać o DM-ach niż o TK, SN czy prawach kobiet” – zatweetował Tytus Hołdys, syn Zbigniewa Hołdysa, prywatnie właściciel popularnej wśród warszawskiej hipsterki knajpy Miejsce Chwila. O ile skróty TK i SN są oczywiste, o tyle dla jasności dodam, że DM oznacza „direct message”, czyli prywatne wiadomości wysyłane na komunikatorach internetowych. Ten żal – tutaj wyrażony wobec

Taco Hemingway nie śpiewa o SN i TK

FOT. PAWEŁ SKRABA/REPORTER



popularnego rapera Taco Hemingwaya – przenoszony jest jednak coraz częściej na całe pokolenie obecnych 20- i 30-latków.

Dorastające w PRL, a dojrzewające w III RP elity zdają się nie rozumieć, skąd w młodych ten marazm. Dlaczego nie mamy swojego Maanam, Dezertera, Kultu, Perfectu, a nawet – celnie komentującego siermiężną rzeczywistość lat 90. – T.Love, Ciechowskiego, Tiltu, Piersi i Pidżamy Porno? Dlaczego właściwie żaden z artystów nie bierze na tapetę „walki o prawa reprodukcyjne”, nie dissuje Ziobry i Macierewicza, nie daje pstryczka w nos „PiS-owskiemu Trybunałowi Konstytucyjnemu”? Zamiast tego pustka, doczesność, hajs i pierwsze miłości. „Podobnie jak większość społeczeństwa nucę sobie od paru tygodni piosenkę, która zasłużenie stała się przebojem lata. Jednak im dłużej jej słucham, tym bardziej daje mi ona do myślenia. Dodam: niestety. Jak to bowiem świadczy o czasach, w których przyszło nam żyć, skoro nawet rockandrollowcy namawiają, by nie iść pod wiatr i nie sięgać gwiazd, tylko czekać, aż one przyjdą do nas?” – napisał na swoim profilu na Facebooku Maciej Stuhur, komentując przebieg Męskiego Grania pt. „Początek”. W kawałku skomponowanym przez Krzysztofa Zalewskiego, a zaśpiewanym razem z Kortezem i Dawidem Podsiadłą, słyszymy: „Ja nie chcę iść pod wiatr, gdy wieje w dobrą stronę. W końcu mam swój czas, to chyba dobry moment. Nie chcę biec do gwiazd”. Nie iść pod wiatr, gdy wiatr historii dmie w oczy – rozczarowujące, prawda?

Bez dwóch zdań jest w tym marudzeniu coś autentycznego. Wystarczy pobieżny przegląd polskich hitów YouTube, żeby zo-

baczyć, w jakim świecie porusza się polska młodzież. „Czy jestem fejmem ja, nawet nie chcę tych zdań. Ja nawet nie chcę, by ktośkolwiek mnie naprawdę znał” – śpiewa Sarius, w utworze „Wiking”. „Jestem zagubiony jak Nemo, zabieram, co moje frajerom / mój świat został wjebyany w brylantach, wiesz, o co chodzi, to siano się z tobą nie godzi” – dodaje raper Young Igi w kawałku „Nemo”. Tym samym tropem idzie jego konkurent, Young Multi. „Moje smutki leczę forsa / Chcę wiedzieć, ile to jeszcze potrwa / Chcę sukcesów w życiu tak jak Pogba [piłkarz Manchesteru United – przyp. red.] / Znikaj typie, no bo jesteś kłoda” – śpiewa. Również w największym hicie wakacji, kawałku „Tamagotchi” Taco Hemingwaya i Quebonafide (prawie 57 mln odsłon), muzycy rapują wersy dalekie od społecznego zaangażowania. „Pusty materac mam jak Airbnb, ej / Potrzebuję opieki tak jak Furby, ej / Spotkanie z tobą w klubie jest jak derby, ej / Kochanie obudź mnie jak kubek yerby / Tylko pić, jeść, spać jak tamagotchi / Czy zamówić miłość dzisiaj tak jak Uber Eats / Nie wiem, co mi gra w tej duszy, ale muszę bis / W życiu przecież chodzi o to, żeby głównie żyć, co nie?”.

DAJCIE NAM JUŻ ŚWIĘTY SPOKÓJ

Zastanawiam się, ile z tego wyrzucania młodym, że brakuje im ikry szczerzej troski o Polskę, a ile pudrowania własnych życiorysów? Bez owijania w bawełnę pisze o tym Dorota Wellman, wypominając, że „za jej czasów” młodym nie było wszystko jedno. Gdy współczesna warszawka wybiera wieczór na bulwarach z piwem kraftowym i wegezapiękaną w rękę, ówczesny młokos „walczył, konspirował, chodził na manifestacje, czytał książki, dyskutował, miał poglądy, dostawał pałą po plecach, a czasem trafił do więzienia”. Dlaczego dzisiaj tak mało młodych chce dostać pałą po plecach i pójść do więzienia? – zdaje się pytać z żalem. „Najważniejsze to mieć fajne życie, pieniądze i czas. Jesteście skupieni tylko na sobie. Przecież młodość to miłość do wolności! [...] Teraz mamy młodych ludzi bez właściwości, bezideowych” – po chwili sama sobie odpowiada.

Tylko co w tym czasie faktycznie robiła? Ile zaryzykowała, kto zdzielił ją pałą po plecach – nie wiadomo. Wiadomo za to, że podobni do niej celebryci, robiący publiczny rachunek sumienia młodym muzykom i ich nieśpiewającym rówieśnikom, przez 30 lat III Rzeczypospolitej praktycznie nigdy nie potrafili się zdobyć na akt cywilnej odwagi wobec władzy, która była bliższa

ich sercom. Wystarczyły ciepła woda w kranie i zapewnienie, że „nie będziemy robić polityki, tylko budować mosty”, aby niemal do 2015 r. nikt nie zająknął się, że osiem lat rządów Platformy Obywatelskiej nie dla wszystkich było czasem prosperity. Szczególnie nie dla młodych, którym obiecano świetne i dobrze płatne prace po studiach, a w rzeczywistości czekały na nich bezpłatne staże, umowy o dzieło i kredyty hipoteczne do spłacenia.

Nie dziwię się wielu moim kolegom i koleżankom, że nie chcą się angażować w politykę, a nawet więcej – polityką gardzą. Michał Modlinger, jeden z uczestników protestów pod Pałacem Prezydenckim, który niczym w transie rzucał się na policjantów, wykrzykując: „ZOMO, ZOMO”, gdy został oskarżony o naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariuszy, nagle spokorniał, wyznał, że w sumie aż tak bardzo nie interesował się walką o demokrację, a w ogóle to poniosły go emocje, został zmanipulowany, a teraz boi się, czy nie straci pracy jako operator w TVP. To lekcja dla innych, próbujących wchodzić w buty rodziców i udawać, że bijemy się jak tamta Solidarność, aby obalić „drugi PRL”. Czas są inne, wyzwania odmienne, metody wyjścia z kryzysu demokracji różne. Dlatego, różne są również kultura i sztuka, które nie muszą już bawić się w kotka i myszkę z cenzurą, ale mogą po prostu wykrzyknąć światu, że młodzi chcą „pić, jeść, spać”, zamiast mówić językiem swoich starych i bić się w ich pokoleniowych wojnach domowych. „Jestem wściekła, bo wszyscy oczekują od niej jakiejś ideologii. Wszyscy oczekują, że polscy piosenkarze niosą ze sobą jakieś hasła, transparenty. A jeśli okazało się, że ja jestem tylko śpiewającą panienką, która chce tylko godnych warunków do wykonywania zawodu, to wszyscy są przeciwko mnie. A ja nie mam ochoty walczyć o inne rzeczy. [...] Chciałabym, aby ludzie przychodzili na moje koncerty nie po to, aby słuchać ideologicznych manifestów, a aby się dobrze bawić, aby moja muzyka wywoływała kołysanie bioder i przyspieszone tętno” – powiedziała w jednym z wywiadów... Kayah Szczot, komentując swój występ na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze w 1988 r. Ta sama Kayah, która niedawno w geście sprzeciwu odmówiła udziału w „PiS-owskim Opolu”. Coś wam to przypomina? Naprawdę mogliby się niektórzy dzisiaj spalić ze wstydu, zamiast rozliczać muzyków z tego, że wołają śpiewać o miłości niż o demokracji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr N. i inni



Łukasz Zboralski

Wyrok dla dziennikarza, który jeżdżąc bez prawa jazdy, potrącił staruszkę, okazał się niezwykle łagodny. Polscy sędziowie często są dziwnie łaskawi dla łamiących prawo na drodze

Ta sprawa wzburzyła ludzi już trzykrotnie. Pierwszy raz – gdy jesienią ubiegłego roku media ujawniły, że Piotr N. potrącił w Konstancinie-Jeziornie starszą kobietę. Bo oprócz tego, że wjechał w 77-latkę znajdującą się na pasach, to prowadził samochód, mimo iż wiele lat wcześniej policjanci zatrzymali jego prawo jazdy za przekroczoną liczbę punktów karnych. W dodatku jechał samochodem, który nie miał ważnych badań technicznych ani opłaconego obowiązkowego ubezpieczenia OC. Potrącona przez niego kobieta trafiła do szpitala.

Drugie wzburzenie wywołało zamieszanie wokół samej sprawy zatrzymania prawa jazdy dziennikarza. Jak ujawnił portal brd24.pl wniosek policji wraz z dołączonym dokumentem Piotra N. przeleżał w teczce w szafie Starostwa Powiatowego w Piasecznie siedem lat. Nikt nie nadał sprawie biegu, choć na wniosek policji starosta powinien dziennikarza skierować na kontrolny egzamin na prawo jazdy i gdy go nie zda albo się na niego nie stawia, cofnąć uprawnienia do kierowania pojazdami. Starostą powiatowym był wówczas Jan Dąbek, obecnie zastępca wójta w podwarszawskiej gminie Prażmów.

PRAWO JAZDY SCHOWANE W SZAFIE STAROSTWA

Dziwne rzeczy wydarzyły się także po zmianie władz powiatu. W 2016 r. dziennikarz przyszedł do urzędu i poprosił o wydanie tzw. profilu kierowcy – jest potrzebny, by przystąpić do egzaminu państwowego i odzyskać uprawnienia. Wówczas urzędnicy odkryli, że sprawa zatrzymania mu uprawnień leży od lat niezatwiona przez poprzedników.

Zaznaczyli w systemie CEPiK, że dziennikarz stracił uprawnienia. To m.in.

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

zadaje kłam pierwszym informacjom policji po wypadku, która opowiadała dziennikarzom, że w systemie N. wciąż figurował jako kierowca. Zarzekanie się policji może też mieć głębsze dno, bo według niepotwierdzonych informacji Piotr N. mógł być kontrolowany na drodze już po tym, jak zatrzymano mu prawo jazdy. Czy zatrzymywała go drogówka? Nie wiadomo. Komenda Główna Policji odmówiła portalowi brd24.pl udzielenia informacji na ten temat.

Okazało się jednak, że mimo wykrycia niezłałatwionej sprawy w wydziale komunikacji kolejna ekipa w starostwie też nie doprowadziła jej do końca. Urzędnicy wysłali dziennikarzowi listem decyzję. Ale na adres, pod którym ten już nie mieszkał. List wrócił do urzędu z taką adnotacją. Urzędnicy nic więcej z tym nie zrobili.

To najważniejszy wątek, bo nie wiadomo, jak tę sytuację zinterpretowała zajmująca się sprawą prokuratura. Gdyby uznała, że N. w chwili wypadku nie miał uprawnień, odpowiadałby za to karnie. Takie zachowanie na drodze jest przestępstwem.

SĘDZIOWSKA ŁAGODNOŚĆ

Trzeci raz opinia publiczna zbulwersowała się, gdy w sprawie Piotra N. zapadł wyrok w Sądzie Rejonowym w Piasecznie. Na posiedzeniu bez udziału stron sąd zdecydował, że dziennikarz doprowadził do wypadku nieumyślnie i skazał go za to na karę grzywny w kwocie 6 tys. zł. Dodatkowo na rzecz poszkodowanej (kobieta już nie żyje, zmarła na raka) zapłacić miał 10 tys. zł oraz pokryć koszty sądowe wynoszące blisko 6 tys. zł.

Prokuratura wniosła sprzeciw wobec takiego wyroku i – jak ujawniła TVP Info – został on uchylony. W sprawie ruszy kolejny proces.

Po wyroku stanowisko publicznie zajął minister sprawiedliwości. Zbigniew Ziobro grzmiał, że nie może być tak, iż celebryci traktowani są inaczej niż zwykli ludzie. Sęk w tym, że polscy sędziowie niezwykle często są bardzo łagodni dla popełniających przestępstwa na drodze. I nie zawsze dotyczy to znanych osób, ich sprawy są tylko po prostu głośniejsze.

Jako przykład posłużyć może sprawa Krzysztofa M., wójta gminy Warlubie w Kujawsko-Pomorskiem. W maju ubiegłego roku został złapany przez policję, gdy pijany prowadził samochód.

Obrońca wójta wnioskował w sądzie o umorzenie sprawy, bo samorządowiec podjechał „tylko kawałek” na obiad. Twierdził też, że wynik badania alkomatem mógł być błędny, bo wójt miał refluks i brał leki na zgagę (biegli obalili potem takie argumenty).

I choć wójt siedział za kierownicą, mając ponad promil alkoholu w organizmie, sędzia Sądu Rejonowego w Świeciu – Sławomir Sell – umorzył sprawę warunkowo na okres trzech lat. Argumenty? Sędzia uznał, że oskarżony miał dobrą opinię w środowisku, że wcześniej nie popełnił żadnego przestępstwa, a gdy zatrzymała go policja, był pokorny, przestraszony i chętnie współpracował z funkcjonariuszami.

– Oskarżony nie jechał daleko, nie miał zaburzonych funkcji psychofizycznych, co potwierdzili policjanci, nie jechał wężykiem, czyli panował nad samochodem, dlatego sąd uznał, że szkodliwość społeczna tego czynu nie była znaczna – mówił cytowany przez „Gazetę Pomorską” sędzia. Tak jakby

z czerwca, odparował: – Co się miało stać? Nic się nie stało.

Myliłby się jednak ten, kto myśli, że tylko celebryci lub politycy z „plecami” są łagodnie traktowani w sądach za przestępstwa drogowe. Polscy sędziowie są wyrozumiali też wobec zwykłych ludzi i choć władza zaostrza prawo, nic sobie z tego nie robią. Dobrym przykładem jest sędzia Joanna Becińska z Sądu Rejonowego w Toruniu.

Orzekała w sprawie rolnika, który był wcześniej karany za jazdę po pijanemu (w 2013 r. dostał trzy miesiące więzienia w zawieszeniu na dwa lata). W styczniu ubiegłego roku zatrzymała go policja – badanie alkomatem wskazało 0,81 promila.

Zgodnie z zaostrzonym prawem od 2015 r. ponowne przyłapanie na jeździe po pijanemu skutkować powinno dożywotnim odebraniem uprawnień do kierowania. Sędzia Becińska wykazała jednak wielkie serce. Bo mimo zaostrzonego prawa i mimo to, że poprzedni wyrok jeszcze się nie zatarł, zdecydowała

Sąd skazał Piotra N. na 6 tys. zł grzywny. Prokuratura wniosła sprzeciw i będzie zupełnie nowy proces w jego sprawie

wypadki powodowali tylko ci pijani kierowcy, którzy nie mają już siły prowadzić samochodu i jeżdżą bardzo daleko.

Sędzia Sell, dzięki któremu wójt Warlubia jest winny, ale nie zostanie ukarany, to wcale nie jest wyjątek w to-dze. Podobnie wielkoduszna okazała się niedawno Marzena Chmiel z Sądu Rejonowego w Biłgoraju.

Orzekała ona w sprawie samorządowca – sekretarza gminy Biszczka. 61-letni Zbigniew K., prawnik z wykształcenia, został w czerwcu zatrzymany przez patrol drogówki w miejscowości Majdan Nowy. W obszarze zabudowanym zamiast 50 km/godz. jechał 73 km/godz. Pomiar alkomatem wykazał, że prowadził po pijanemu – miał prawie promil alkoholu w organizmie. Marzena Chmiel postanowiła sprawę warunkowo umorzyć. Sekretarz gminy jest więc winny, ale – tak jak wójt Warlubia – kary nie poniesie. Po wyroku w arogancki sposób uciął rozmowę z dziennikarzami „Dziennika Wschodniego”. Gdy pytali go o zdarzenia

się odebrać mu prawo jazdy tylko na cztery lata. Uznała, że „w sprawie zachodzą szczególne okoliczności pozwalające na odstąpienie od orzeczenia dożywotniego zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych”. Jakże? Na przykład zdaniem sędzi kierowca tylko nieznacznie (sic!) przekroczył zakazany prawem limit alkoholu dla kierowcy. „Zdaniem sądu w tej konkretniej sprawie orzeczenie dożywotniego zakazu prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych w ruchu lądowym byłoby rażąco niewspółmierne” – napisała w uzasadnieniu wyroku sędzia z Torunia.

49-latek został ostatecznie skazany na osiem miesięcy prac społecznych i 10 tys. zł nawiązki na rzecz Funduszu Pomocy Poszkodowanym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Jednak koszty sądowe sprawy pijanego rolnika sędzia przerzuciła na podatników – uznała, że jeżdżący po pijanemu ma niskie dochody i dwójkę dzieci, więc za proces przed sądem zapłaci Skarb Państwa, bo dla niego „byłoby to nadmier- nym obciążeniem”. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pasje i fantazje mistrza Hieronima





Krzysztof Masłoń

Chyba w całej historii sztuki nie znajdziemy malarza bardziej zagadkowego i wywołującego równie namiętne spory

Traktowany był jako jedno wielkie kuriozum historii kultury, prekursor malarstwa rodzajowego i pejzażu, mistrz seksualnego symbolu, akcentowano też to, że był ulubionym artystą najbardziej ortodoksyjnego z wielkich królów chrześcijańskiego świata, Filipa II, choć najważniejsze jego dzieła przesiąknięte są duchem heretyckim.

Tej ostatniej, rzeczywiście zajmującej kwestii, wiele pasjonujących studiów poświęcił niemiecki historyk sztuki, Wilhelm Fraenger (1890–1964). Zebrane w jednym, w Polsce od lat 80. wielokrotnie wznawianym przez Arkady, potężnym tomie stanowią podstawową lekturę dla osób fascynujących się twórczością Hieronima Boscha. I nic dziwnego, że sięgnąłem do niej teraz, gdy Arkady wydały album „Bosch. Zbliżenia” Tilla-Holgera Borcherta, znawcy sztuki niderlandzkiej, dyrektora muzeów w Brugii. Album ten przybliży najdrobniejsze szczegóły arcydzieł twórcy „Wozu z sianem”, „Kuszenia św. Antoniego”, „Wędrowca” czy „Ogrodu rozkoszy ziemskich”.

Właśnie patrząc na ten ostatni obraz, Jacek Kaczmarek w 1977 r. napisał jeden ze swoich najbardziej ekspresyjnych songów, zatytułowany „Mistrz Hieronim van Aeken z Hertogenbosch, zwany Boschem (według obrazów H. Boscha)”:

*A ja dosiadam świni! I diabłów sto mnie goni!
Wy sobą zajęci, odwróćcie się byście widzieli!
Tu chlusta wino w gębę moją z dzbanu*

*w małej dłoni,
Na pierś owłosioną leci z brody i pełnej
gardzieli!*

*Tu ruda ładacznicą ropuchę ma na sromie,
Po sznurkach rozporka gramoli się ręka
lubieżna;*

*Pod garnkiem mego brzucha rozpala dziki
płomień,
Więc śmieję się głośno i z trzosu odliczam
należność!*

*A tam gdzieś – mój brat
Na harfie jak Chrystus rozpięty
Dobrze mu tak!*

Niech wie, że niełatwo być świętym!

Iwona Grabska, analizująca „Ogród rozkoszy ziemskich” Boscha w kontekście utworu Kaczmarek, stwier-

dza, że obraz z racji swej kolorystyki, mnogości postaci i gestów przypominający kalejdoskop, w wierszu tym „zamienia się w szaloną kawalkadę”, której rytm wyznacza jeździec na świni, porządkujący przestrzeń, narzucający schemat „ja”, „wy”, „oni” i dualizm dwóch jakże ważnych motywów dzieła: świni i harfy. To z tej „świńskiej” perspektywy narrator Kaczmarek „obserwuje rzeczywistość i punktuje wszystkie przedstawione przez malarza przywary: pijaństwo, rozwiązłość, sprzedajność, głupotę, fałszywą mądrość. Nie stawia się ponad otaczającymi go postaciami ani nie ignoruje ich, wręcz przeciwnie, swoją vitalność czerpie bezpośrednio z panującej rozwiązłości. Zderza wysokie z niskim, łącząc złoto z gnojem”.

„Pędzący na świni bohater – konkluduje autorka – podaje jedyną receptę na wyrwanie się otaczającym potworom – »niech każdy oswoi swoje diabły«, mierząc się z rzeczywistością. W odróżnieniu od upadłego harfiarza, którego los widzimy na prawej części tryptyku, świni jeździec »omija wszystkie rafa«. Cóż jednak z jego przykładu innym ludziom, skoro go nie dostrzegają, zajęci sobą i atakowani przez własne monstra”.

ODSŁONIĘTE ZĘBY I WYKRZYWIONE USTA

Ten sam „Ogród rozkoszy ziemskich” Wilhelm Fraenger w pierwszym ze swoich studiów – z roku 1947 – poświęconych osobie niderlandzkiego artysty, przedstawił jako utopię tysiącletniego królestwa. Zdaniem autora Bosch swoją pracę zrealizował na zlecenie adamińskiej, heretyckiej gminy o semickich i gnostycznych powiązaniach. To, że nie znalazł na potwierdzenie tej tezy dokumentów, wytłumaczył tym, iż sekta była tajnym związkiem. Niemniej już dwa lata później Fraenger – w studium poświęconym innemu dziełu Boscha, „Janowi na Patmos” – podał imię tajemniczego zleceniodawcy, zresztą przywódcy sekty, wielkiego mistrza Jacoba van Almaengiena, Żyda odnotowanego w archiwach Bractwa Najświętszej Marii Panny pod chrześci-

jańskim nazwiskiem Philips van Sint Jan. Jego ceremonialny chrzest miał się odbyć w 1496 r. w kościele św. Jana w 's-Hertogenbosch, w obecności księcia Brabancji Filipa Pięknego. Opis ceremonii kronikarz kończy jednak słowami: „Ale żyd nie wytrwał, odpadł od chrześcijaństwa i został znów żydem”.

Fraenger kwestionował tę rekonwersję [„Ponieważ pociągała za sobą odrzucenie imienia nadanego na chrzcie przez władzę, Almaengien ryzykował największy osobisty afront wobec księcia i kleru od św. Jana, o skandalu, jaki jego zaprzaństwo wywołało wśród mieszczan, świadków spektakularnego aktu chrztu, nawet nie wspominając”]. Co więcej – doszedł do wniosku, że ów kacerski teolog, prawdziwy redaktor części dzieł Boscha, wierzył w Chrystusa wcześniej, niż przystąpił do Kościoła.

W tym miejscu muszę posłużyć się cytatem, cały wywód bowiem jest równie przejrzysty co np. osławione „Księgi Jakubowe” Olgi Tokarczuk: „Ta pozorna sprzeczność żydowsko-chrześcijańskiego dualizmu prowadzi do wniosku, że Almaengien był związany z Izraelem narodo-wo, lecz nie synagoidalnie, a z wyznania wiary był ju d e o c h r z e ś c i j a n i n e m – późnym potomkiem jerozolimskiej pierwotnej gminy owych ebionim (ebonitów – dobrowolnie ubogich), którzy surowo przestrzegane Prawo Mojżeszowe (obrzezanie, przepisy pokarmowe, świętowanie szabatu, modły w kierunku Jerozolimy i in.) łączyli z mesjanistyczną wiarą w Chrystusa. Ich główną ideą religijną był zapowiedziany przez Izajasza (52, 13 i nast.) jako Mesjasz »poniżony i wywyższony sługa Pana«, będący dla Żydów »ośrodkiem koła, sercem i głową ciała Izraela«. Synagoga nie uznała Mesjasza z Jezusie, lecz przybiła Nazeręczyka do krzyża, natomiast ci Żydzi, którzy zwrócili się ku niemu jeszcze za jego życia, a w znacznie większej liczbie po jego śmierci na krzyżu, uwierzyli, że Chrystus jest Mesjaszem, który już przyszedł. Almaengienowego »Chrystusa cierpiącego«, który w ujęciu Boscha zdaje się odpowiadać późnogotyckiemu typowi vir dolorum, należy zatem rozumieć w jego pierwotnym znaczeniu – jako wywyższonego sługę. Jahwe i judeochrześcijańskiego Mesjasza”.

A odnośnie do Żydów u Boscha, dość spojrzeć na ich postacie na jednym z ważniejszych dzieł artysty, jakim jest „Niesienie krzyża”. W całej okazałości



**TILL-HOLGER
BORCHERT**
**„BOSCH.
ZBLIŻENIA”**
ARKADY 2018

■ prezentują się w „Zbliżeniach” Borcherta. Wprawdzie znajdujący się w Muzeum w Gandawie obraz datowany jest na rok 1520, a zatem wyszedł najprawdopodobniej spod ręki jednego z uczniów malarza, niemniej zwraca uwagę wyjątkowo odrażający wyraz twarzy oprawców, przypominający pyski zwierzęce. Te twarze są nie tylko zamierzonymi karykaturami Żydów – akcentuje Till-Holger Borchert: „Odślonięte zęby i wykrzywione usta, jakby warczeli, także sugerują zachowanie właściwe psom”.

Największa zasługa Wilhelma Fraengera nie polega na tym, że orzekł, iż ręką Boscha kierował żydowski meester (magister), lecz na tym, że – jak pisał Patrik Reuterswärd – „On pierwszy zrozumiał, że trzeba obrać zupełnie inny punkt wyjścia, żeby wreszcie wyjaśnić to, co u Boscha sprzeczne. Jeśli ktoś chciałby widzieć w malarzu tylko dziwaka, którego współcześni tolerowali i dlatego pozwalali mu tworzyć wedle własnego uznania, a nawet sprofanować rzekomymi »moralitetami« sakralną funkcję tryptyku, ten nazbyt lekko potraktowałby problem historyczny. Niemniej tak właśnie myślała większość. Bosch jednak pracował w takich czasach i w takim środowisku, w którym artysta zdany był niemal wyłącznie na zleceniodawców”. I takich Bosch znalazł, a czy chodziło właśnie o Jacoba von Almaengiea, co zresztą jest bardzo wątpliwe, to sprawa wtórna. Za to na pewno umieszczenie takich dzieł jak „Ogród rozkoszy ziemskich” czy „Wóz z sianem” w kościele, byłoby czymś nad wyraz niestosownym i, cóż tu więcej deliberować, w praktyce niemożliwym.

FASCYNACJA OGNIEM

Dysponujemy śladową wręcz ilością dokumentów o życiu Hieronima Boscha. A przecież miał tak wielu naśladowców i kopistów, także najsławniejszych, jak Pietera Bruegela starszego, co zaświadczały ryciny tego ostatniego. A w 1567 r. przebywający w Antwerpii Włoch Lodovico Guicciardini pisał o Boschu jako o „najszlachetniejszym i cudownym wynalazcy rzeczy fantastycznych i prze dziwnych”.

Inna sprawa, że w ogóle o artystach późnego średniowiecza wiemy niewiele,

chyba że zapisali się trwale – na co zwraca uwagę Till-Holger Borchert: „W zeznaniach podatkowych, księgach opłat czynszowych, zapiskach cechowych, korespondencji handlowej lub deklaracjach dotyczących objęcia kuratelą”. Jheroen van Aken, nazwany Boschem, był człowiekiem zamożnym, właścicielem dobrze prosperującego warsztatu, cieszącym się prestiżem w najwyższych kręgach społecznych 's-Hertogenbosch.

Urodzony ok. 1450 r., pochodził z rodziny malarzy z niemieckiego Akwizgranu, która do księstwa Geldrii przeniosła się na początku XV w. Jego pradziad, Thomas van Aken, wraz ze swoim bratem, Johanem, ok. roku 1400 byli malarzami w Nijmegen. W 's-Hertogenbosch w księstwie Brabantu osiadł dziadek twórcy „Wozu z sianem” w roku 1426. Kupił tam dom i wyuczył rzemiosła malarskiego czterech swoich synów, w tym ojca Hieronima – Anthonisa.

Jheroen uczył się tegoż fachu w warsztacie urządzonym przez ojca w domu przy rynku, który jego ojciec zakupił w roku 1462. Z pewnością był świadkiem pożaru, w którym budynek ten uległ poważnemu zniszczeniu już rok później. „Musiało to być dla dziecka – czytamy w biograficznym wstępie do albumu Borcherta – traumatyczne wydarzenie. Prawdopodobnie znalazło to odbicie w przesiąkniętych przerażającą atmosferą scenach piekielnych, w których wyraźnie uwidacznia się fascynacja artysty ogniem”.

MECENAT KRÓLEWSKI

Nazwisko Hieronima Boscha, już jako człowieka dorosłego, w oficjalnych dokumentach pojawia się dopiero w 1474 r. Jako mistrz zarejestrowany został sześć lat później. Otrzymał też wtedy spadek, założył własną pracownię, dobrze się też ożenił z Aleid van de Meervenne z bogatej rodziny kupieckiej; w posagu wniosła mu dom w centrum miasta, do którego wprowadzili się najpóźniej w 1483 r.

O braciach Hieronima wspominają archiwa w związku z ich długami, o nim zaś ze względu na jego wysokie dochody. Z miejskich rejestrów podatkowych wynika, że był jednym z najbogatszych obywateli 's-Hertogenbosch. Należał też do najbardziej znamienitych postaci Bractwa Najświętszej Marii Panny, stowarzyszenia posiadającego własną

kaplicę w miejscowym kościele św. Jana. Dla stowarzyszenia namalował skrzydła ołtarza, a w elitarnym gronie znajdował mecenasów swej sztuki. Wśród nich właśnie był ambasador królów katolickich na dworze burgundzkim, Diego de Guerevara, w 1498 r. przyjęty w poczet członków bractwa. Jego syn, Felipe, został posiadaczem co najmniej sześciu dzieł Hieronima Boscha, które po jego śmierci stały się własnością króla Hiszpanii.

„Ogród rozkoszy ziemskich” pierwotnie przeznaczony był prawdopodobnie dla Henryka III Nassau, do jego brukuelskiej rezydencji. Także w Brukseli, w pałacu Coudenberg, znalazł się obraz Boscha przedstawiający Sąd Ostateczny, namalowany na zamówienie burgundzkiego księcia Filipa Pięknego, a tryptyk św. Antoniego tego samego autorstwa, ozdobił kolekcję Małgorzaty Austriackiej w Mechelen.

Dzieła Boscha miały tak duże wzięcie, że w jego warsztacie powstawały obrazy wykorzystujące symbolikę mistrza także po śmierci artysty, zmarłego w 1516 r. na skutek zarazy panoszącej się w regionie. W warsztacie rodzinnym prym wiodł następnie jego bratanek, osiągając niemałe zyski, a miał z czego, gdyż wdowa po Hieronimie, która przeżyła go o 15 lat, zwróciła rodzinie van Aken, wraz z wieloma innymi rzeczami, niedokończone obrazy męża.

JESTEM MŁODY, JESTEM NIKIM – BĘDĘ NIKIM

Zbigniew Herbert w „Potędze smaku” pisał o „fantastycznych twórcach z obrazów Hieronima Boscha”. Istotnie, przemawiają one do naszej wyobraźni; trudno zapomnieć o przedziwnych hybrydach i demonach panoszących się w przedstawianym świecie. Ale, obojętnie, najważniejsza w całej tej twórczości jest dla mnie postać Wędrowca.

Znajdziemy go w Madrycie, w Prado na zewnętrznej stronie skrzydeł tryptyku „Wóz z sianem” (1516), samotnie podążającego ku ostatecznemu celowi. To ten sam człowiek, którego Bosch malował już wcześniej (ok. 1500 r.), a którego znamy również jako „Syna marnotrawnego”. I o nim pisał Jacek Kaczmarski (w 1991 r., utwór ten, „według obrazów H. Boscha i Rembrandta van Rijn” częścię wykonywał Przemysław Gintrowski):

**Jestem młody, jestem nikim – będę nikim
Na gościńcach zdarłem buty i kapotę.
Nie obchodzi mnie, co będzie ze mną potem,**

*Tylko chciałbym gdzieś odpocząć od paniki,
Co goni mnie z miejsca na miejsce o głodzie...
i chłodzie...*

*Ludzie, których widzę – stoją do mnie tyłem.
Ten pod bramą leje, ów na pannę czeka,
Nawet pies znajomy na mój widok szczeka...
Sam się z życia nader sprawnie obrobiłem.
Więc chytkiem powracam do domu o zmroku
– jak złodziej.*

W rzeczywistości „Syn marnotrawny” Boscha to fragment zaginionego tryptyku w swoim czasie podzielonego na fragmenty, którego cztery zewnętrzne części połączone ze sobą tworzą ten właśnie obraz: kogoś, kto – pisze Borchert – „nie pozwala, aby pokusa grzechu, tu reprezentowanego przez dom publiczny, sprowadziła go z prostej i wąskiej ścieżki”.

Trochę to „nie pozwala” brzmi nazbyt stanowczo. To my, patrząc na Wędrowca, chcemy wierzyć, że dokona on dobrego, właściwego wyboru. A o jego rozterkach, o smutnych i dramatycznych doświadczeniach będących jego udziałem, zajmując pisar Wilhelm Fraenger. Wróciłem teraz do tego studium z 1951 r., którego lektura – trudno się nie zgodzić z Patrikiem Reuterswardem – „może być prawdziwą rozkoszą nawet dla kogoś, kto nadal zechce uważać przedstawionego tam mężczyznę za wółczęgę”.

A zaczyna się ten esej następująco: „Szarego człowieka o błędnym spojrzeniu, przechodzącego chwiejnym krokiem obok nas na obrazie Boscha, aż nazbyt często widywaliśmy w rzeczywistości ostatnich lat. Ta postać w późnogotyckich ramach jest tak bliska teraźniejszości, jakby odbijał się w niej

jeden z naszych powojennych powrotów. Twarz zwrócona w tył mówi, że uciekający nie znalazł dość odwagi, by skierować wzrok ku jaśniejszemu celowi. Jakby nie widział przed sobą lepszej przyszłości, trwa jeszcze w tym, co było, co przeżył tak niedawno. Przygląda się śladom błędzenia po manowcach i nagle dostrzega, jak bez sensu narażał i marnował życie. Nie tylko w oczach ma wyraz osłupienia, ale i włos zjeżył mu się na głowie, a usta zacisnęły w goryczy.

»Widzę żółć zawieszoną w miodzie« – czytamy w wierszu Walthera von der Vogelweide’a. Tutaj wszystko, co miało być miodem, przemieniło się w gorzką żółć, a pozostały tylko żal i skrusza. Jednakże człowiek ten stoi przed punktem zwrotnym w swoim życiu. Bo choć oczy patrzają za siebie, to nogi – czy nie wydaje się, że go same niosą? – wybiegają już w przód, a lewa ręka z kapeluszem aż rwie się, by powiedzieć »żegnaj« zepsutemu światu. Bosch przedstawił ów moralny zryw, gdy nagła świadomość zmarnowanego życia przeradza się w decyzję odwrotu”.

ZA PASEM NÓŻ, A W RĘKU KIJ

Fraenger spostrzegł w obrazie nie żadną ilustrację znanego skądinąd tematu, ale „religijne wyznanie człowieka, który w tej przypowieści [o synu marnotrawnym – przyp. K.M.] rozpoznał siebie”. I cierpliwie, krok po kroku, objaśnia nam poszczególne fragmenty dzieła Boscha. O czym świadczą ubranie Wędrowca, dratwa i szydło wpięte w kapelusz, łyżka przytroczona do kosza na plecach? Co może znajdować się w tym

koszu będącym – okazuje się – „moralnie najważniejszym elementem w obrazie”? I tak dalej, i tak dalej.

Z kolei analizuje autor symbolikę obrazu: sroczą alegorię, drzewo życia, świńskie kopytko – „diabelski pazur całej historii”, w której po jednej stronie mamy plugawą gospodę czy raczej taki sam dom publiczny, a po drugiej kratę bramy, która po otwarciu poprowadzi Wędrowca do domu ojca. I nie o to chodziło artyście, by nie sprowadzić swojego bohatera z „prostej i wąskiej ścieżki”, ale żeby zechciał on uchylić bramę i wkroczyć na ścieżkę wiodącą ku dobru. Zdecydowanie w obrazie tym idea przemiany i nawrócenia przemawia z każdego miejsca.

Wędrowiec fascynował nie mnie jednego. W 1978 r. Jacek – nie, nie Kaczmarek – Kleyff uczynił z niego centralną postać swojego „Boscha”. Tak o nim śpiewał:

*Za pasem nóż, a w ręku kij,
krawieckie szydło w kapeluszu,
gospoda może gdzieś i kiedyś nie ogląda
słońca.*

*Przebraniem tym wędrowiec
wszystko chce przed ludźmi ukryć,
gdy w Pireneje wchodzi,
kto wie, czy stary Hieronim Bosch...
Kto wie, czy stary Hieronim Bosch
nie maluje go już!*

*Czy bywa tak czy może nie,
do końca dobrze nie wie nikt. [...]*

Pozostawmy z tą niewiedzą, wpatrując się w „Zbliżenia” mistrza z ’s-Hertogenbosch: w jego krajobrazy, twarze, żywioły, stwory fantastyczne. I, oczywiście, w Wędrowca.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Uhonorowana prestiżową Nagrodą Goncourtów,
historia niekonwencjonalnej przyjaźni i spektakularnego oszustwa.

IRONICZNA, NIEPOPRAWNA POLITYCZNIE, DOSKONAŁA!

» Szokująca! Wielka powieść o spirali dobra i zła,
wielka powieść egzystencjalna. Ponure requiem, które jest jak
policzek wymierzony oficjalnej historii.
„L'Express”

W KSIĘGARNIACH / W KINACH OD 17 SIERPNIA 2018

Zapraszamy do salonów **empik** i na **empik.com**

Wydawnictwo Albatros

Kopernik była kobietą – wiedza o tym widzowie komedii Juliusza Machulskiego „Seksmisja”. Być może wkrótce żarcik będzie trzeba rozszerzyć: nie tylko kobietą, lecz także czarnoskórą kobietą. No, może w ostateczności imigrantką z Dalekiego Wschodu. Dożyliśmy bowiem czasów, w których płeć i rasa znanych postaci stają się kwestiami płynnymi. Na razie postaci z popkultury i mitów, więc chwilowo Mikołaj Kopernik jest bezpieczny, choć oczywiście nie brakuje takich, którzy chcieliby go ostatecznie zgermanizować.

– pisanego wielkimi literami], wywołał tylko dalsze spekulacje: A może HYPE to nowa złowroga organizacja, coś na kształt SPECTRE, z którą będzie walczył nowy, czarny Bond?

COLOR-BLIND CASTING

Barbara Broccoli, producentka serii i właścicielka filmowej franczyzy, jest podobno otwarta na możliwość zaangażowania czarnego Bonda, na razie jednak wszystko zostaje po staremu. Agent 007 gra Daniel Craig (podobnie jak w czterech wcześniejszych filmach),

obsadzanie aktorów z mniejszości etnicznych w rolach, w których kwestia rasowa czy etniczna nie ma znaczenia.

Trudno kontestować takie podejście, zwłaszcza gdy pamiętamy o rzeczy podstawowej: teatr czy kino to sztuka iluzji, jesteśmy uwodzeni słowem, obrazem, montażem, stylem opowieści. Dobry aktor zagra wszystko, dobry reżyser wycisnie z dobrego aktora rzeczy, o których temu nawet się nie śniło. Tak wiele w sztuce jest umowne. W teatrze czasów Szekspira role kobiece odgrywane były przez mężczyzn, a zazdrosnego Maura imieniem Otello

Komu wolno zmienić kolor



Piotr Gociek

Czarny Achilles albo Sherlock Holmes? Bądźmy ostrożni ze zmianami, bo niszczymy kody kulturowe, które tworzą naszą cywilizację



Czy czarnoskóry Idris Elba wcieli się w agenta 007? FOT. MATERIAŁY PASOWE

Za sprawą prowokacyjnego wpisu na Twitterze niedawno świat kultury i mediów znów żył dyskusją na temat: Czy następny James Bond będzie czarny? Wpisu dokonał aktor Idris Elba (znany z serialu „Luther”), którego nazwisko jest wymieniane w kontekście angażu na stanowisko nowego agenta 007. „My name is Elba, Idris Elba” – odezwał się aktor, nawiązując do sławnej frazy: „My name is Bond, James Bond”, którą przedstawia się 007. W sieci zawrzało. Kilka godzin później Idris Elba zaapelował, by nie wierzyć plotkom, ale sposób, w jaki to uczynił (używając słowa „HYPE” – plotka

reżyserem zaś został Danny Boyle, białe dziecię Manchesteru, w dodatku rzymski katolik. „Bond 25” trafi do kin w październiku 2019 r. Tym, którzy emocjonują się rasowymi podmiarkami, pozostaje na razie rozpamiętywanie faktu, że sekretarkę szefa Bonda, pannę Moneypenny, gra ciemnoskóra Naomi Harris. Wcześniej kolor skóry zmienił sojusznik i druh Bonda z CIA – Felix Leiter – którego od 1983 r. zdążyło już zagrać dwóch czarnoskórych aktorów: Bernie Casey i Jeffrey Wright.

Zjawisko ma swoją nazwę. To „color-blind casting” albo „nontraditional casting”. Termin objaśniany jest jako

musiał grać umazany na czarno biały aktor. Czy to znaczy, że był to gorszy teatr? Czy taka inscenizacja uwłaczała naturze Szekspirowskich dramatów?

W roku 2000 koło obróciło się w drugą stronę: Royal Shakespeare Company wystawiło „Henryka VI”, w którym rolę tytułową zagrał czarnoskóry David Oyelowo. Ten fakt przyda nam się w rozważaniach na temat ewentualnego przyszłego czarnego Bonda, bo rzeczywiście to przypadek szczególnie, ale nie z tego powodu, o którym myślą politycznie poprawni tropiciele pouczających przykładów. Spójrzmy bowiem na rzecz od innej strony: rodzice

Oyelowo byli Nigeryjczykami, ale on sam urodził się w Oksfordzie i jest obywatelem brytyjskim. Jako Henryk VI był więc po prostu Brytyjczykiem grającym w sztuce z brytyjskiego kanonu. Wracam do Bonda: to żołnierz brytyjskiego imperium, ku chwale którego służyło tak wielu przedstawicieli podbitych ludów i które do dziś charakteryzuje się (już nie imperium, lecz jego nędzna resztką) wielką etniczną różnorodnością odziedziczoną po dawnych czasach. Zatem współczesny Bond, choć u Iana Fleminga i w starych filmach był biały, dziś mógłby być czarny, przecież nikogo w Anglii nie dziwi czarny policjant czy strażak. A jeśli się weźmie pod uwagę, kto w służbie imperialnej popisywał się szczególnie męstwem i wytrwałością, to moglibyśmy nawet zadać pytanie, dlaczego jeszcze nikt nie wpadł na pomysł, żeby Bonda przedstawić jako Gurkhę. Idris Elba rozpatrywany jako kandydat na agenta 007 urodził się i wychował w Londynie i jest tak samo brytyjski jak David Oyelowo czy... James Bond.

POPRAWIANIE KULTURY

Czy zatem kolor skóry nie ma znaczenia? Ma, tylko że nie ma to nic wspólnego ani z rasizmem, ani z rozmaitymi akcjami afirmacyjnymi, które miały być na rasizm odtrutką. Kiedy pochodzenie i rasa oryginalnego bohatera miały istotny czy kluczowy wpływ na jego relacje z innymi bohaterami i ze światem, nie możemy dokonać zwykłej podmiany. „Chata wuja Toma” nie może być opowieścią o białych biedakach wyzyskiwanych przez białych bogaczy, Staś i Nel nie mogą spotkać w Afryce zamiast Kalego powiedzmy Stevena van Kalena, białego Bura, byłego poszukiwacza diamentów. Dynamika między postaciami byłaby zupełnie inna, dostalibyśmy po prostu zupełnie nową historię. I tak wkraczamy na bardzo delikatny teren, bo wraz z łatwym do przeprowadzenia zabiegiem – zmianą koloru skóry bohatera – wywalamy do kosza całą misterną pajęczynę relacji między bohaterem a światem przedstawianym w naszym Neverlandzie. Czy czarny Sherlock Holmes byłby zaproszony do rozwiązywania wszystkich spraw, które wymyślił dla niego Conan Doyle? A może jednak wśród zleceniodawców znalazłby się osobnicy rasowo uprzedzeni? Skoro bywają tacy dziś, w przeszłości bywali tym bardziej. Bądźmy zatem ze zmianami bardzo ostrożni, bo dokonując ich lekkomyślnie, po prostu niszczyliśmy kody

kulturowe, które tworzą naszą cywilizację. W końcu każda opowieść skądś się wzięła, miała konkretnego autora o konkretnych poglądach i funkcjonowała w takich, a nie innych kontekstach. Do czego może doprowadzić nadpisywanie dawnych kodów kulturowych? Cóż, nie bez powodu George Orwell ostrzegał: „Kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość; kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość”. Epidemia „color-blind casting” pokazuje, kto rządzi teraźniejszością.

Gdy przyjrzymy się bowiem niektórym przypadkom „poprawiania” kultury, odkryjemy, że ideologiczne zaślepienie zaczyna iść w parze ze zwykłą głupotą. To bardzo niebezpieczna, niszczylińska mieszanina. Oto twórcy serialu „Troja: Upadek miasta” (produkcja BBC 2018, w Polsce dostępna w serwisie Netflix) zafundowali nam taki pasztet: czarnoskórego boga Zeusa oraz czarnoskórego Achillesa. Cóż stało się z blondwłosym Achillem z jego złotymi puklami? U Homera nic się nie zmieniło, wiem, bo sprawdzałem. Oto argumentacja prof. Tima Whitmarsha z Cambridge, którego na odsiecz wezwało pismo „Radio Times”: najpierw zasugerował, że nie do końca wiemy, jak przełożyć słowo „złoty”, bo: „Greckie terminy na określenie kolorów są dość dziwne i niekoniecznie muszą odpowiadać naszym”, a potem stwierdził, że przecież Homer nie opierał się na historycznych dokumentach, a jego dzieło podawane z ust do ust musiało ulegać zniekształceniom, więc nie wiemy, jak było naprawdę. Z kolei wynalezienie na potrzeby BBC czarnoskórego boga Zeusa objaśniono tak: skoro bogowie objawiali się ludziom w różnych postaciach (Zeus np. w postaci byka, łabędzia albo orła), to mógł się i objawiać w postaci osobnika czarnoskórego. Po co i dlaczego – tego już nie powiedziano. Rzucono za to żarcik: A pamiętacie, że Zeus objawiał się jako błyskawica? Chcecie na serio prowadzić dyskusję na temat tego, czy błyskawice są białe czy czarne?

PAWEŁ DELĄG JAKO POCAHONTAS

Zwolennikom takiej argumentacji proponuję prosty eksperyment: poinformujcie Indian północnoamerykańskich, że wielki Manitou ma oblicze Pawła Deląga, albo objaśnijcie Masajom, że ich Engai Naro (Czarny Bóg) jest tak naprawdę Białym Bogiem i wygląda jak Brad Pitt. I że wnioskujemy to wszystko z tego, że usna

tradycja jest podatna na zniekształcenia, więc skąd możemy być pewni, że tak NIE wyglądają. Od razu podpowiadam, że wedle indiańskich przekazów boska siła znana jako Manitou może się manifestować w taki sposób, jaki jej się żywnie podoba, dlaczego więc nie mogłaby wybrać Pawła Deląga albo nawet i prof. Tima Whitmarsha? Czy „Radio Times” oraz kadra profesorska w Cambridge potraktowałyby serio podobną argumentację? Wątpię. Co prowadzi nas do rzeczy najsmutniejszej. Otóż „color-blind casting” działa tylko w jedną stronę.

Spójrzmy, co się działo, kiedy to biała Amerykanka Rooney Mara została obsadzona w roli Tygryskiej Lilii w filmie „Piotruś. Wyprawa do Nibylandii”, czyli w roli indiańskiej księżniczki. Kiedy Emma Stone zagrała w filmie „Witajcie na Hawajach” bohaterkę o korzeniach azjatyckich. Kiedy u Ridleya Scotta w „Exodusie” władcą Egiptu, Ramzesem, został Joel Edgerton, Setim zaś – John Turturro. Kiedy Scarlett Johansson zagrała główną bohaterkę w nowej ekranizacji „Ghost in the Shell”, popularnego japońskiego komiksu. Otóż za każdym razem burza była gigantyczna, reżyserzy i producenci oficjalnie przepraszali, a aktorzy zapewniali, że nikogo nie chcieli urazić i bardzo szanują obrażoną mniejszość. Kiedy to bowiem biali aktorzy występujący w rolach bohaterów kolorowych, wtedy jest to nazywane white-washingiem („wybielaniem”), co stanowi w dzisiejszym Hollywood grzech jeszcze większy od niemoralnych propozycji składanych przez Harveya Weinsteina. Zatem moja propozycja obsadzenia Pawła Deląga w roli Manitou albo przynajmniej Pocahontas jest nie do zrealizowania, za to obsadzenie Morgana Freemana w roli pana Wołodyjowskiego jak najbardziej możliwa i z pewnością byłaby wychwalana na świecie jako bardzo postępową. Zdecydujmy, do diabła: albo stuprocentową wolność w bawieniu się obsada mają wszyscy, albo nikt.

A z tą Pocahontas w wykonaniu Deląga wcale nie żartuję. Podobnie jak z ewentualną panią Kopernik. Tej jesieni telewizja BBC wyemituje nowy sezon serialu SF „Doktor Who”. Od 1963 r. zawsze grał go mężczyzna, tym razem obsadzono kobietę. Oczywiście krytycy tego rozwiązania są wyzywani od wsteczniaków i szowinistów. Cóż, czekam na serial „Andrzej z Zielonego Wzgórza”. Dopiero wtedy uwierzę, że ta gra toczy się według uczciwych reguł.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Nazywam się Samson



★★★★★

REŻ. BRUCE
MACDONALD
„SAMSON”
USA/RPA 2018

wyst. Taylor James,
Jackson Rathbone,
Caitlin Leahy

Bohater ze skazą – takich kochamy najbardziej. Jak podaje „Encyklopedia katolicka” – Samson, zanim stał się narzędziem Bożej zemsty, prowadził „dość kontrowersyjne i moralnie naganne życie”. Przeciw wrogom swego ludu wystąpił z ociąganiem i z pobudek czysto prywatnych. Potem też zdarzało mu się wstąpić do zamtuza, unieść się pychą lub gniewem. Współczesny psychoterapeuta powiedziałaby, że pogromca Filistynów miał problem z kontrolowaniem emocji.

Bibliści w historyczność Samsona wątpią. Jednak jakie ma to znaczenie z punktu widzenia ludzi przywiązanych do judeochrześcijańskiej tradycji? Żadne. Najważniejsza postać z Księgi Sędziów od wieków rządzi wyobraźnią wyrafinowanych artystów i prostych zjadaczy

chleba. Rembrandt namalował cztery epizody z biografii Samsona, Händel poświęcił mu oratorium, Saint-Saëns – operę w trzech aktach. W średniowieczu najbardziej podobana się walka hebrajskiego Herkulesa z lwem, w wieku pary i elektryczności zainteresowanie publiki przesunęło się w stronę Dalili, prototypu współczesnej femme fatale (co umocniło postrzeganie jej lubego jako naiwnego osiłka).

Kazimierz Brandys i Andrzej Wajda umieścili Samsona w warszawskim getcie, a Ferdynand Goetel wśród bolszewików. Jan Dobraczyński dostrzegł ludzające podobieństwo fatalnego romansu siłacza do zauroczenia Jana Sobieskiego płochą Marysienką. Konsumpcyjnym superprodukcją o wyczynach komiksowych herosów długowłosego bohatera, obdarzonego nadludzką

moć, nad którą nie do końca panuje, może wydać się znajomy. W polityce też wszystko zostało po staremu: Hebrajczycy i mieszkańcy Gazy wciąż się nienawidzą.

Samson z filmu Bruce’a MacDonalda ma łobuzerski wdzięk. Już w pierwszej scenie dokonuje zuchwalego rabunku w świątyni Dagona i spuszcza manto próbującym go dopaść żołnierzom. Woli być bliskowschodnim Janosikiem niż zbawcą Hebrajczyków. Gdyby trzymał się z daleka od kobiet, mógłby żyć długo i szczęśliwie. Musi jednak wypełnić przeznaczenie, stać się jednoosobową armią i załuc setki uzbrojonych wrogów osłą szczęką. Filistyni zasłużyli na taki koniec, bo są okrutni i podli, zaś ich władca to bezbożnik.

Scenarzyści dodali Samsonowi brata, Delilę awansowali na flamę następcy tronu, wprowadzili w Ziemi Obiecanej uprawę kukurydzy. Z ekranu pada wiele słów o pokoju i wolności, choć już starożytni wiedzieli, jak trudno pogodzić jedno z drugim. Najważniejsze, że trzon biblijnej opowieści pozostał nienaruszony. Po ekologicznym „Noem” i koturnowym „Exodusie” superbohaterski, lecz prawie pozbawiony efektów specjalnych „Samson” jest miłą odmianą. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „THE MEG”

Każda dekada musi mieć swoje „Szczęki”, więc powrót do kin krwiożerczego rekina nie może dziwić. Rekin jest naprawdę wielki (ponad 20 metrów), bo to ocalały jakimś cudem prehistoryczny Carcharodon megalodon, który za jednym zamachem potrafi zeżreć całe stado nadmorskich turystów. Na polowanie na

bestię wybierze się Jason Statham. Ekranizacja powieści Steve’a Altena „Meg. Potwór z głębin”, w Polsce wydanej w roku 2000 (cały cykl liczy już siedem tomów). ©

Piotr Gociek
„The Meg”, reż. Jon Turteltaub,
wyst. Jason Statham, Li Bingbing,
Raiin Wilson, USA 2018

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- „Też go kocham”, reż. Jesse Peretz, USA 2018 (recenzja na str. 51)
- „Mroczne umysły”, reż. Jennifer Yuh Nelson, USA 2018
- „Pod ciemnymi gwiazdami”, reż. Michael Pearce, Wielka Brytania 2017
- „Księgarnia z marzeniami”, reż. Isabel Coixet, Hiszpania/Wielka Brytania 2017

Był sobie muzyk

Jaka jest najgorsza chwila w życiu fana? Gdy idol podstępnie wślizguje się do łóżka jego ukochanej. Coś w ten deseń przytrafiło się bohaterowi transatlantycznej, romantycznej komedii „Też go kocham”. No dobrze, żartowałem. Wystarczy obejrzeć zwiastun, by zorientować się, że sprawy miały się nieco inaczej. Duncan, twórca bałwochwalczej strony internetowej o gwiazdzie rocka, która zgasała jeszcze wcześniej, niż rozbłysła, to dupek żółędny. Wzrusza się, odsłuchując po raz 8764. smętne piosenki, lecz nie widzi, jak dziewczyna, z którą mieszka od 15 lat, wędnie w oczach.

Zresztą streszczenie fabuły to strata czasu. Wystarczy dwa słowa:

Nick Hornby i wszystko jest jasne. Rozterki wiecznych chłopców z klasyką pop rocka w tle są wszak daniem firmowym angielskiego pisarza. Znających poprzednie ekranizacje prozy Hornby'ego ten film niczym nie zaskoczy. Autor „Wierności w stereo” stara się jednak iść z duchem czasu. Dostrzegł, że obiecujące znajomości częściej zawiera się w sieci niż w realu, zaś mężczyźni umysłowo i emocjonalnie nie dorastają kobietom do pięt. A kiedy dorosną, potrzebują już tylko pielęgniarki.



★★★★★
REŻ. JESSE PERETZ
„TEŻ GO KOCHAM”
 („JULIET, NAKED”)
USA 2018

wyst. Rose Byrne,
Ethan Hawke,
Chris O'Dowd

Aktywa filmu? Trafiona obsada, autoironia oraz krzepiące przesłanie: nawet jeśli schrzaniś sobie połowę życia, to zawsze pozostaje druga połowa. ☺☺

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DZIEWCZYNA NA LODZIE

Jeden z najlepszych filmów roku 2017, w dodatku stawiający niewygodne pytania. Opowieści o toksycznych rodzicach i ich wpływie na wybitnych sportowców trochę już mieliśmy. „Jestem najlepsza” dodaje do tych rozważań wątek społeczny. Tonya Harding miała pod górę, bo w powszechnej opinii była zbyt nieokreślona, zbyt biedna i zbyt atletyczna, by reprezentować USA w elitarniej dyscyplinie, jaką jest łyżwiarstwo figurowe. Wygrywała dzięki nieludzkiej pracy i talentowi. Twórcom filmu udało się ładnie połączyć opowieść o ubogiej Ameryce (jest i taka) z prześwietleniem niepięknych kulis wyczynowego sportu, no i wzbudzić spore kontrowersje przedstawieniem afery z atakiem na Nancy Kerrigan, łyżwiarską konkurentkę Tonyi. Mam tu też dwie wybitne kreacje aktorskie: Margot Robbie w roli głównej oraz Allison Janney w roli jej matki (zasłużony Oscar dla drugoplanowej roli żeńskiej). Moim zdaniem tych statuetek powinno być więcej, ten film z pewnością na nie zasługiwał.



wyst. Margot Robbie, Sebastian Stan,
Allison Janney

★★★★★
REŻ. CRAIG GILLESPIE
„JESTEM NAJLEPSZA.
JA, TONYA”
 („I, TONYA”)
USA 2017, DASAN

KOMEDIA NA EMERYTURZE

Jak zatrudnić grono świetnych aktorów i zmarnować ich potencjał? Ron Shelton pokaże wam to już w pierwszym kwadransie nieśmiesznej komedii o ukrywającym się przed mafią prawniku (Morgan Freeman), jego konkurencji w pokerze i w podrywaniu (Tommy Lee Jones) oraz o pięknej pani dyrektor (Rene Russo) przybyłej na inspekcję. Rzecz rozgrywa się w luksusowym ośrodku dla emerytów, więc wszystko wygląda przyzwoicie. Niestety reszta, to znaczy scenariusz, żarciki i tempo są już nieprzyzwoicie słabe. Próba uratowania tej niepięknej katastrofy było opakowanie jej jako filmu bożonarodzeniowego, ale nie wyobrażam sobie, by „To dopiero początek” był w stanie kogoś wprowadzić w świąteczny nastrój. Komedie geriatryczne to ostatnio popularny podgatunek. Bywają niezłe (takie jak „W starym dobrym stylu”), bywają i słabutkie jak ta. ☹☹



wyst. Morgan Freeman, Tommy Lee Jones,
Rene Russo

★★★★★
REŻ. RON SHELTON
„TO DOPIERO
POCZĄTEK”
 („JUST GETTING
STARTED”)
USA 2017,
IMPERIAL

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „CIRCLE EMPIRES”

W dziedzinie strategii czasu rzeczywistego wymyślono już właściwie wszystko. Od klasycznych starć piechoty na rozległych równinach do bitew odbywających się w skali planetarnej. Tym ciekawsza jest gra, która potrafi odrobinę zaskoczyć. Powiew świeżości jest bodaj

największym atutem „Circle Empires” – niezależnej produkcji, w której rozwijamy nasze królestwo poprzez podbój... proceduralnie generowanych i połączonych ze sobą światów, wpisanych w otoczony murem okrąg. Brzmi dziwnie, ale dzięki mnogości przeciwników, bossów i nieustannemu



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

napieciu wywołanym walką na kilku frontach gra się przyjemnie. ☺☺

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RTS
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Luminous/Iceberg Interactive
- **Klasyfikacja PEGI:** 13+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Elektryk z Nagrodą Nobla

Można być w 100 proc. pewnym, że w odpowiedzi na pytanie o noblistów polskich lub mających polskie korzenie przeciętny Polak wskaże raczej Isaaca Bashevisa Singera, piszącego w jidysz amerykańskiego pisarza urodzonego w podwarszawskim Leoncinie, niż bohatera wydanej w Znaku książki Marka Górlikowskiego „Noblista z Nowolipek”, czyli Józefa Rotblata, laureata Nobla z 1995 r., zmarłego 10 lat temu „genialnego – jak czytamy na okładce – fizyka”.

Sęk w tym, że urodzony w Warszawie 4 listopada 1908 r. potomek Zelmiana Rotblata z matki Szajndli urodzonej Krajtman, wyznania oczywiście, że mojżeszowego, otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla pospół z ruchem Pugwash, jak popularnie się określa nazywaną tak od wioski w Nowej Szkocji (gdzie powstała w 1957 r.) Konferencję Pugwash w sprawie Nauki i Problemów Światowych. Animatorami tego ruchu, który na dobrą sprawę zajmuje się nie wiadomo czym, za to na pewno walczy o pokój, byli sławny Bertrand Russell i właśnie nie kto inny, a nasz „genialny” fizyk.

Studiował nie na Uniwersytecie, lecz w Wolnej Wszechnicy Polskiej, która nie wymagała matury. Tę z czasem uzupełnił eksternistycznie, przez dłuższy czas pracując jako elektryk, co niepokojąco przypomina nam drogę życiową innego, znacznie lepiej znanego nam noblisty.

We Wszechnicy troskliwie zajął się Rotblatem Ludwik Wertenstein, gdyby serio traktować książkę Górlikowskiego – alfa i omega polskiej fizyki, z którym nie mogą się równać fizycy z Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w końcu w 1938 r. przyszły noblista obronił doktorat. Mówić też będzie o nich po latach z wyraźną kpina.



FOT. MICHELLE PELLETIER/REUTERS/SCIENCE/GETTY IMAGES

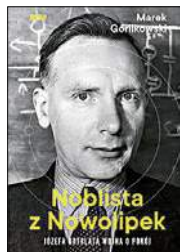
Profesor Andrzej Kajetan Wróblewski, badacz fizyki i jej historyk, nie tylko z tej racji, że był rektorem Uniwersytetu Warszawskiego, wspomnienia noblisty z Nowolipek traktuje z daleko posuniętą rezerwą:

„... to tylko wrażenia młodego, początkującego wtedy fizyka, który nie miał orientacji w całości obrazu fizyki w Polsce, nie mogą one zatem być traktowane bezkrytycznie. Jeśli Rotblat rzeczywiście z szyderstwem opowiadał o Pieńkowskim i Białobrzelskim, to bardzo stracił w moich oczach. [...] Notabene od ludzi, których znałem osobiście (Danysz, Pniewski, Pieńkowski, Sołtan), zawsze słyszałem, że Wertenstein i fizycy z Uniwersytetu Warszawskiego pozostawali w bardzo dobrych, przyjacielskich stosunkach. Trzeba także jasno powiedzieć, choć może zabrzmiał brutalnie, że Rotblat stał się sławny nie ze względu na swe osiągnięcia

czysto naukowe, lecz ze względu na działalność w ruchu Pugwash, która przyniosła mu Pokojową Nagrodę Nobla. Gdyby nie ona, a także to, że Rotblat był Żydem, którego znaczna część rodziny zginęła w Holokauście, byłby on dziś fizykiem właściwie zapomnianym, ponieważ takich jak on było wielu”.

O losach i karierze Rotblata zdecydował wyjazd do Anglii niemal w przededniu wybuchu wojny. Na Wyspach znów znajdzie życzliwego opiekuna, tym razem w osobie Jamesa Chadwicka, odkrywcy neutronu, który uczyni go swoim asystentem, choć geniusz z Nowolipek po angielsku ledwie duka. Charakter badań na Uniwersytecie w Liverpoolu spowoduje, że zaangażowany zostanie do pracy w Ameryce nad bombą atomową. Mimo tego, że wcześniej odmówił zrzeczenia się obywatelstwa polskiego i przyjęcia angielskiego, co – znów zaglądam do noty na okładce – spowodzi na niego kłopoty w postaci podejrzenia o szpiegostwo na rzecz Związku Sowieckiego. Naprawdę dopiero podpadnie Amerykanom, łamiąc regulaminy, i pozbędą się go tak jak on, w rezultacie, obywatelstwa polskiego.

Ojego poczynaniach w ruchu pokojowym najlepiej świadczy to, że w sierpniu 1982 r. jubileusz ćwierćwiecza Pugwash świętować będzie w Warszawie, ku ucieście gen. Jaruzelskiego, którego wtedy bojkotował cały świat. Z wyjątkiem, jak się okazało, Józefa Rotblata i podobnych mu – jak to mawiają Rosjanie – poputczyków. Czyli towarzyszy drogi. Niech będzie, że pożytecznych idiotów. Którzy przez lata dążyli do nuklearnego rozbrojenia, a ich pomysły zawsze szalenie podobały się Sowietom i regularnie były odrzucane przez Amerykanów. ©



★★★★★
MAREK GÓRLIKOWSKI
„NOBLISTA
Z NOWOLIEPK.
JÓZEFA ROTBLATA
WOJNA O POKÓJ”
ZNAK 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dziewczyna napiętnowana

Dwudziestoletnia Aviva Grossman wikała się w romans z żonatym kongresmenem.

Sprawa wychodzi na jaw (zawsze wychodzą) i kończy się skandalem. Oto punkt wyjścia powieści „Wzloty i upadki młodej Jane Young”. Jak widać, afera rozporkowa wciąż inspirowa twórców popkultury, choć od czasu niesławnego Clintonowego wyznania: „Nie uprawiałem seksu z tą kobietą” minęło już 20 lat.

Podobieństw jest sporo: bohaterka książki to stazystka, dziewczyna trochę pulchna i zakompleksiona, poszukująca akceptacji. Senator to ulubieniec młodych wyborców, równy gość, który chętnie obejrzy z podwładnymi wygłupy Conana O'Briena w telewizji, luzak przedkładający kebab nad obiad w wykwiwnej restauracji. Jak kończy się afera? Podobnie jak w przypadku Clintona. Politykowi romans nie szkodzi, dziewczyna musi żyć z piętnem zdziury i każdego dnia linczowana jest na niezliczonych forach internetowych. Wyprowadza się więc na drugi koniec kraju i rozpoczyna nowe życie. Afera powraca po latach, bo Internet nie zapomina, a jej przypomnienie będzie miało poważne skutki dla trzech pokoleń Grossmanów – samej dziewczyny, jej córki oraz matki. W tle znów pojawi się polityka.

Gabrielle Zevin, autorka książki, piętnuje hipokryzję i niesprawiedliwość, choć gdyby chciała przyjrzeć się problemowi w pełni, to musiałaby zauważyć, że czasem to młode dziewczyny (lub chłopcy) bez skrupułów wykorzystują podobne sytuacje, by szybciej znaleźć się w kręgu władzy i pieniędzy. Nie jest to jednak wielka proza pokroju Toma Wolfe'a, tylko lekka konfekcja dla pań z pouczającym przesłaniem. Aviva vel Jane odnajdzie właściwą drogę, gdy pojmie, że prawdziwy feminizm to nie rozpamiętywanie marszów palenia biustonoszy z lat 70. i wznoszenie haseł: „Samiec twój wróg”, ale zrozumienie, że kobiety mają takie samo prawo do dokonywania życiowych wyborów jak mężczyźni. W tym prawo do wyborów złych, za które nie powinny być karane ostrzej od panów.

Reklamowana na okładce jako „feministyczny tour de force” książka jest tak naprawdę tylko feministycznym mizianiem, bo można było uderzyć mocniej. Opowieść o Avivie omija bowiem kluczową dla tego typu relacji kwestię: dwuznaczność każdej sytuacji, w której romans łączy nauczyciela i ucznia, sfera i podwładnego, polityka i wolontariusza. Niezależnie od płci idzie wszak o nadużycie władzy i zaufania. ©



★★★★★
GABRIELLE ZEVIN
„WZLOTY
I UPADKI MŁODEJ
JANE YOUNG”
W.A.B. 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Polak potrafi, czyli opowieść o legendzie grunge autorstwa fana i dziennikarza, łączącego osobistą pasję z ciekawością badacza. Sporo o polskich epizodach Pearl Jam plus unikatowe wypowiedzi członków zespołu.



BARTEK KOZICZYŃSKI
„PEARL JAM.
KONTRA”
IN ROCK

Podrabiał nie tylko dzieła Vermeera. Jeden z falsyfikatorów jego autorstwa był ozdobą kolekcji Hermanna Göringa. Opowieść o malarzu Hanie van Meegerenie to fascynująca historia miłości do sztuki i wyrafinowanej zemsty na krytykach.



FRANK WYNNE
„TO JA BYŁEM
VERMEEREM”
REBIS

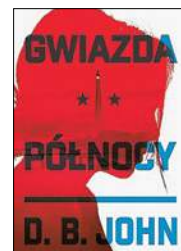
Nowa seria komiksowa scenarzysty „The Walking Dead”. Część miasta Filadelfii zostaje przeniesiona do innego wymiaru. Rozbitkowie uczą się żyć w obcym, pełnym monstrów świecie. Wielu można uratować, inni wybierają wygnanie.



ROBERT KIRKMAN,
LORENZO DE FELICI
„PIEŚŃ
OTCHŁANI”
NON STOP COMICS

Thriller jak z czasów zimnej wojny. Północnokoreańscy agenci porwują Amerykankę, po latach jej siostra we współpracy z CIA wyrusza za tajemnicą do kraju ostatniej komunistycznej dyktatury. Mocne i wiarygodne. ©

poleca Piotr Gociek



D.B. JOHN
„GWIAZDA
PÓŁNOCY”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Katarzyna Nosowska**, „A ja żem jej powiedziała” (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
2. **Heather Morris**, „Tatużysta z Auschwitz” (Marginesy) – opowieść o Lale Sokolowie, który tatuował numery więźniom niemieckiego obozu.
3. **Blanka Lipińska**, „365 dni” (Edipresse) – dziewczyna porwana przez mafiosa ma 365 dni, by go pokochać. Brzmi idiotycznie? Owszem. I takie też jest.
4. **Remigiusz Mróz**, „Hashtag” (Czwarta Strona) – nowa powieść autora polskich kryminałów. O dziwnych zaginięciach i mocy Internetu.
5. **Agnieszka Antosiewicz**, „Mądre bajki” (Wydawnictwo GREG) – kolejna książka znanej autorki sympatycznych zbiorów edukacyjnych dla najmłodszych.

(Najchętniej kupowane książki w lipcu 2018 r. w księgarni internetowej TaniaKsiazka.pl)

Czym inspirowałby się mistrz pop-artu Andy Warhol, gdyby jego rodzice nie wymigrowali za ocean? Seria puszek z zupą firmy Campbell – 32 płótna z amerykańską zupką we wszystkich dostępnych smakach, za które na Warhola „profanującego” sztukę posypała się krytyka, a które jednocześnie dały mu rozgłos – pewnie by nie powstała, gdyby wychowywał się w małej wiosce leżącej na północnej granicy dzisiejszej Słowacji. Jednak przyszedł na świat w kraju, w którym mógł spełnić amerykański sen. W kraju, do którego z małej wioski uciekli najpierw jego ojciec, a później matka.

Geny miał Warhol niebawalne. Ojcu nie brakowało odwagi, by rzucić wszystko i szukać lepszego życia w dalekiej Ameryce. Matka podążyła jego śladem, mając w kieszeni niecałe 200 dol. Po Julii Warhole jej syn Andrzej odziedziczył też talenty artystyczne, w tym plastyczny. Jednak tym, co Julię intereso-



Muzyka bieszczadzkiej grupy Tołhaje była wykorzystana w ścieżce dźwiękowej serialu HBO „Wataha” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Karpaty i mama Warhola

wało bardziej od farb i pędzli, był śpiew.

I to śpiewem wyrażała swą tęsknotę za rodzinnymi stronami. Na emigracji nagrała płytę winylową z rusińskimi pieśniami ludowymi i posłała swej siostrze, która została w Karpatach na granicy polsko-słowackiej. Dotarli do

niej muzycy z bieszczadzkiej grupy Tołhaje, którzy tworząc aranżacje do wokalu Julii Warholi, dali światu sentymentalną, przepełnioną tęsknotą płytę „Mama Warhola”. – Dostaliśmy materiał w postaci cyfrowej. Z racji wieku i metody rejestracji wymagał wielu zabiegów, by wyciągnąć

najlepsze brzmienie materiału wokalnego. Na tyle, na ile mogliśmy go zaadaptować do naszych aranżacji, staraliśmy się zachować jego oryginalny kształt – mówił w Polskim Radiu Piotr Rychlec grający w grupie na akordeonie i zajmujący się realizacją dźwięku. ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

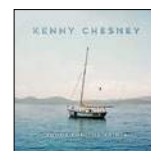
Powracające szaleństwo

Nowojorscy faceci w czerni świętują 20-lecie istnienia grupy i mimo upływu lat nie zamierzają się zmieniać.

Na początku nowego milennium muzycznym Nowym Jorkiem wstrząsnęła ożywcza fala młodych zespołów czerpiących inspirację z postpunkowej tradycji. Na czele ruchu stał The Strokes, o którym świat zdążył już zapomnieć. Interpol w odróżnieniu od konkurentów brzmiał, jakby powstał w... Manchesterze. Debiutancka płyta grupy – „Turn on the Bright Lights” – wyraźnie bowiem odwoływała się do dorobku Joy Division. I może dlatego Interpol z miejsca zyskał wiernych wyznawców nad Wisłą.

„Marauder”, szósty album nowojorskiego tria, już tonacją okładki (czerni, szarości, ciemna czerwień) daje do zrozumienia, że klimaty się nie zmieniły. Wciąż dominują kłujące gitary, kroczące linie basu, motoryczne bębny i wyrazisty, ponury baryton Paula Banksa. W tekstach, które miały być bardziej osobiste niż wcześniej, jak zwykle przeważają niepokój, niezadowolenie i alienacja. Jedynie to emocjonalne szaleństwo jest starannie podane, co jest akurat zasługą producenta Dave’a Friedmana (The Flaming Lips, Mercury Rev).

A że to już dawno słyszeliśmy? Cóż, nastały czasy nieustającego muzycznego déjà vu. ©©



★★★★★
KENNY CHESNEY
„SONGS FOR THE SAINTS”
PARLOPHONE

Za oceanem płyta od razu wskoczyła na drugie miejsce. Kenny jest gwiazdą country, ale najlepiej wychodzą mu melodyjne ballady, które tym razem poświęcił ofiarom huraganu Irma. Niezły album nie tylko dla miłośników wieśniactwa. Warto odkryć.



★★★★★
COWBOY JUNKIES
„ALL THAT RECKONING”
PROPER

Kanadyjski kwartet zasłynął 30 lat temu albumem „The Trinity Session”. Siłą grupy są intrygujące utwory łączące country, bluesa i folk. Jednak głównym atutem jest niepowtarzalny, eteryczny głos Margo Timmins. Na późnonocne kontemplacje. ©©



★★★★★
INTERPOL
„MARAUDE”
MATADOR



100-lecie polskiego lotnictwa wojskowego

Dzieje obchodzącego swoje 100-lecie polskiego lotnictwa wojskowego obfitują nie tylko w bohaterskich i walecznych pilotów, nawigatorów czy strzelców. Na przypomnienie zasługują osiągnięcia polskich inżynierów i konstruktorów z branży lotniczej

Lata międzywojenne były okresem pionierskim nie tylko dla polskiego lotnictwa, lecz także światowego. Pierwsze zakłady lotnicze w Polsce powstały na warszawskim Polu Mokotowskim. To tutaj na przełomie lat 1919 i 1920 rozpoczęto budowę prototypu dwumiejscowego samolotu liniowego konstrukcji inż. Władysława Zalewskiego. W latach 20. w zakładach w Warszawie, Poznaniu i Białej Podlaskiej rozpoczęto produkcję płatowców na licencjach francuskich. W 1926 r.

szeffem Departamentu Żeglugi Powietrznej Ministerstwa Spraw Wojskowych został płk Ludomił Rayski, który postawił na polski przemysł lotniczy i rodzimą myśl inżynierską. Ta strategiczna decyzja umożliwiła powstanie nowatorskich na skalę światową projektów, takich jak opracowany przez Zygmunta Puławskiego mewa płat, nazywany również polskim płatem. Zastosowana po raz pierwszy w samolocie PZL P-1 konstrukcja skrzydła, dzięki odpowiedniemu wygięciu i zwężeniu na wysokości kadłuba, zapewniała pilotowi

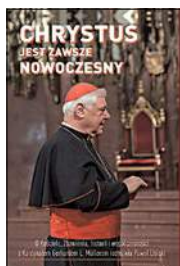
dobrą widoczność we wszystkich kierunkach. Opracowane na początku lat 30. polskie samoloty myśliwskie wykorzystujące to rozwiązanie, takie jak PZL P-7, P-11 i P-24, były wówczas zaliczane do najnowocześniejszych na świecie. Polskie płatowce były produkowane w setkach egzemplarzy i nie tylko służyły w kraju, lecz także były eksportowane za granicę, gdzie spotykały się z ogromnym uznaniem.

Sukces polskiego lotnictwa w okresie międzywojennym opierał się na świadomym i konsekwentnym mecenacie

państwa nad zakładami oraz biurami konstrukcyjnymi. Wieloletnia kontynuacja prac rozwojowych i produkcyjnych w lotnictwie prowadziła do ciągłego udoskonalania konstrukcji, utrzymania doświadczonego personelu inżynierskiego i produkcyjnego oraz wypracowania optymalnych rozwiązań technologicznych. Tak dynamiczny rozwój polskiego przemysłu, jak również myśli intelektualnej był możliwy dzięki strategicznym decyzjom rządu polskiego, przede wszystkim wizjonerskim talentom ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego. To on nakreślił perspektywę rozwoju społeczno-ekonomicznego Polski i stworzył podstawy finansowania kluczowych dla polskiej gospodarki projektów, w tym powstania Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Misją dzisiejszej Polskiej Grupy Zbrojeniowej jest zaspokojenie obecnych i przyszłych potrzeb Sił Zbrojnych RP, w tym Sił Powietrznych. Spółki domeny lotniczej PGZ zapewniają usługi w zakresie obsługi samolotów i śmigłowców na wyposażeniu Sił Zbrojnych RP, m.in. obsługi okresowe i specjalne, obsługi liniowe i bazowe, przedłużenie resursu, usprawnienia, naprawy, remonty, modyfikacje i doposażenia, malowanie, prace modernizacyjne, remont agregatów i silników, projektowanie i produkcja. Spółki domeny lotniczej prowadzą także prace badawczo-rozwojowe i projektowe w zakresie bezzałogowych statków powietrznych, bez których coraz trudniej jest prowadzić działania na współczesnym polu walki. Rozwijanie innowacyjnych technologii w oparciu o polską myśl technologiczną jest jednym z priorytetów Polskiej Grupy Zbrojeniowej.





PONIŻSZY WYWIAD
TO OBSZERNE
FRAGMENTY KSIĄŻKI,
ROZMOWY RZEKI, KTÓRĄ
Z KARD. GERHARDEM L.
MÜLLEREM
PRZEPROWADZIŁ
PAWEŁ LISICKI

PAWEŁ LISICKI: Czy istnieje jeszcze w ogóle coś takiego jak chrześcijańska Europa? Czy też ostatecznie Kościół przegrał walkę o duszę zachodniego człowieka? Kościoły pustoszeją – to dojmujące poczucie pustki widoczne jest szczególnie w niedziele, podczas różnych świąt. W niektórych miejscach ten proces dechrystianizacji przebiega wyjątkowo szybko. W diecezji trewirskiej, najstarszej diecezji Niemiec, musiano w ostatnim roku zamknąć 96 proc. kościołów parafialnych. Było 906 parafii, pozostało 35. Trudno o większą katastrofę. Wszystko wygląda tak, jakby w ciele Kościoła zagnieździła się jakaś złośliwa choroba, jakby co roku kolejne miejsca były zainfekowane i jakby nikt nie potrafił na nią znaleźć recepty. Łatwo też zauważyć, że im bardziej w danym państwie Kościół jest liberalny i otwarty, tym szybciej i bardziej niszcząco przebiega proces destrukcji. Jeszcze jedna prawidłowość: właśnie te wspólnoty katolickie, które miały największy wpływ na przebieg Soboru Watykańskiego II, praktycznie zniknęły. Tak stało się już w Holandii i Belgii, tak dzieje się w Niemczech. Jakie są źródła tego kryzysu, zdaniem księdza kardynała? Ksiądz kardynał sam napisał w jednej ze swoich książek, że „zamiast zielonoświątkowej odnowy przyszło babilońskie pomieszanie języków”.

KARD. GERHARD L. MÜLLER: Chociaż w Europie wciąż jest wielu chrześcijan, to jako jedność, jako kontynent od dawna przestała być ona kształtowana przez chrześcijaństwo i Kościół. Wystarczy przyjrzeć się prawodawstwu, modom, światopoglądom, temu, co uważa się za ważne i co nadaje ton, wreszcie mediom i dominującemu dyskursowi. Stoimy wobec sytuacji, w której zanikło poszanowanie dla godności życia od poczęcia do naturalnej śmierci. O tym zaniku ducha chrześcijańskiego świadczą miliony aborcji, rosnące przyzwolenie na eutanazję. W żadnym razie nie jest to dobra śmierć, ale – przeciwnie – przyzwolenie na eutanazję to pomnik wzniesiony nihilizmowi. Akceptacja eutanazji wynika z tego, że w nic się nie wierzy, że w takiej sytuacji człowiekowi, który cierpi, który nie może brać udziału w procesie zaspokajania swoich pragnień, odmawia się prawa do życia.

To ostateczna konsekwencja wyciągnięta z odrzucenia godności osoby



Z kard. Gerhardem L. Müllerem,
byłym prefektem Kongregacji Nauki Wiary
rozmawia Paweł Lisicki

SPOTKANIE AUTORSKIE

**W poniedziałek 20 sierpnia
o godz. 19**

w Muzeum Diecezjalnym
przy ul. Giełczyńskiej 20A
w Łomży odbędzie się
spotkanie z autorami książki
„Chrystus jest zawsze
nowoczesny”

– ks. kard. Gerhardem
L. Müllerem i Pawłem Lisickim.

FOT. MASSIMILIANO MICILORATO/CPPI/POLARIS/EAST NEWS



ludzkiej, z uznania, że sens życia zależy tylko od zaspokojenia przyjemności. Życie staje się bezsensowne w chwili, kiedy okazuje się, że nie da się już więcej korzystać z materialnych rozkoszy. W Niemczech ten kryzys spowodowany jest, można wręcz powiedzieć, na własne życzenie. Na zewnątrz, jeśli chodzi o fasadę, wszystko wygląda wspaniale. Kościoły są odnowione, instytucje działają, pieniądze przyływają. Jednak prawdziwe życie chrześcijańskie zamiera, to bowiem musi zawsze brać swój początek w źródłach wiary. [...]

Państwa, które pan wymienił, stały się symbolem progresywizmu, liberalizmu. Wpadły one w pułapkę. Rozpowszechniła

lizmie. W nieco łagodniejszej formie pojawia się ona również w głoszącej nieustanny postęp i wiarę w samookreślenie także własnej płci, ideologii gender. Zakłada ona, że osoby tej samej płci mogą zrealizować to samo, co było celem małżeństwa, które uznaje naturalne różnice między płciami, między mężczyzną a kobietą.

Muszę przyznać, że wiele publicznych wypowiedzi z ostatniego roku, z ostatnich kilkunastu miesięcy, brzmiało osobliwie. Mam na myśli słowa licznych teologów, hierarchów poświęcone postaci Marcina Lutra w związku z 500-leciem reformacji. Mogłem usłyszeć, że Luter jest świadkiem Ewangelii, wzorem wiary, nowym ojcem Kościoła.

z jego całym wyznaniem wiary, jednością biskupów, papieżem i sakramentami. Oczywiście katolicki obraz Lutra nie powinien być prostym zaprzeczeniem pamięci protestantów. Jeśli dla nich jest on kimś na wzór superświętego, to nie znaczy, że mamy z niego robić arcydiabła. Oba wizerunki powinny być przedmiotem spokojnego, trzeźwego, historycznego badania.

Nie da się choćby ukryć, i protestanci muszą to przyjąć, że Luter podczas wojny w 1525 r. wzywał księząt do masowego zabijania chłopów, których zginęło wówczas około 100 tys. Podobnie nie sposób pominąć jego wrogości i słownych napaści na Żydów. Tak samo Luter nie tylko atakował

Kult pozornej wolności i jego skutki

się tam wiara, która ma swój początek w XIX w., w nieograniczony postęp doczesny, w to, że czy to robotnicy, czy bogaci mieszczanie zbudują razem w końcu doczesny, materialny raj na ziemi. Ważnym elementem tej nowej postępowej świadomości były hasła: emancypacji, wyzwolenia, samookreślenia sumienia, uwolnienia się od wszelkich autorytetów, autorytetu państwa, Kościoła. Krótko można to określić „patosem wolności”. W tym sensie mówiono, że Kościół to przeciwieństwo nowego świata, który my sami zbudujemy za pomocą naszych ludzkich sił. Wytworzył się negatywny obraz Kościoła: Kościół wszędzie jest hamulcowym przemian, zamiast głosić wolność, mówi o autorytecie, księży, zamiast docenić naszą kreatywną moc tworzenia wartości, mówią nam, co mamy wierzyć, co mamy robić. Kościół przekształcił się w oczach najbardziej radykalnych zwolenników skrzydła postępowego w symbol wroga. Tę nienawiść widać było w marksizmie, w narodowym socja-

Kardynał Walter Kasper widział w Lutrze nowego św. Franciszka z Asyżu. Nie umiem zrozumieć tych pochwał. Przecież to odnosi się do człowieka, który konsekwentnie uważał, że papieństwo zostało założone przez diabła. Jak mam pogodzić te dwie rzeczy: z jednej strony twierdzenie, że wiara Lutra ma być dla mnie jako katolika wzorem do naśladowania, z drugiej strony wiedzę historyczną o tym, że dla Lutra papież był wcielonym diabłem?

Protestanci, co naturalne, utożsamiają się z Lutrem. Dla nich jest on nowym założycielem chrześcijaństwa, prawdziwym reformatorem. Tego określenia nie możemy zaakceptować. Ekumenizm nie może polegać na tym, że katolicy będą przejmować protestancki punkt widzenia, bo w praktyce oznaczałoby to, że przestaniemy być katolikami. Przeciwnie, oczekujemy, że wszyscy, którzy są chrześcijanami, a nie są katolikami, znajdują się w pełnej wspólnocie powszechnego Kościoła, która znajduje się już w Kościele katolickim. W sensie instytucjonalnym ta pełnia jest urzeczywistniona w Kościele katolickim,

papieża, lecz także wzywał do wypędzenia biskupów i do rozprawy z katolikami w tych państwach niemieckich, w których władza należała do protestanckich panów. To wszystko z pewnością nie było dobre. Trzeba też choćby pamiętać o tym, że Luter zezwolił księciu Filipowi Heskemu na bigamię. Katolicy nie mogą po prostu zmienić o 180 stopni swojego wcześniejszego podejścia i nagle uczynić Lutra wzorem. Jak może on być nowym Franciszkiem z Asyżu? Franciszek był prawdziwym świętym, który w swym życiu, współpracując z łaską Bożą, w pełni urzeczywistnił cnoty doskonałości chrześcijańskiej. Doprowadził on nie jak Luter do podziału, lecz do odnowienia Kościoła katolickiego. Budując taki fałszywy obraz Lutra, robi się ruchowi ekumenicznemu niedźwiedzią przysługę. Katolicy nie mogą przecież wyrzec się własnej tożsamości.

Paul Hacker, jeden z najważniejszych niemieckich teologów XX w., wykazał w swojej

■ Książce „Das ich im Glauben bei Luther” („Ja wierzę w Lutra”), że już od 1518 r. Luter rozumiał wiarę nie na sposób katolicki jako posłuszny akt przyjęcia Objawienia gwarantowanego przez autorytet Kościoła, ale inaczej. Wiara była dla niego wytwarzaniem pewności zbawienia przez moje „ja” i miała dawać pociechę. W tym sensie jest się usprawiedliwionym w oczach Boga po prostu dlatego, że się w to wierzy. A teraz problem. Dlaczego zdaniem tylu obecnych biskupów, kardynałów, teologów wiara Lutra ma być dla dzisiejszych katolików przykładem? Czy to jest jakaś trudna do pojęcia strategia retoryczna?

Jestem przekonany, że wielu biskupów nie ma jasnego oglądu teologicznego sytuacji. Nie rozróżniają oni jasno katolickiego i protestanckiego pojęcia wiary. Żyjemy w świecie zdominowanym przez przekazy medialne. A media zamazują różnice, chcą przedstawiać wszystko w uproszczeniu. „O, nawet papież chwali Lutra” – taki przekaz dobrze się sprzedaje, więc jest pokazywany. Stąd niektóre wypowiedzi papieża pokazywane są tylko pod tym jednym kątem – czy zbliżają do jedności, czy pomagają ekumenizmowi, tak jak go rozumieją media. Jedno jest pewne: tak długo jak długo chcemy być katolikami, nie możemy przejąć od Lutra rozumienia wiary, nie wolno nam przyjąć jego interpretacji. [...]

W tej sprawie jest wiele niejasności, krążą wyjątkowo niejasne opinie. Wynika to też z tego, że katolicy i protestanci nawzajem się znają i lubią. Dlatego unika się twierdzeń, które mogłyby być dla drugiej strony nieprzyjemne, które wskazywałyby na różnice i sprzeczności. Dlatego mówi się, że w gruncie rzeczy chcemy tego samego. Po co więc się spierać o drobiazgi? Różnice są zatem minimalizowane, sprowadza się je do nieistotnych odmienności w sposobie wyrażania się. Tak tworzy się piękne uczucie harmonii. To bardzo ludzkie i zrozumiałe, bo ludzie unikają konfliktów. Tęsknota za harmonią jest ogromna. Poza tym za takie dążenie chwalą nas media, więc mówi się o nowym rozumieniu drugiego. Brzmi to dobrze i spotyka się z uznaniem dziennikarzy. Tyle że to nie jest żadne nowe rozumienie. To jest niwelowanie, relatywizacja pytania o prawdę. Kwestia prawdy to jest jednak grunt, na którym стоимy. Możemy

użyć porównania: celem ekumenizmu jest pokonanie murów, które nas dzielą w domu, ale nie doprowadzenie tego domu do zniszczenia. Nie może chodzić o wyrównanie różnic i ich zniesienie. To jest fałszywy ekumenizm, którego ofiarą pada prawda. Taki ekumenizm najlepiej opisuje następująca formuła: operacja się udała, pacjent nie przeżył.

Ksiądz kardynał wskazuje na wiele zasadniczych różnic między katolikami a protestantami. Tym bardziej cennie się na usta pytanie o niektóre osobliwe wypowiedzi. Czy wolno zapraszać niekatolików do przyjmowania Komunii Świętej? Czy to faktycznie „znak nadziei”, jak to ujął kard. Walter Kasper i jak domagają się tego niektórzy niemieccy biskupi?

Sądzę, że nikt nie ma prawa zapraszać ewangelików, niekatolików do udziału w Eucharystii. Przecież mówimy tu o Communio, o wspólnocie, której Komunia Święta jest najgłębszą formą. Jeśli nie ma kwestii wiary w wierze, jeśli oddziela nas tyle kwestii dogmatycznych, to jak możemy mówić o wspólnocie eucharystycznej? W jaki sposób niby mielibyśmy osiągnąć najwyższy punkt wspólnoty mimo tak głębokich podziałów? To tak, jakby ktoś chciał wejść na szczyt piramidy, pomijając wszystkie stopnie, po których miałyby wstępować. Dach domu opiera się na niższych piętach i na fundamentach. [...]

Moim zdaniem pokazywanie sakramentalnej jedności mimo realnego podziału w kwestiach wiary można nawet nazwać oszustwem, zewnętrznym pozorem. W ten sposób odbiera się wartość Komunii Świętej, sprowadzając ją do środka budowy zewnętrznej, wewnętrzświatowej harmonii. To, co święte, staje się narzędziem do tworzenia uczucia harmonii. Nie mamy prawa dokonać reinterpretacji Eucharystii, zresztą dotyczy to całej uroczystości eucharystycznej. Nie możemy zmieniać jej funkcji, zrobić z niej zewnętrznego rytuału religijnego, który ma pokazywać fałszywą jedność. Podobnie nie wolno nam patrzeć na Komunię tylko jako na coś indywidualnego, jak na jednostkową relację wiernego do Chrystusa. To nie jest tak, że każdy z osobna spotyka się z Chrystusem Kapłanem i według swego uznania przyjmuje lub nie Komunię. Napięcia i różnice są prawdziwe,

musimy je realnie, a nie pozornie, przeżywać. Nie można ich przykrywać. Lekarz musi opatrzyć ranę, usunąć brud, czasem zszyc skórę. Nie wystarczy, że ktoś pojawi się w szpitalu, że nalepi się na ranę plaster, bo wtedy zakażenie dalej się rozwija.

Może teraz pytanie nieco bardziej osobiste. W jednej z rozmów z niemiecką gazetą „Passauer Neue Presse” powiedział ksiądz kardynał, że papież Franciszek powiadomił go o tym, że nie przedłuży księdzu kadencji na kolejnych pięć lat urzędowania pod koniec spotkania, w ostatniej minucie audiencji. „Nie mogę zaakceptować takiego stylu” – to słowa księdza kardynała przytoczone przez dziennikarza. Czy to prawda? Jak teraz, z perspektywy kilku miesięcy, ocenia ksiądz kardynał tę decyzję papieża?

No cóż, takie są po prostu fakty, którym nie można zaprzeczyć. To prawda, że papież poinformował mnie o tym, iż moja misja kończy się ostatniego dnia pięcioletniej kadencji, nie podając żadnych przyczyn swojej decyzji. Zresztą nie można mówić o żadnych obiektywnych przyczynach. Obiektywne przyczyny mogłyby polegać na tym, że nie dorosłem do sprawowania tej funkcji albo że miałem całkiem fałszywe rozumienie swoich zadań, albo że wykazałbym się brakiem lojalności wobec papieża. O czymś takim nie może być w żadnym wypadku mowy. Wszyscy znawcy wskazywali, że jestem jednym z tych teologów, którzy najpewniej i najlepiej potrafili objaśnić znaczenie oraz sens papieństwa. Trudno mi o tym mówić, bo brzmi to, jakbym sam się chwalił, ale takie są fakty. Gdyby nie to, papież Benedykt XVI nie powołałby mnie przecież w 2012 r. na funkcję prefekta, na funkcję, którą on sam tyle lat sprawował. [...]

Jednym z największych problemów Kościoła współczesnego jest plaga pedofilów. Ojciec Święty Franciszek ogłosił, podobnie jak wcześniej Benedykt, że będzie się kierował zasadą „zero tolerancji dla księży pedofilów”. Na czym polega ta zasada w praktyce?

Pedofilia wśród księży to autentyczny skandal, bluźnierstwo i rzecz wołająca o pomstę do nieba. Jak kapłan, który ma być dobrym pasterzem, może tak skrzywdzić, duchowo i psychicznie skrzywdzić, powierzonego jego pieczy młodego człowieka? Efektem tego grzechu jest często trauma na całe życie, wewnętrzne cierpienie. Kościół musi na to reagować w sposób absolutnie radykalny. Oczywiście reagować radykalnie nie oznacza reagować na ślepo.

Homoseksualista nie może być księdzem, bo nie wyrzeka się małżeństwa. Z natury rzeczy nie może wyrzec się małżeństwa, bo zgodnie ze swoimi skłonnościami go nie chce

Pierwszą rzeczą jest wysłuchanie potencjalnej ofiary. Muszą zostać też wskazani świadkowie. Przede wszystkim trzeba się zatroszczyć o ofiarę tego obrzydliwego czynu, otoczyć ją duszpasterską troską i udzielić jej potrzebnej pomocy. Przeciw oskarżonemu, przeciw sprawcy trzeba wszcząć nie tylko proces świecki, lecz także kościelny. Procesy rządzą się określonymi regułami. Prowadzone są one w diecezjach, przez biskupów, ale szczególny nadzór sprawuje nad nimi Kongregacja Nauki Wia-ry. W przypadku najcięższych przestępstw to ok. od 20 do 25 proc. rozpatrywanych spraw, proces kończy się wydaleniem ze stanu kapłańskiego. W pozostałych przypadkach nakładane są różnego rodzaju kary, często również bardzo ciężkie. Trzeba pamiętać, że dotyczy to często spraw sprzed 50 lat, w skrajnych przypadkach 60 lat, dlatego bardzo trudno przeprowadzić rzetelne śledztwo po upływie tak długiego czasu. Często nie można dotrzeć do świadków, a po tak długim okresie ludzka pamięć okazuje się zawodna. Proces kościelny, tak zresztą jak każdy uczciwy proces, nie może być tożsamy z linczem i ze sprawiedliwością ludową. Najszybciej wyroki ferują oczywiście media, my

Dlatego jeśli u kogoś występuje wyraźna i stała tendencja homoseksualna, nie może on zostać księdzem. To jest nieusuwalna przeszkoda dla wyświęcenia. Ten zakaz wynika z samego sensu powołania. Ksiądz ma być ojcem. Ma być niejako drugim Chrystusem – Chrystus w sensie symbo-

i nie wiemy, co tak naprawdę Jezus powiedział. Co sądzi ksiądz kardynał o takim podejściu?

Sądzę, że kiedy Bóg postanowił w swej mądrości posłać Syna na świat, nie czekał na radę generała jezuitów, żeby ten mu wskazał właściwą chwilę. Trudno też przyjąć, żeby Bóg czekał ze swoim

Jestem przekonany, że wielu biskupów nie ma jasnego oglądu teologicznego sytuacji. Nie rozróżniają oni jasno katolickiego i protestanckiego pojęcia wiary

licznym jest oblubieńcem, Jego oblubienicą jest Kościół. W działaniu kapłana musi być widoczne jego duchowe ojcostwo. Apostoł Paweł powiedział: „Ze względu na to, że przepowiadałem wam Ewangelię, staliście się moimi dziećmi”. Dla księdza modelem do naśladowania jest rodzina. Tak jak naturalny ojciec dla swych dzieci, tak i duchowy ojciec dla swych wiernych ma mieć czas, uwagę, zaangażowanie i troskę. Ma być ojcem i bratem. W takiej roli nie może występować, co oczywiste, aktywny homoseksualista. [...]

Objawieniem na to, aż pojawi się technika nagrywania. Używając jednak tej metafory, można powiedzieć, że funkcję magnetofonu, urządzenia nagrywającego, spełniała ludzka natura Chrystusa. Jednorodzone Słowo Boga, Osoba Słowa Bożego, przyjmuje ludzką naturę i objawia się przez ludzkie słowa Jezusa, przez Jego gesty, czy-ny, przez Jego los, przez drogę na krzyż aż do Zmartwychwstania. Objawienie zostaje utrwalone, przyjęte, nie przez urządzenie techniczne, lecz przez żywe uszy i oczy apostołów. Czy i uszy świadczą!

To są świadkowie! Na tym polega służba Słowu, żeby przekazać, co słyszały uszy i co widziały oczy! Zwiastujemy wam to, co słyszały nasze uszy, co widziały nasze oczy, czego dotykaliśmy naszymi rękami, Słowo żywe – mówią apostołowie. To właśnie Kościół, żywa wspólnota wiary, wspólnota apostołów, jest właściwym sposobem przyjęcia Objawienia. Kościół pełni funkcję sprzętu nagrywającego, przyjmuje, przechowuje, przekazuje Słowo. I nie potrzeba do tego urządzenia i skrzynki nagrywającej. [...]

Pedofilia wśród księży to autentyczny skandal, bluźnierstwo i rzecz wołająca o pomstę do nieba. Jak kapłan, który ma być dobrym pasterzem, może tak skrzywdzić, duchowo i psychicznie skrzywdzić, powierzonego jego pieczy młodego człowieka? Efektem tego grzechu jest często trauma na całe życie, wewnętrzne cierpienie. Kościół musi na to reagować w sposób absolutnie radykalny

jednak musimy pilnować sprawiedliwych reguł postępowania. Tej pladze najpierw wypowiedział wojnę Jan Paweł II. Nie tylko surowo i jednoznacznie potępił takie przypadki, lecz także stworzył odpowiednie instrumenty prawne i powołał sędziów. Benedykt XVI szedł dokładnie tą samą drogą. [...]

W przypadku homoseksualistów chodzi nie tylko o to, że osoby o takich skłonnościach miałyby być zagrożeniem dla dzieci, ale w ogóle o sens celibatu. Celibat to wyzwanie się prawa do małżeństwa, a nie do partnerstwa homoseksualnego. Homoseksualista nie może być księdzem, bo nie wyrzeka się małżeństwa. Z natury rzeczy nie może wyrzec się małżeństwa, bo zgodnie ze swoimi skłonnościami go nie chce.

Można zatem powiedzieć, że dokument Benedykta XVI zakazujący przyjmowania do seminariów homoseksualistów to dobre rozwiązanie?

Nie tylko dobre, ale konieczne, niezbędne. To rozwiązanie w pełni usprawiedliwione obecną sytuacją. Wynika ono wprost z tego, że ksiądz musi być duchowym ojcem. [...]

Jednak nawet najważniejsi hierarchowie Kościoła zdają się mówić w taki sposób, jakby w sprawach wiary człowiekowi nie była dostępna jakakolwiek pewność. Nowy generał zakonu jezuitów Arturo Sosa Abascal, kiedy chciał usprawiedliwić publikację dokumentu „Amoris laetitia”, nie tylko zakwestionował Tradycję, lecz także same słowa Jezusa. Stwierdził, że ponieważ w czasach Jezusa nie istniał sprzęt nagrywający, nikt nie mógł nagrać Jego słów

Kardynał Reinhard Marx, szef Episkopatu Niemiec, dał do zrozumienia, że w niektórych niemieckich parafiach będzie możliwe udzielanie błogosławieństwa parom homoseksualnym. Według niego taką decyzję o możliwym błogosławieństwie będą mogli podejmować poszczególni proboszczowie. Jeśli tak się stało, to oznaczałoby to zerwanie z moralną tradycją Kościoła. Kościół miałby, zdaniem niemieckiego kardynała, błogosławić grzech.

Kardynał Marx wypowiedział się dwuznacznie, jego słowa można różnie interpretować. Dziennikarze nadali temu taki sens, jak pan powiedział.

Można powiedzieć zatem, że taka interpretacja jest co najmniej dopuszczalna. Brzmi to dość

Strasznie, przynajmniej w uszach zwykłego wiernego.

To prawda. Są też inni, którzy wypowiadali się w podobny sposób, a nawet poszli jeszcze dalej. Mówią oni, że pary homoseksualne urzeczywistniają inne wartości, i nie wspominają o żadnym grzechu ciężkim. Wbrew temu, co oni utrzymują, takie związki nie są w żadnym razie małżeństwami. Każdy ma brata, siostrę, może z nimi razem żyć, rodzeństwo może się dobrze rozumieć, wspierać, odwiedzać się w szpitalu, ale to w żadnym razie nie jest małżeństwo.

Tak samo rodzice pomagają dzieciom, również dorosłym, ale to nie jest małżeństwo. Małżeństwo to wyłącznie szczególna relacja mężczyzny i kobiety, którzy wiążą się ze sobą, obiecują sobie wierność, a więc całkowitą wspólnotę, także z zasady wspólnotę cielesną, miłość i przyjmują, że za ich pośrednictwem Bóg stwarza nowych ludzi.

Mamy też do czynienia z nową tendencją, która polega na tym, żeby z aborcji uczynić nie tylko mniejsze zło, lecz także coś wręcz chwalebego, coś, czym należy się chwalić. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu dominowało przekonanie, że są sytuacje, w których zabicie nienarodzonego dziecka to smutna konieczność wynikająca z różnych uwarunkowań: zdrowotnych, społecznych. Dzisiaj coraz częściej można mieć wrażenie, że radykalne feministki chcą zrobić z aborcji znak kobiecej godności, symbol emancypacji. To już nie coś koniecznego, niechciane-gog, mniejsze zło, ale powód do dumy.

Całkiem niedawno największa polska gazeta umieściła na okładce swojego dodatku dla kobiet zdjęcie trzech uśmiechniętych pań w koszulkach z napisem: „Aborcja jest OK”. To samo usiłowanie widać w innych państwach.

Zło powiększa się naturalnie. Człowiek popełnia zło, buntuje się przeciw Bogu i dlatego tym głośniejsze chce zagłuszyć wyrzuty sumienia. Dlatego głosi kult pozorowanej wolności, która ma polegać na radykalnym samookreślaniu siebie. Wolności od wszystkiego, od obowiązków, od skłonności. Człowiek staje się wewnętrznie pusty, jakby został wydrążony. Jeśli mimo tego wyrzuty sumienia nie chcą zniknąć, to dąży się do usunięcia wszystkich zewnętrznych świadków.

Stąd taka nienawiść do Kościoła, który jest żyjącym świadkiem dobra i zła. Gdyby Kościół ciągle nie powtarzał, że to jest grzech, że aborcja jest zła, to mielibyśmy spokój w sumieniu. Nie mogąc sobie poradzić z sumieniem, człowiek chce

zlikwidować świadka, który przypomina mu o złu. Apostoł Paweł powiedział, że sumienie to nie jest coś zewnętrznego, lecz że to wewnętrzny głos, który nas oskarża, wewnętrzny sąd, który z tego, co złe, nie może zrobić dobra.

Również Hitler, który ze swoimi nazistowskimi oprawcami wymordował miliony Żydów i innych narodów, niepasujących do jego planów, nie mówił, że zabija ludzi. Najpierw odebrał ludziom ich godność i prawo do życia, tylko po to, aby się usprawiedliwić w swoim sumieniu. Nie zabijamy żadnych ludzi – mówili, tylko podludzi, półludzi, nieludzi. Wszystko, aby uniknąć głosu sumienia, które mówiło wyraźnie: „Nie możesz mordować ludzi, nie wolno ci zabijać”.

[...] Każdy się jakoś przed sobą usprawiedliwia. Jednak Paweł powiedział, że nie ma usprawiedliwienia. Sumienie nas oskarża. Dlatego powinniśmy prosić Boga o przebaczenie, powinniśmy okazywać Mu wdzięczność za to, co od Niego dostaliśmy. [...]

Krytycy mówią o sprzeczności między „Amoris laetitia” a wcześniejszymi papieskimi encyklikami poświęconymi doktrynie moralnej Kościoła. Zwolennicy twierdzą, że sprzeczności nie ma, jest – przeciwnie – ciągłość nauczania. Jakie jest zdanie księdza kardynała?

Wiele osób mówi o sprzeczności. Kiedy się uważnie patrzy na brzmienie słów, dostrzega się janusowe oblicze dokumentu. Papież mówił o Sfinksie, którego chce wyczyścić szczoteczką do zębów. Nie sądzę, żeby zadaniem papieża było czyszczenie Sfinksa. W każdym razie nic nie miałem do czynienia ze Sfinksem. Chrystus jest tym „tak” i „Amen” obietnicy Bożej. Dlatego zawsze reprezentowałem pogląd, że jedyną właściwą interpretacją jest ta, której możemy dokonać w świetle Pisma Świętego, słów Jezusa i dotychczasowej Tradycji urzędowej Kościoła. [...]

Od czasów Soboru Watykańskiego II Kościół wspiera dialog międzyreligijny, podobnie jak wspólne międzyreligijne spotkania modlitewne, konferencje, seminaria itd. Jednak trudno dla tej postawy znaleźć uzasadnienie zarówno w Piśmie, jak i w Tradycji. W Drugim Liście do Koryntian św. Paweł apostoł pisał wyraźnie: „Nie wręczając się z niewierzącymi w jedno jarzmo. Cóż bowiem ma wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością? Albo jakaż jest wspólnota Chrystusa z Beliarem lub wie-

rzącego z niewiernym? Co wreszcie łączy świątynię Boga z bożkami?” (2 Kor 6, 14–15). W jaki sposób można uzasadnić ten dialog? Czy jego rozwój nie oznacza wprowadzenia relatywizmu w samo serce nauki dogmatycznej Kościoła, zerwania z Tradycją? A może istnieje sposób uzasadnienia tych spotkań i modlitw przedstawicieli różnych religii?

Słowo „dialog” zrobiło wielką karierę i obecnie każdy rozumie przez nie to, co mu się żywnie podoba. Prawdziwie światowy sukces.

Rzeczywiście, to prawdziwie globalna ekspansja.

To takie passe-partout, ramka, w którą wszystko można wstawić. W latach 60. i 70. bardzo popularny był np. dialog z marksizmem, prowadzili go znani teologowie, tacy jak Karl Rahner. Mówiono wtedy dużo o dialogu filozofów. Powstawały różne teorie, które miały pogodzić marksizm z chrześcijaństwem, szczególnie popularne były we Francji. Czy można jednak prowadzić dialog ze Stalinem? Przecież dialog na temat praw religii czy wolności religijnej nie byłby w ogóle możliwy z jego udziałem. Podobnie jak całkiem niemożliwy byłby dialog z Hitlerem na temat granic ideologii społecznego darwinizmu. Oczywiście zawsze będą ludzie, którzy we wszystkim znajdują jakieś elementy prawdy, będą doszukiwać się ich w najbardziej wątpliwych formułach, przygotowywać dokumenty i twierdzić, że udało im się znaleźć to, co wspólne. Tyle że mamy tu do czynienia z niedającymi się przewyżnić sprzecznościami. Europa jest naznaczona wojnami religijnymi, wojnami między różnymi wyznaniem. Chociaż my, katolicy, byliśmy głównie ich ofiarami, nie da się zaprzeczyć, że wpłynęły one tragicznie na stosunek do religii i rozwój Europy. Z tego powodu można powiedzieć, że jest czymś ważnym, abyśmy przyczyniali się, wychodząc od zasad naszej religii, do pokoju wspólnego. Nie powinno się z tego powodu prowadzić do zaostrzania napięć. W żadnym razie jednak nie powinniśmy się ze sobą razem modlić. Jako chrześcijanie nie modlimy się przecież do jakiegś nieokreślonego, wyższej tajemnicy, ukrytej za Trójjedynym Bogiem. Nie. Bóg jest Bogiem Ojcem, Bogiem Synem, Bogiem Duchem Świętym. Duch Święty prowadzi nas przez Chrystusa do Boga. Z kimś, kto nie uznaje Trójcy, kto nie przyjmuje

Wcielenia, nie wierzy w zesłanie Ducha Świętego, z kimś takim nie możemy się modlić. Chyba że zmienia się sens słowa „modlitwa”.

Wtedy można sobie wyobrazić jakieś godziny wspólnego świętowania, w czasie którego każdy przedstawiciel poszczególnej religii miałby swój wkład, przedstawiając swe wyznanie w formie poetyckiej. Byłoby to prawdziwie egzotyczne, ezoteryczne. W jednym kącie siedzieliby muzułmanie, w innym przedstawiciele innych wyznań. Wszyscy głosiliby dobrą wolę i pokazywali, jak pozytywnie są nastawieni do pozostałych. Tylko że jak bardzo byśmy się wysilili i jak bardzo byśmy zacierali różnice, jedna rzecz pozostaje niezmienną: taka jedna modlitwa łącząca ludzi różnych religii w Boga jest absolutnie niemożliwa, bo Bóg, do którego zwracali by się jedni, jest całkiem inny od tego, do którego zwracaliby się drudzy.

Do modlitwy nie wystarczy jakaś ogólna idea Boga. Nie możemy modlić się do Boga, którego odkrywa nasz naturalny rozum. Można Go poznać, można rozpoznać w Nim Stwórcę świata, można usłyszeć Jego głos w sumieniu, ale nie można się do Niego modlić, oddawać Mu się w miłości, w najgłębszym możliwym uwielbieniu, we wdzięczności. Jednak znowu, właśnie dlatego, że żyjemy w epoce powszechnego relatywizmu,

Prawda jest taka, że wszystkie te spotkania światowych przywódców religijnych do tej pory nie przyniosły żadnego skutku

muszą stosować gwałt. Prawda jest taka, że wszystkie te spotkania światowych przywódców religijnych do tej pory nie przyniosły żadnego skutku.

Jaki powinien być stosunek chrześcijan do napływu muzułmanów do Europy? Jedni go wspierają, inni wyrażają obawy. Czy ten napływ nie jest nową formą podboju Europy? Czy imigracja muzułmańska to inwazja, podbój czy też szansa?

Jedną rzeczą jest pomoc, którą winniśmy oferować każdemu człowiekowi w potrzebie. Inną kwestią jest polityka, która wykorzystuje nieszczęście człowieka do swoich celów. Nie można wspierać masowej imigracji do Europy ludzi nieznających się w sytuacji konieczności tylko po to, aby doprowadzić do marginalizacji kultury chrześcijańskiej. W każdym razie powinniśmy iść do wszystkich, zwiastować im wiarę i – jeśli przyjmą Chrystusa – chrzcić ich w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, i nauczyć ich zachowywać to, co Jezus nakazał uczniom (por. Mt 28, 19). Jesteśmy to winni zarówno chrześcijanom, jak i jeszcze bardziej niechrześcijanom.

Niektórzy hierarchowie, teologowie czy intelektualiści wzywają katolików, aby udawali się do meczetów i modlili się tam wspólnie z muzułmanami. Czy takie wezwania są roztropne?

Żaden autorytet kościelny nie może wzywać nas do odwiedzin domu modlitwy innej religii. Poza tym nie możemy modlić się razem z muzułmanami ani w żadnym budynku, ani pod gołym niebem. Modlimy się przez Chrystusa w Duchu Świętym do Boga, naszego Ojca. I nie znamy obok i ponad Trójjedynym Bogiem jakiegos wspólnego, abstrakcyjnego Boga. To tylko teoretyczne stwierdzenie, że Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie wierzą w jednego Boga. Bóg, którego czczą muzułmanie, i Bóg i Ojciec Jezusa Chrystusa, którego czczą wyznawcy Chrystusa, nie jest tym samym Bogiem. Gdyby tak było, Trójjedność byłaby dla nas, chrześcijan, jedynie prostym dodatkiem, którego w pewnych okolicznościach i ze względu na innych moglibyśmy się pozbyć. Byłaby to zdrada najwyższego misterium wiary chrześcijańskiej w Ojca, Syna i Ducha Świętego. To w imię Trójcy jesteśmy ochrzczeni. W Chrystusie jesteśmy synami Boga. Byłaby to nie zmiana jakiejś abstrakcyjnej teorii, lecz utrata „łaski i prawdy, które przyszły w Chrystusie” (J 1, 18).

Żaden autorytet kościelny nie może wzywać nas do odwiedzin domu modlitwy innej religii. Poza tym nie możemy modlić się razem z muzułmanami ani w żadnym budynku, ani pod gołym niebem

pojawia się postulat, aby wszyscy ludzie różnych wiar zrobili coś dla pokoju. Wskutek tych oczekiwań, tej presji, wywieranej też przez ateistów i agnostyków, dochodzi do odpowiadających im działań, gestów, występów. To spotyka się z pochwałami i uznaniem świata. Często słyszałem taką opinię: „Wprawdzie uważam się za ateistę, ale to, że papież spotyka się z liderami innych religii, bardzo mi się podoba”. Religia staje się wtedy dla nich czymś pozytywnym, ale tylko w takiej formie – spotkań i znaków życzliwości. Przynosi to tylko efekt propagandowy. To zresztą i tak nie przekonuje tych, którzy uważają, że w imię swych przekonań, swej religii,

Dżihad jest dla muzułmanów zasadą, zgodnie z którą powinni dążyć do rozprzestrzeniania islamu. Mają doprowadzić do tego, aby całą ziemię włączyć w Dar al-Islam i poddać ją panowaniu szarii, prawu islamskiemu. Czy to prawdziwe niebezpieczeństwo?

Nie da się pogodzić z prawem człowieka do wolności religijnej propagowania religii przy pomocy wojny i przemocy, tak że dla inaczej wierzących albo nie będzie miejsca, albo będzie się ich znosić jako obywateli trzeciej klasy. Państwo musi chronić prawa swoich obywateli. Prawo islamskie nie może być podstawą prawa publicznego, również w przypadku wyznawców religii islamskiej. My rozróżniamy ściśle prawo obywatelskie, świeckie i kanoniczne.

Jak można tak łatwo mówić, że islam jest religią pokoju? Wiele wersów w Koranie jasno i jednoznacznie zaleca zabijanie niewiernych.

Jedno to samooszukiwanie się wielu na Zachodzie, drugie to rzeczywistość wielu sprawców przemocy, którzy powołują się na Koran jako na wolę Boga. Jeśli brutalne mordy i straszliwe akty przemocy są uznawane za posłuszeństwo woli Boga, to nie może chodzić o prawdziwego Boga, Stwórcę wszystkich ludzi. Papież Benedykt XVI w swoim wykładzie w Ratyźbonie w 2006 r. jasno pokazał, że używanie morderczej przemocy w imię Boga jest przeciwne rozumowi, który został nam dany przez Boga. Wielu uczonych muzułmańskich przyznało mu w tej sprawie rację. Na nieszczęście terroryści zabijający w imię islamu nie słyszeli o tym.



Rafał A. Ziemkiewicz

Lewicowy autor uważa, że to prawicowa fantastyka wychowała obecne pokolenia. Za siebie i innych odpowiadam: Dziękuję!

Kiedyś, dawno temu, powiedziałbym, że wykorzystywanie czyjejś śmierci jako okazji do opluwania wrogów to osobliwy koncept. Jednak od czasu pogrzebów Miłosza, Kuronia czy Geremka, z płomiennymi filipikami überredaktora przeciwko odwiecznemu wrogowi miejscowych kreoli, „polskiemu ciemnogrodowi”, właściwie stało się to już rutyną. Jeśli należysz do określonego politycznego plemienia (a każdy musi należeć albo go przypisać, wedle zasady: „Kto nie z nami, ten przeciw nam”), to przynależność ta nie kończy się w chwili śmierci. Jeszcze i po niej przydasz się Sprawie, gdy użyjemy twego truchła, by nim przywalić „onym” i by pobudzić tożsamościowe emocje „naszych”: poczucie wyższości nad „onymi” i nieustająco doznawanej od nich martyrologii.

Kto funkcjonuje w internetowym półświatku mediów społecznościowych, ten nie mógł nie zauważyć, jaką wściekłość wzbudziły kondolencje prezydenta po śmierci śp. Olgi „Kory” Sipowicz, primo voto Jackowskiej – i to nie tylko wśród kryjących się za dziwacznymi nickami anonimów, lecz także wśród ludzi z tzw. nazwiskami. Gdyby, hipotetycznie, prezydent albo któryś inny z polityków kojarzonych z wrogim obozem powiedział czy napisał o zmarłej coś złego – oczywiście salony bluznęłyby rytualnymi obelgami i pograżyły się w równie rytualnych lamentach, ale – śmiem twierdzić – takiej furii by nie było. To by się mieściło w skrypcie poznawczym. Jeśli umrze ktoś z waszych, to my z kolei pojedziemy po nim, a wy się będziecie oburzać, i git, tak wspólnie obracamy koło polsko-polskiej wojny od lat i tak jest normalnie.

Jednak kiedy prezydent Duda pożegnał z zmarłej wielką artystkę – totalni wpadli w szal. Jak śmie, ten, ten... ten „Adrian”, ten „notariusz”, ten „wielokrotny gwałcieł konstytucji” (z oczywistych względów nie cytuję głównego nurtu obelg), jak on śmie chwalić NASZĄ Korę?!



„Widziałem prawicowe zombi”

W kraju postkolonialnym nawet umrzeć nie można spokojnie.

Na tym tle nie zdziwił mnie fakt, że śmierć Piotra Szulкина „uczciła” sekta z Czerskiej półtorakolumnowym womittem na polską fantastykę, jej dorobek i twórców.

Może bym na ten womit niejakiego Michała R. Wiśniewskiego (autor coś tam kiedyś sam próbował w fantastyce zdziałać, bez większego powodzenia, w końcu musiał się zająć mangą i pisanie lewicowych „tendenz roman” dla „Krytyki Politycznej” – trudno się dziwić racjonalizacji, że poległ, bo gatunek opaczony przez prawicową sitwę) w ogóle zignorował, gdyby nie fakt, że – przewrotnie – jest on wspnianym hołdem dla czegoś, czemu poświęciłem kawał młodości.

@

Sam tytuł miał zapewne prowokować: „Prawiczek i cyborgi wyklęte”. Użycie słowa „prawiczek” wobec ludzi prawicy to wyświechtany koncept Urbana z czasów jego szmatławej świetności (nawiasem: „Nie”, wedle danych ZKDP, sprzedaje dziś

ok. 25 tys. egzemplarzy zapewne dlatego, że wraz ze stylistyką i z „pańswinistycznym” przesłaniem przejęła „Wyborcza” także jego niewymarłych jeszcze partyjno-mundurowych czytelników), cyborgi w ogóle są w kontekście artykułu od czapy, więc prowokacja jest taka sobie. Ogólna konstrukcja wywodu jest taka: Szulkin był dobry, a cała polska fantastyka zła, prawicowa. „Na takich lekturach – głosi lead – wyrosło pokolenie Marszu Niepodległości, wyborców Korwin-Mikkego, prawicowych technokratów”. To przez fantastykę „faktyczną władzę w Polsce przejął Kościół”, „przechandlowano prawa reprodukcyjne kobiet”, księża „plują” na Twitterze, „a legalnej aborcji zaraz nie będzie wcale”. To przez nią kwitnie nienawiść do politycznej poprawności, mniejszości narodowych, imigrantów, kobiet, niepełnosprawnych. Cały ten dzisiejszy faszyzm to robota pogrobowców Janusza A. Zajdla, którzy po upadku komuny przenieśli swą niechęć na lewicę, szczególnie tę feministyczno-tęczową.

Co do pierwszej tezy – chętnie się zgadzam. Świętej pamięci Piotr Szulkin



Kadr z filmu „Wojna światów – następne stulecie” w reżyserii Piotra Szulкина

FOT. INPLUS/EAST NEWS

był dobry, choć obiektywnie mówiąc, to najlepszy był u początków kariery. Dobry „Golem” i rewelacyjna, pod wieloma względami prorocza, doskonale się broniąca do dziś „Wojna światów”, która dla mojego środowiska – tego właśnie, które „Wyborcza” jako „złe” przeciwstawia „dobremu” Szulkinowi – była filmem formacyjnym. Potem było już moim skromnym zdaniem tylko gorzej, coraz bardziej manierycznie, a już w wolnej Polsce artysta kompletnie się pogubił.

Co do tezy drugiej – jeśli odrzucić retorykę anarchistycznych zínów i manifestów „razemków”, to też się nie będę kłócić. „Widziałem najlepsze umysły mojego pokolenia zjedzone przez prawicowe zombi” – lamentuje Wiśniewski, streściwszy ze zgrozą i ku zgrozie swych postępowych czytelników kilka starych opowiadań, w tym moją „Szosę na Zaleszczyki”. „Ziemkiewicz nie był przecież marginesem, wielokrotnie nagradzany prestiżową nagrodą Zajdla, tkwił w głównym nurcie polskiej fantastyki. I jeżeli fantastyka strasząca skutkami nuklearnego holocaustu uchroniła nas przed wojną atomową, to może i polska

prawicowa fantastyka faktycznie uchroniła Polskę przed zgubnym feminizmem, homoseksualizmem i uratowała tożsamość narodową”.

Po takim dictum mogę powiedzieć tylko jedno: Amen. Za siebie i innych wymienionych z nazwiska oraz niesłusznie niewymienionych autorów. Czyż może być lepszy hołd dla tej naszej pisaniny niż twierdzenie, że to nie ci, którzy przy Okrągłym Stole zapewnili sobie monopol w masowych mediach, nie zachwalane przez potężną kłakę i nagradzane szmalowną Nike produkcje Kuczeków i Pilchów, nie okadzani mistrzowie z pokolenia Kapuścińskiego i Wajdy – ale my, mając za jedyny atut własną pomysłowość i gatunkową rupieciarnię SF, wychowaliśmy pokolenie wyrosłe w III RP?

@

Najzabawniejsze jest to, że przypisując nam tę wszechmoc, która stworzyła jakoby i Marsz Niepodległości, i kult wyklętych, i Korwin-Mikkego, jednocześnie usiłuje nas autor „Wyborczej” ugryźć, kpiąc z rzekomych uroszczeń, jakoby to SF obaliła komunizm. Dobry Szulkin „w rozmowie z Parowskim nie uważa, żeby odegrał jakąś rolę w obaleniu komuny, wszystko było efektem ekonomicznego kolapsu ZSRR. Nie papież, nie kino, nie literatura – ale siły rynku”. Powołanie się na ten cytat nie przeszkadza nienawidzącemu korwinizmu autorowi kilka akapitów dalej szydzić z naszej, złych, prawicowych fantastów, wiary w wolny rynek, którą nazywa „intelektualną klęską”. Ponieważ chodzi nie o meritum, lecz o stworzenie kontrpunktu: „Fantastyka nie obaliła komuny, ale nie przeszkadzało to fantatom w zbudowaniu pięknej opozycyjnej legendy – co w niektórych wypadkach przybierało formy wręcz komickie. Oto pięć lat temu w notce rekomendacyjnej na zbioru starych opowiadań Rafała A. Ziemkiewicza »Władca szczurów« można przeczytać [tak w oryginale], że tytułowe opowiadanie w PRL zostało uznane za »anty« i zdjęte przez cenzurę. Jak sarkastycznie zauważył mój znajomy znawca polskiego SF, »i dlatego pierwsze wydanie miało w 1984, drugie w 1986, trzecie w 1987«”. Żeby nie było wątpliwości, wszystko to zdobi śródtytuł: „Jak Ziemkiewicz obalił komunę”.

Pewnie rację miał Aleksander Fredro, pisząc: „Menda też stworzenie boże i inaczej żyć nie może”. Autorzy „Wybor-

czej” widocznie inaczej niż w taki sposób polemizować „nie umio”. Opowiadanie, napisane na początku roku 1982, rzeczywiście długo się nie mogło ukazać. Puściłem je po klubach SF w maszynopisie, w końcu po dwóch latach (kto nigdy nie był debiutującym, 18-letnim „młodym zdolnym”, ten nie pojmie, ile trwają takie dwa lata) udało się je zamieścić w fanzinie „Kwazar” – 150 egzemplarzy na powielaczu „do użytku wewnętrznego” poznańskiego klubu fantastyki Orbita. Po kolejnych dwóch w również amatorskim, acz mającym większy, kilkutyśięczny nakład magazynie „Feniks” – „do użytku wewnętrznego” Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Oficjalnie ukazało się dopiero w mojej debiutanckiej książce, wydanej w roku 1988, acz faktycznie z datą 1987. Dlaczego podanie przez wydawcę prostego faktu interpretuje pan Wiśniewski jako rzekome „komiczne” przechwałki, jakobym obalił komunę? Znajduję tylko jedną odpowiedź: bo jest z „Wyborczej” i inaczej żyć nie może.

Ziemkiewicz, Kosik, Szyda, Grzędowicz (bardzo brakuje mi na tej liście Kołodziejczaka, który w „Kolorach sztandarów” przemycił wszak m.in. Pileckiego) – to jeszcze mniejsza, ale „nawet u Dukaja, namaszczonego przecież na następcę Lema, inteligentnego, czytane-go, to ukaszenie było widoczne”, frasuje się Wiśniewski. I nawet sympatyzujący z marksizmem-feminizmem Sapkowski nie zdołał ocalić fantastycznej Sodomy, bo „nieoświecony plebs”, by sięgnąć po określenie prof. Sadurskiego, zna go tylko z gier, zamiast czytać (śmiała teza, zważywszy na nakłady wiedeńskiego siedmioksiągu, bijące na głowę wszystkich domniemanych wychowawców Marszu Niepodległości i korwinistów).

Powiadali średniowieczni rycerze, że „trup wroga miło pachnie”. Lament zwolennika lewicy nad straszną fantastyką, która „pożarła najlepsze mózgi jego pokolenia”, przyjmuję jako piękny prezent na moje przypadające niedługo 18. urodziny (trzecie już z kolei), tym bardziej że posłowiem do wspomnianego wznowienia „Władcy szczurów” przed pięciu laty (kto nie ma książki, a ciekaw, ten wygoogla pod „Ziemkiewicz o fantastyce i wznawieniu władcy szczurów”) właściwie już ten etap „pożerania mózgów” zamknąłem. Nie dziękuję, bo wiem, że nie taka była intencja autora i gazety – ale niniejszym odnotowuję.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ewa Polak-Pałkiewicz

Nowa utopia budowana przez „ekologów” przeciwstawia się temu, że czynienie sobie Ziemi poddaną musi oznaczać jej eksploatację, jakiś uszczerbek

Każdy, kto zna „Lato leśnych ludzi” Marii Rodziewiczówny, pamięta opis wyjazdu trójki przyjaciół na letni pobyt w sercu puszczy. Gdy czytamy, co zabierają ze sobą, a mamy za sobą lekturę raportów dzisiejszych ekologów, zastanawiamy się, czy nie zamierzają aby dokonać tam „krwawego podboju” lub innego zamachu na matkę naturę. Po co bowiem entuzjastom przyrody siekiery, noże, strzelby, sieci, węgierze, przyrządy do badań glebowych, botanicznych, apiologicznych? Po co oswojona wiewiórka i jeź, krowa oraz koń? Wszystko to stanowi obraz „prowokacyjnie wrogie” wobec tego, którym raczy nas dziś rzesza obrońców środowiska. Ludzi, którzy z zasady brzydzą się wszelkimi elementami cywilizacji i je zwalczają. „Naturalnością” nazywają wszystko to, co ma oblicze antycywilizacyjne. Są wśród nich prawdziwi ignoranci.

Bohaterowie „Lata leśnych ludzi” to romantycy spragnieni przygody, ale też ludzie dobrze wykształceni i ich stosunek do lasu nie ma w sobie nic z sentymentalizmu. Kochają las, ale nie jest on ich „świętynią”.

NIE TEN CZŁOWIEK

„Teraz właśnie na prawicy woła się: »Naprzód!«; na lewicy zaś: »Cofnąć!«. Kto przedtem śnił o człowieku nowym, człowieku ery technologicznej, wyzwolonym z »niewoli zacofania«, teraz ma za ideał pasterza kóz, a nawet człowieka jaskiniowego. Kto opowiadał bajki o fabryce jako »nowej świątyni ludzkości«, teraz marzy o czasach, w których »młyny były białe od mąki« [...], wielbi bałwochwalczo każdy ślad przeszłości i gotów jest blokować wszystko – choćby to były szkoła, szpital, akwedukt – aby ocalić jakąś rudę, kawałek szarego muru, krzak akacji, parkan, jakieś zarośla” – ironizuje Vittorio Messori, niejednemu raz w swych felietonach komentując szaleństwa włoskich „ekologów”.

Gdy czerwień płowieje w zieleń



FOT. MICHAŁ KOŚC/FORUM

Rewolucyjne nieprzejednanie szeregów zielonej armii bierze się z niezgody nie tylko na świat, „jaki jest”, czyli na współczesną cywilizację, lecz także na człowieka, „jaki jest”. Z jego egoizmem, małodusznością, z jego wynaturzonym hedonizmem – lecz także z jego talentami, wiedzą i mądrością. Ta namiętna polemika, którą prezentują środowiska radykalnych ekologów, przeradzając się często w fizyczne ekscesy, nieraz skutecznie paraliżuje rozwój urbanistyczny czy technologiczny w Europie. Konserwatyści na Zachodzie nie boją się dziś zmian cywilizacyjnych; do tychczasowi postępowcy wykrzykują: „Zatrzymać wszystko!”, „Zablokować!”. Godzą się co najwyżej na restaurowanie istniejących obiektów. W krajach takich jak Włochy czy Francja samorządy często zdominowane są przez „zielonych”. Spadkobiercy lewicy są tam nieprzejednanymi wrogami energetyki atomowej, najczystszej przemysłu, jeśli chodzi o jakość powietrza, a działacze partii konserwatywnych upominają się, by nie zawieszać na kołku praw zdrowego rozsądku i nie doprowadzać do degradacji cywilizacyjnej ich krajów.

Przedstawiciele formacji, które jeszcze niedawno wyśmiewały się z tego, co określały pogardliwie „pauperyzmem”, „duchem wyrzeczeń”, „śmieszną” ascezą chrześcijańską, odkrywając dalekowszroczność postawy, której nosicielem były zakony, doprowadzając ją zarazem do zupełnej karykatury. Ekologom nie podoba się tak naprawdę sam człowiek. Ten, który nie pogardza z równym jak oni obrzydzeniem ekspansywną cywilizacją. Ten, który nie chce się jednoczyć z nimi w „zielonych brygadach”, przykuwać łańcuchami do drzew, oblewać farbą kobiet w futrach, napadać na rybaków. Dla „zielonych” charakterystyczne jest, że potrafią skutecznie blokować, utrudniać, piętnować, a nawet niszczyć to, co uważają za zgubne elementy systemu, nie są natomiast w stanie zaproponować realistycznego remedium. Zapominają, że marzenia nie liczące się z konkretną społeczną rzeczywistością zawsze przekształcają się w koszmary.

Sytuacja, gdy stają naprzeciw siebie urzędnicy państwowi i zawodowcy od przyrody oraz znerwicowani, agresywni i skrajnie zdeterminowani ludzie rzucający się na zabójcze ich zdaniem dla środowiska technologie niczym z motyką na słońce, wsparci jednak rozległą i spraw-

nie zorganizowaną siatką politycznych oraz finansowych powiązań, jest gorzkim bilansem „tych wszystkich utopii, których próbowano w końcu wieku XVIII, a także w wiekach XIX i XX, zamykając oczy na naturę człowieka” – podsumowuje Messori. A przecież remedium istnieje. Człowiek nie jest uwarunkowany negatywnie, nie jest niezdolny do wyrzeczeń, pokonywania trudów, tworzenia nowatorskich rozwiązań, które potrafią zrewolucjonizować każdą dziedzinę przemysłu i gospodarki, czyniąc ją bardziej przyjazną dla środowiska.

LUD ZAWSZE OBCY, OBOJĘTNY I DZIKI

Symbol drzewa przyswojony został w ostatnich latach zarówno przez radykalne ruchy ekologiczne propagujące „powrót do natury”, jak i lewicowe partie będące spadkobiercami partii komunistycznych (jak włoska PDS, Demokratyczna Partia Lewicy). Niektórzy ekscymaniści wyrażają przy tym przekonanie, że drzewo ma być „wizualną ekspresją całkowicie laickiej koncepcji i definicji polityki”.

Lud tak naprawdę nie jest nigdy mile widziany przez ekologów. Dzisiaj programy powstrzymania rozwoju różnych dziedzin przemysłu, zwłaszcza energetycznego, pod hasłem zapobiegania zmianom klimatycznym, towarzyszą programom ograniczenia przyrostu populacji ludzkiej i zdają się znajdować wyznawców także w Watykanie.

GDY SCHEMAT NIE DZIAŁA

Aktywiści ekologiczni nie znajdują poparcia w milionowych tłumach. Większość ludzi, patrząc na manifestacje przeciw znęcaniu się hodowców nad zwierzętami, okrucieństwu ogrodów zoologicznych itp., puka się w czoło. Zawsze jednak można liczyć na wrażliwość studentów i miękkość polityków, którzy wyczuwając nastroje wielkomiejskich wyborców, skracają nieoczekiwanie w uliczkę utopii, gdzie człowiek na poważnie rozważa plany stworzenia na ziemi raj dla zwierząt i roślin. Dla rewolucjonistów sprawa jest jasna: to nie schemat, w który się uwikłał, jest winny temu, że jest jak jest, ale ludzka podłość, pazerność, burżuazyjne spiski, reakcyjne

Dla „zielonych” charakterystyczne jest, że potrafią niszczyć to, co uważają za zgubne, a nie są w stanie zaproponować remedium

„Ten nowy symbol pragnie wyobrazzić związek z naturą... Ta zieleń w połączeniu z czerwienią przekazuje nam dodatkowo przesłanie życia, nadziei, walki o przyszłość” – zapewniał Achilles Occhetto, sekretarz byłej włoskiej partii komunistycznej. Messori przypomina, że w czasie rewolucji francuskiej sadzenie na placach „drzewek wolności” było przez samych jakobinów traktowane „nie jako znak odnalezionego laickości polityki, lecz po prostu jako obrzęd, liturgia kultów rewolucyjnych, które obejmowały między innymi intronizację baletnicy uosabiającej wolność na główny ołtarz katedry Notre Dame”. I zgodnie z żelazną rewolucyjną zasadą, „jedną religię usiłowano zastąpić inną, całkowicie sztuczną, naszkicowaną przy biurku przez jakiegoś intelektualistę... I jak zawsze się dzieje w rewolucjach, także i w tej przysięgano, że stał po jej stronie lud, podczas gdy był on całkowicie obcy temu wszystkiemu”.

przesady czy odwieczna chęć „dominacji bogatej Północy nad biednym Południem”.

Utrwalony w XIX w. nowoczesny sposób patrzenia na Ziemię i człowieka zakładał, że w nauce i technice zawsze musi dokonywać się postęp – był on uważany za dobro oczywiste, samo w sobie, niezależnie od kosztów po stronie przyrody. Jeszcze sto lat temu nie brano na serio poglądu, że istnieją także ciemne strony postępu. I choć nikt nie wie dziś, jak zmusić bogatych ludzi i zamożne kraje, by zechciały zamrozić swoje pragnienia dalszego bogacenia się, łatwo jest wzbudzić odrazę do cynicznych, skorumpowanych polityków i przemysłowców, kasty uprzywilejowanych, którzy rzekomo z pogardy dla ubogich tego świata, dla „niewinnego ludu”, zatruwają i grabią naszą planetę. W ten sposób zaczęły się w umysłach „obrońców środowiska” twarde rządy strachu i przerażenia przed nadciągającą katastrofą ludzkości. U nas na kogoś w typie cynicznych twardzieli,

■ z cygarem w kąciu ust, usiłowano na lewicy lansować prof. Jana Szyszkę.

Kultura par excellence „postępowa” ma zawsze problem ze sztuką rozróżnień. W jej utopijne postulaty wplątuje się marksizm z imperatywem walki klas – teraz: walki między uciskaną grupą „ubogich”, czyli wyznawców życia zgodnego z naturą, i okrutnych a podstępnych trucicieli i krwawych szaleńców, specjalistów wyciągania miliardowych zysków z beczelnej grabieży Matki Ziemi. Czerwień na sztandarach płowieje coraz bardziej w kolor zielony.

POSTMODERNIZM W KOŚCIELE

Od ostatniego soboru Kościół nie zachowuje w sprawach środowiska neutralności. Soborowa deklaracja, że drogi Kościoła i świata mają się zejść, spełnia się także w tej dziedzinie. Wezwanie papieża Franciszka do „ekologicznego nawrócenia” jest przyjętą od postmarkistów „nowinką”, którą obecny Ojciec Święty usiłuje natchnąć Kościół, zapominając, że nieuchronną konsekwencją będzie „degradacja człowieka

w dobrym stanie do kresu przeznaczenia, czyli do ich wspólnego nieba (jak ironizował Ferrara). Takie podejście zmienia zupełnie perspektywę sensu bytowania człowieka na Ziemi i jego cel.

A przecież ani człowiek, ani świat nie mogą być celem człowieka z tej prostej przyczyny, że ani jeden, ani drugi nie były tym, ze względu na co Bóg je stworzył – przypomina Romano Amerio. Tworząc je, Bóg miał na celu Siebie. W posoborowym nauczaniu podkreśla się często, że Bóg stworzył człowieka ze względu na niego samego, na szczególną godność, jaką posiada. Dlatego autor encykliki „Laudato si” niewiele miejsca poświęca temu, co zawsze (do czasów soborowych) było przedmiotem troski Kościoła, jego duszy, i zarazem nie traktuje wartości doczesnych tylko jako środków mających służyć moralnemu rozwojowi człowieka, jego duchowemu dobru, co czyniły dotąd teologia i religijność katolicka. Zarysowuje drogę ewolucyjnego „społecznego dojrzewania”, w którym człowiek powinien pojąć swoje obowiązki wobec świata natury. Tym punktem dojścia ma być ów

jest jednym z elementów wywołujących zmiany klimatyczne, jest wystarczająco dramatyczna. „Z tego właśnie wpływa nasza moralna odpowiedzialność za stworzenie, która wzywa nas, byśmy uczynili wszystko, co w naszej mocy, aby zapobiegać efektom negatywnym, jakie te zmiany prowokują zarówno w środowisku naturalnym, jak i w życiu najuboższych” – wyjaśniał ideowe podglebie myśli Franciszka kard. Turkson. Jednak oprócz deklaracji wkroczenia „na drogę dialogu” ze środowiskami ekologicznymi czyszczeni Ziemi niewiele z tych refleksji wynika.

Niech zatem każdy ślad działalności człowieka zostanie „wytarty”, niby paskudny błąd na kartce papieru wyczyszczony gumką, niech wszystko będzie znów świeże, nieużyte, pokryte rosą, umyte wiosennym deszczem, osnute warstwą delikatnych skrzydełek owadów, a nie pyłami z kopalń i fabryk, spowite odorem z wysypisk śmieci – zdając się mówić ortodoksyjni obrońcy środowiska, pomimo zapewnień o zdrowym rozsądku i woli dialogu.

Nowa utopia może być pociągająca dla ludzi żyjących marzeniami o stworzeniu „tych rękami” raj na ziemi, gdzie wszystkie stworzenia będą żyły w pełnej harmonii jak w ogrodzie Eden. A zarazem jest ona niebezpieczna dla wszystkich, którzy dotąd uważali, zgodnie z tradycją europejską, że rozwój cywilizacyjny oznaczać musi także niemały poziom zużycia, jakiś wyłom, uszczerbek w zasobach ziemi. Że nie można czynić jej sobie poddaną bez zmieniania jej, wyjąłowania, pustoszenia, penetrowania, przewiercania na wskroś. Ziemia przecież nie jest wieczna, tak jak wszystko, co na niej żyje, łącznie z człowiekiem. Ziemia w dotychczasowym kształcie ma zostać przy końcu dziejów unicestwiona, przemieniona, a człowiek, jeśli sobie na to zasłuży, jeśli uczyni godny użytek ze swojego rozumu i wolnej woli, to otrzymać ma ziemię nową i niebo nowe.

Jak trafnie podsumował meandry myślenia kręgów kościelnych marksistów, w których pojawiają się już zapowiedzi respektowania „praw zwierząt”, Christopher Ferrara: „Nie ulega wątpliwości, że złem jest wszelkie nieuzasadnione okrucieństwo wobec zwierząt lub marnowanie pożywienia, jakiego one dostarczają. Jest to jednak złem dlatego, że nadużycie władzy człowieka nad zwierzętami stanowi wykroczenie przeciw Bogu, a nie przeciw zwierzętom”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Nowa utopia może być pociągająca dla ludzi żyjących marzeniami o stworzeniu raj na ziemi

do poziomu elementu świata naturalnego” (Christopher A. Ferrara). Nie jest to jednak wbrew dość powszechnemu przekonaniu autorski pomysł Franciszka, lecz rozwinięcie ewolucyjnej eschatologii francuskiego jezuitę o. Teilharda de Chardina.

Charakterystycznym rysem encykliki „Laudato si” z 2015 r. jest ukazanie człowieka nie jako tego, który otrzymał od Stwórcy nakaz panowania nad światem przyrody, zarazem czynienia sobie ziemi poddaną, lecz kogoś odpowiedzialnego przed Bogiem za pozostawienie tego stanu posiadania w pełnej, pozbawionej uszczerbku formie. Nie jako „króla stworzenia”, lecz jedno ze stworzeń. Słowa o „grzechu ekologicznym” wypowiedziane są odtąd przez wielu ludzi Kościoła z całą powagą. Głoszenie panowania człowieka nad niższymi stworzeniami, danymi mu przez Boga, staje się czymś problematycznym. Człowiek w „Laudato si” jest kimś w rodzaju doktora Dolittle, który ma doprowadzić wszystkie swoje zwierzęki

punkt Omega, sugestywnie nakreślony w wizji ewolucji człowieka i wszechświata przez Teilharda de Chardina.

Wspólna troska działaczy i naukowców zajmujących się „katastrofalnym stanem środowiska naturalnego” oraz ludzi Kościoła o to, by nasza planeta pozostała taka, jaką była przed wiekami, a w każdym razie nie ulegała dalszej degradacji, jawić się może jako symptom nerwicy, która zamienia człowieka w niewolnika swoich lęków. Nowe myślenie na temat dóbr naturalnych przyznanych człowiekowi jako panu stworzenia przez Stwórcę zakłada, że posiadają one wartość samą w sobie i człowiek nie może dysponować nimi swobodnie. I choć Franciszek deklaruje, że „Kościół nie usiłuje definiować zagadnień naukowych ani też zastępować polityki, ale zachęca do uczciwej i przejrzystej debaty, aby potrzeby indywidualne lub ideologie nie wyrządzały szkód dobru wspólnemu”, z perspektywy encykliki i towarzyszących jej wypowiedzi ludzi Kościoła, wiedza, iż to ludzka działalność



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Kibicowanie konsumpcyjne

Nie byłem zapewne jedyną osobą, która podczas oglądania transmisji z lekkoatletycznych mistrzostw Europy doznawała pewnego dysonansu. Mianowicie w blokach reklamowych przed zawodami i po nich pojawiały się spoty z piłkarzami, którzy – jak wiadomo – nie tak dawno dali ciała. Natomiast nie było reklam z lekkoatletami, którzy zdobywają seryjnie medale na kolejnych imprezach.

Nie chcę się dołączać do linczu na polskich piłkarzach, który – po wyczynach warszawskiej Legii wciąż trwa – bo trudno się przebić przez tłum kopiących. Aż tak mi się kopać nie chce, żeby się przepychać. Jednak nie siląc się tym razem na oryginalność, chciałbym napisać kilka ciepłych zdań o naszych lekkoatletycznych mistrzach, bo po prostu lansowanie należy się im jak psu kość. Kszczot, Włodarczyk i cała reszta mają pewnie po dziurki w nosie wyrazów uznania, więc niniejszym składam deklarację o nieco bardziej konkretnym wydźwięku.

Otóż obiecuję, że sięgnę po każdy produkt, który będzie promowany przy pomocy lekkoatletów. No, może żeby nie być gołosłownym. Jeśli miotacze będą reklamować ciężki sprzęt budowlany, to buldożera sobie nie sprawię. Orlen już ma u mnie plus za sponsoring lekkiej atletyki. Ale jeśli znowu ich hot dogami będzie się zajadał w reklamie jakiś kulomiot,

to słowo daję – pojadę na stację i choć hot dogów do ust nie biorę, to tym razem zakupię najbardziej wypasione wersje dla całej rodziny. Na podobne infantylne działania z mojej strony mogą liczyć producenci napojów, energetyków, izotoników, acz może nie chipsów. Bo chipsy są u mnie w domu zakazane pod karą oglądania internetowych audycji Tomasza Lisa.

Tak jak z automatu ignorowałem produkty reklamowane przez sportowców, którzy jeszcze nic nie osiągnęli (tak, chodź mi o piłkarzy), tak będę łaskawie spoglądał na te sygnowane przez prawdziwych mistrzów. Nie dlatego, że odbiło mi z uwielbienia, bo za stary jestem. Po prostu uważam, że ludzie, którzy dostarczają nam tylu pozytywnych wzruszeń, a przy okazji w tak wspaniałym stylu rozsławiają Polskę na świecie, najzwyczajniej zasługują na to, żeby byli zamoiżni.

Oczywiście piłka nożna to absolutne wariactwo. Któremu i ja często ulegam. Mimo całej urody, bo nie ma nic piękniejszego niż finiszujący biegacz, który na ostatnich metrach daje z siebie absolutnie wszystko, lekka atletyka nigdy nie osiągnie tej popularności co futbol. Ale ja deklaruję: mając do wyboru puszkę z energetykiem sygnowaną przez zawodnika drugiej ligi angielskiej i taką z mistrzem Europy na 800 metrów, sięgnę po tę drugą. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Stypa rodzinna

Zachód umiera. Powodów jest wiele, choć chyba najważniejszym jest rodzina. Z jednej strony niszczy ją postępacka ideologia, z drugiej skrajny indywidualizm, nakazujący każdemu realizować się samodzielnie bez zawracania sobie głowy obowiązkami, wspólnotą, kanonem moralnym.

Kiedyś zakładanie rodziny wymuszało m.in. przymus ekonomiczny, podobnie było z dietnością – płodzenie potomstwa było rodzajem składki

Pierwszym musiałaby być likwidacja państwa socjalnego – krajowi bezrobotni bez zasiłków musieliby wykonywać zajęcia przeznaczone dziś dla obcych, musiano by też zrezygnować z przywilejów dla samotnych matek i rodzin monopłciowych.

Sam zakaz aborcji nie wystarczyłby, nic nie poprawiłoby tak demografii jak zakaz produkcji środków antykoncepcyjnych, propagowanie cnót rodzinnych. I w ogóle cnót.

Powrót tradycyjnej rodziny musiałby oznaczać powrót do jej suwerenności, autorytetu rodziców i ograniczenia interwencji państwa do rzadkich sytuacji patologicznych. Skądinąd rezygnacja z socjału pozostawiająca więcej pieniędzy w rękach ludzi sprawiłaby, że sami obywatele decydowaliby o własnym losie i zwiększaliby własną aktywność.

Wszystkie te śmieszne, staroświeckie zasady istniały we wszystkich znanych cywilizacjach i jakoś to funkcjonowało. Gdy je kwestionowano, tak jak w schyłkowym Rzymie, cywilizacja upadała.

Nasza też szybko zmierza ku samozagładzie, jako że kryzys rodziny nie dotyczy kultur konkurencyjnych, które aż palą się do przejęcia schedy po nas. Oczywiście w sferze technologii – jeśli chodzi o wartości – pozostaną przy swoich. ©©

Wszystkie te śmieszne, staroświeckie zasady istniały we wszystkich znanych cywilizacjach i jakoś to funkcjonowało

emerytalnej. Inna sprawa, gdy wkrótce dzieci i wnuków zabraknie. Kto zapewni te emerytury? Imigranci?

Tak może wyobrażać sobie co najwyżej Angela Merkel. I nie uratują sytuacji mury na granicach ani wyrzucenie niechących asymilacji cudzoziemców.

Teoretycznie można by wyobrazić sobie radykalne działania ratunkowe, ale dziś nikt nie odważyłby się ich nawet rozważyć, a co dopiero zaproponować.



Maksym Litwinow, komisarz ludowy spraw zagranicznych ZSRS (czwarty od lewej) i wiceminister spraw zagranicznych Józef Beck (trzeci od prawej) na dworcu w Warszawie w 1932 r. FOT. NAC

Porzuceni przez Polskę



Piotr Zychowicz

Mimo że rząd II RP wiedział o sowieckich represjach wobec Polaków, zachował milczenie. Nie chciał bowiem narażać się Stalinowi

Panie Konsulu!

Niech sobie zamykają ruskie cerkwie i swoich popów wyganiają, ale z jakiej racji nasze kościoły oddali na kluby, składy? Obrazy spalili, poniszczyli krzyże, a księżę gnoją w więzieniach i my nie mamy prawa się modlić. Wydaje mi się, że jest tu jakaś podłość ze strony naszych polskich przedstawicieli, inaczej być nie może.

Pisaliśmy do Moskwy do naszego Ambasadora, który nie odpowiedział na list. Myśleliśmy, że wszyscy się zapredaliście i nas Polaków nie ma kto bronić. Byłaby możliwość pojechać do Polski i zwrócić się do naszego pana Mościckiego, żeby coś pomógł, ale jest to niemożliwe. Prosimy Was, aby w Winnicy otworzyli kościół i dali księdza.

Ten dramatyczny, pełen gorczy list został wysłany 2 marca 1936 r. z Winnicy przez miejscowego Polaka Jana Paciorkowskiego. Jego adresatem był polski konsul w Kijowie. List ten – tak jak tysiące innych – pozostał bez odpowiedzi. A teraz po wielu latach od śmierci autora ujrzał światło dzienne.

To jeden ze 116 dokumentów opublikowanych przez znakomitego historyka i sowietologa prof. Roberta Kuśnierza w książce „Nas, Polaków, nie ma kto bronić. Represje wobec Polaków w Związku Sowieckim w latach 1935–1938 w materiałach MSZ i wywiadu wojskowego

II RP". Jaki wyłania się z niej obraz? Przeróżający.

Historycy oceniają, że po podpisaniu traktatu ryskiego 18 marca 1921 r. pod rządami bolszewików znalazło się ok. 1,5 mln Polaków. Głównie na byłych wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Czyli na terenie nowo powstałych sowieckich republik Białorusi i Ukrainy. Duże polskie kolonie żyły w Piotrogradzie i Moskwie. Na Syberii i na Kaukazie.

Niemal natychmiast po zakończeniu wojny z Polską bolszewicy zaczęli represjonować Polaków. Mordowali ich, umieszczali w więzieniach i obozach, niszczyli – będący ostoją i podporą polskości – Kościół katolicki. Apogeum antypolskich represji przypadło na lata 30.

W latach 1932–1933 kilkadziesiąt tysięcy Polaków mieszkających na sowieckiej Ukrainie straciło życie w wyniku wielkiego głodu.

W latach 1935–1936 co najmniej 100 tys. Polaków mieszkających na polsko-sowieckim pograniczu zostało deportowanych w głąb Związku Sowieckiego. Wielu z nich zginęło.

W latach 1937–1938 doszło do ludobójczej operacji polskiej NKWD, podczas której sowiecka bezpieka mogła eksterminować nawet 200 tys. naszych rodaków.

Skala tych zbrodni, ich brutalność i bezwzględność są szokujące. W ich wyniku polska społeczność żyjąca na terenie Związku Sowieckiego została nie tylko przetrzebiona. Został jej przetrącony kręgosłup. Skutkiem była niemal całkowita depolonizacja terenów, na których Polacy mieszkali od wielu pokoleń.

TRZY POWODY

Badacze od lat zadawali sobie pytanie: Co na temat koszmaru rozgrywającego się za naszą wschodnią granicą wiedziały władze II RP? W jaki sposób starały się ratować naszych mordowanych braci? Z dokumentów zebranych przez prof. Kuśnierza wynika, że polscy dyplomaci w Sowietach doskonale zdawali sobie sprawę, że Polacy stali się celem sowieckich prześladowań. Wiedzę tę przekazywali do Warszawy.

Władze II RP podjęły jednak decyzję, aby nie interweniować. Postanowiły pozostawić wyrzynanych przez bolszewików Polaków swojemu losowi. Wynikało to z trzech zasadniczych powodów.

Po pierwsze, w 1932 r. Polska i Związek Sowiecki podpisały pakt o nieagresji. Dwa lata później pakt ten został przedłużony. W efekcie minister spraw zagranicznych Józef Beck uznał, że wzięcie w obronę sowieckich Polaków może narazić na szwank relacje ze Stalinem.

Po drugie, władze w Warszawie wychodziły z założenia, że podniesienie przez Polskę problemu sowieckich Polaków może skłonić Związek Sowiecki do działań symetrycznych. Czyli zajęcia się Białorusinami i Ukraińcami zamieszkującymi wschodnie województwa II RP. Po trzecie, władze polskie obawiały się, że w przypadku podjęcia interwencji Moskwa może zgodzić się na wypuszczenie Polaków do Polski. A to oznaczałoby zalew II RP przez rzesze biednych, „zdemoralizowanych przez komunizm” uchodźców.

Dwa pierwsze argumenty należy oczywiście uznać za absurdalne. Związek Sowiecki – mimo paktu z 1932 r. – pozostawał bowiem śmiertelnym wrogiem Rzeczypospolitej i całego wolnego świata. Czekał tylko na dogodny moment do ataku i poniesienia „ognia rewolucji” na Zachód.

Jeżeli zaś chodzi o mniejszości, to to, że Polska nie interesowała się Polakami w Związku Sowieckim, nie miał dla bolszewików najmniejszego znaczenia. Przez cały okres międzywojenny nie przestali oni bowiem podburzać i rewoltować naszych Białorusinów i Ukraińców.

Trzeci argument można zaś skwitować krótko. Był to argument haniebny.

„Z każdym rokiem – pisze prof. Kuśnier – stanowisko władz RP wobec Sowietów stawało się coraz bardziej »pragmatyczne«, a pragmatyzm ten obejmował również definitywne poświęcenie ludności polskiej i wielowiekowego dziedzictwa polskiego na tych terenach na rzecz »normalizacji« stosunków z Sowietami”.

Profesor wskazuje na kluczowe exposé Józefa Becka ze stycznia 1936 r. W Moskwie obawiano się, że polski minister spraw zagranicznych głośno i publicznie upomni się o rodaków na Wschodzie, ujawni makabryczne praktyki stosowane przez sowiecki reżim wobec tej społeczności.

Beck rzeczywiście wspominał o szyszanowaniu Polaków, ale... w Czechosłowacji.

Mam nieodparte wrażenie, że przyszłe pokolenia Polaków będą patrzyły na ten epizod naszych dziejów z największym wstydem.

RAPORTY Z PIEKŁA

Profesorowi Kuśnierzowi należy się wielkie uznanie za to, że odnalazł w archiwach tyle nieznanych wcześniej, wstrząsających dokumentów. Podjął bowiem temat niezwykle drażliwy i niewygodny dla bezkrytycznych apologetów II RP. Z prawdą, nawet najbardziej bolesną, należy się jednak zmierzyć.

Teraz zaś pozwólmmy przemówić dokumentom:

Ostatnio otrzymujemy wiadomości o gnębieniu Polaków w ogóle, a obywateli polskich w szczególności – odbieranie paszportów, kwestionowanie obywatelstwa tych, którzy jeszcze nie siedzą.

(15 sierpnia 1937 r. – fragment raportu wywiadowczego)

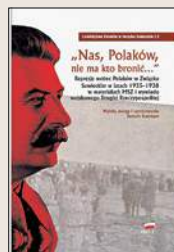
O aresztowaniach krążą stale coraz to nowe wiadomości. Publiczność jest tak sterroryzowana, że ilość prywatnych wieczorków uległa bardzo znacznemu zmniejszeniu – bardzo rzadko można usłyszeć obecnie o prywatnej zabawie. W prywatnych domach stale kontrolują posiadaną korespondencję, różne stare szpargały i książki, paląc rzeczy mogące rzucić cień na prawomyślność.

(22 października 1937 r. – fragment raportu wywiadowczego)

Kartki więzienne dalej jeżdżą energicznie po nocach.

(13 listopada 1937 r. – fragment raportu konsularnego)

W ostatnim miesiącu przeprowadzono masowe aresztowania i natychmiastowe deportacje Polaków i Niemców. Jako przykłady mogą służyć: z cukrowni w Pohrebyszczach aresztowano i deportowano wszystkich robotników-Polaków (40) wraz z ich rodzinami; w rejonie Rużi wywieziono prawie całe dwie polskie wsie, w aresztach Połtawy znajdowało się przeszło 2500 ludzi, na ogół wszyscy pochodzenia polskiego lub niemieckiego. To aresztowania za otrzymywanie korespondencji zza granicy. Ostatnio spotkaliśmy się



ROBERT KUŚNIERZ
„NAS, POLAKÓW,
NIE MA KTO
BRONIĆ”
FUNDACJA
RODACY '37/
WYDAWNICTWO
LTW

■ z kilkoma wypadkami natychmiastowego aresztowania za otrzymywanie listów zza granicy.

(26 listopada 1937 r. – fragment raportu konsularnego)

Kasiu,

Przed wszystkim trzymaj się mocno i nie choruj, ponieważ jeżeli ciebie nie będzie, to i mi niczego nie trzeba, i nie będzie do kogo i do czego wracać.

Napisz do Konsulatu, że zmuszono mnie do napisania oświadczenia, że zostałem zaciągnięty do organizacji szpiegowskiej w 1928 roku podczas wydawania mi paszportu. Trzy doby zmuszali mnie do stania na nogach i nie dawali spać.

Opuchły mi nogi, ból nie do wytrzymania, i ja nie wytrzymałem, i napisałem, żeby otrzymać czasową ulgę.

- Wszystkie drobnostki sprzedaj, zostaw tylko to, co niezbędne.

- Uprzedź Kostię, żeby się trzymał mocno i sama się trzymaj.

(4 lutego 1938 r. – list obywatela polskiego Juliana Wesołego do żony napisany z więzienia)

Nie wszyscy dyplomaci II RP byli obojętni wobec gehenny swoich rodaków w Związku Sowieckim. Człowiekiem, który podejmował samotne, desperackie próby ratowania rodaków, był konsul w Kijowie – Jan Karszo-Siedlewski

Listy polecane z Polski do ZSRS są w 75 procentach zwracane nadawcom z adnotacjami: „adresat wyjechał i nikomu nie znany” lub „nie przyjęto”.

(9 marca 1938 r. – pismo polskiego MSW)

Aresztowania zarówno wśród ludności cywilnej, jak i wśród wojskowych trwają nadal. Obserwuje się prowadzonych aresztowanych ulicami pod konwojem wojskowym. Wśród aresztowanych wojskowych przeważa element starszy wiekiem, w wypadku mi znanym lekarz wojskowy, posiadający rodzinę w Polsce, został aresztowany i skazany na 20 lat więzienia za utrzymywanie kontaktu z Polską.

Ludność polska jest szczególnie intensywnie prześladowana, ze starszej generacji w miastach utrzymał się już mało kto. Aresztowania i uwięzienia wśród ludności polskiej mają szczególnie znaczne nasilenie.

(26 marca 1938 r. – fragment raportu konsularnego)

Z różnych źródeł potwierdzają się wiadomości o silnej kampanii, pro-

wadzonej w ostatnich czasach przez władze sowieckie przeciwko ludności polskiej na tutejszym terenie. W więzieniach ZSRS przebywało ostatnio mnóstwo Polaków, aresztowanych w Leningradzie i na prowincji, których skazywano zazwyczaj na pracę w obozach robót przymusowych do lat 15. Wysiedlano też znaczną ilość Polaków z miasta i obwodu. Odbываяc podróż do Polski w połowie kwietnia, miałem możliwość stwierdzić masowe wysiedlania ludności z terenów białoruskich. Pociąg, w którym odbywałem podróż, spotkał się w okolicy Orszy z dwoma transportami wysiedleńców, których oddziały NKWD ładowały właśnie do wagonów. Transporty te liczyły po kilkadziesiąt osób każdy.

(25 kwietnia 1938 r. – fragment raportu konsularnego)

Bandyckie metody porywania obywateli polskich przez organy NKWD, jak to miało miejsce z panem Rominem, kupcem futrzanym Kostryńskim – aresz-

zbiegów politycznych z RP. Szczególnie ostry kurs polityki w stosunku do obywateli sowieckich narodowości polskiej i komunistów-zbiegów pochodzenia polskiego, zamieszkujących na pograniczu zachodnim, znajdował jaskrawy wyraz w propagandzie prasy sowieckiej, nawołującej do „bezlitosnego gromienia i wykarczowania do końca polskich szpiegów i trockistowsko-bucharińskich oraz szowinistyczno-faszystowskich agentów Polski na Białorusi i Ukrainie”.

(lipiec 1938 r. – fragment raportu kontrwywiadowczego)

Los ćwierćmilionowej rzeszy młodzieży polskiej w Sowietach jest niesłychanie ciężki. Przyszłość dopiero wykaże, czy młode pokolenie polskie zamieszkałe w Związku Sowieckim wychowywane od 10 lat w szkołach i organizacjach komunistycznych oprze się wynarodowieniu i czy wytrwa przy polskości.

Należy wierzyć, iż niespożyty duch polski nie ugnie się przed największym naciskiem i prześladowaniami i że młode pokolenie Polaków w ZSRS nie będzie stracone dla Narodu Polskiego.

(23 stycznia 1939 r. – pismo nieznanego autora)

Na koniec należy podkreślić, że nie wszyscy dyplomaci II RP byli obojętni wobec gehenny swoich rodaków w Związku Sowieckim. Nie wszyscy zgadzali się z linią przyjętą przez MSZ. Człowiekiem, który podejmował samotne, desperackie próby ratowania rodaków, był konsul w Kijowie Jan Karszo-Siedlewski. Interweniował nawet u samego szefa NKWD na Ukrainie Wsiewołoda Balickiego.

W przeciwieństwie do większości swoich kolegów nie miał złudzeń co do Związku Sowieckiego. „Mamy do czynienia z wrogiem – pisał – który się maskuje, ale faktycznie nas nienawidzi i stara się, gdzie może, niszczyć u siebie resztki polskości. Z beceremonialnym chamelem, który liczy się jedynie z brutalną siłą”.

Niestety, elity II RP nie rozumiały tego oczywistego faktu. Polska 17 września 1939 r. zapłaciła za tę krótkowzroczność kolosalną cenę.

Książka „Nas, Polaków, nie ma kto bronić” to kolejny tom wydany przez Fundację Rodacy '37, która zajmuje się upamiętnianiem polskich ofiar sowieckiego ludobójstwa z lat 30.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Nietzsche był Polakiem?

Mówiono mi, że pochodzenie mej krwi i nazwiska wywodzi się ze szlachty polskiej, ze szlacheckiej rodziny Nickich, która, więcej niż przed stu laty, prześladowana z powodu swego wyznania protestanckiego, musiała opuścić swą ojczyznę. Przyznać się muszę, że jeszcze jako mały chłopiec bardzo szczyliłem się tym moim polskim pochodzeniem”.

Te słowa Fryderyka Nietzschego wywołały wielką debatę na temat korzeni rodzinnych wielkiego filozofa. I przyczyniło się do powstania wielu legend. Wielu Polaków z marszu uznało Nietzschego za swojego rodaka. A z kolei wielu Niemców uznało, że opowiadanie o swojej polskości było ze strony myśliciela jedynie prowokacją intelektualną. W grę miał też wchodzić zwykły snobizm. W końcu któż nie chciałby być potomkiem polskiego hrabiego?

Ciała dyskusja miała jednak raczej emocjonalny i publicystyczny charakter. Żaden badacz nie pokusił się o naukowe, sumienne zbadanie korzeni rodzinnych Nietzschego. Lukę tę wypełnił dopiero teraz dr Miłosz Sosnowski. Historyk przeprowadził drobiazgowy, detektywistyczny śledztwo, którego wyniki przedstawia w książce.

Sosnowskiemu udało się wytropić

szlachecką rodzinę Nieckich herbu Radwan, której część rzeczywiście w XVIII w. wyemigrowała do Niemiec. Najpierw do Prus, a potem do Saksonii. A co za tym idzie – twierdzenia Nietzschego wydają się niezwykle prawdopodobne.

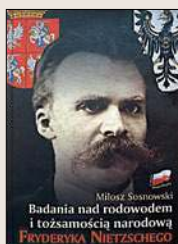
Mocną stroną książki są również kapitalne fragmenty wypowiedzi Nietzschego na temat Polski i Polaków. Otóż okazuje się, że filozof rozczony był w Mickiewicza i uwielbiał słuchać muzyki Chopina. Sam, jako młody człowiek, komponował mazurki.

„Zwracano nieraz uwagę – pisał filozof – na wybitnie polski typ całej mojej powierzchowności. Nieraz zwracano się do mnie jako do Polaka. W Sorencie zwano mnie stale il Polacco. Polacy nieraz przemawiali do mnie w swym języku, biorąc mnie za kogoś ze swych znajomych. A jeden z nich, gdy się przed nim

wszelkiej polskości wypierałem, smutnie na mnie popatrzył i rzekł: »Znać jeszcze starą rasę, ale serce, Bóg wie, dokąd zwróciło«.

Albo taki cytat: „Polacy wydawali mi się zawsze najdzielniejszym i najzdolniejszym z ludów słowiańskich, a Słowian w ogóle poczytuję za nierównie zdolniejszych od Niemców”.

Nowatorska, znająca komita książka. ©©



★★★★★

MIŁOSZ SOSNOWSKI
„BADANIA NAD
RODOWODEM
I TOŻSAMOŚCIĄ
NARODOWĄ
FRYDERYKA
NIETZSCHEGO”
WYDAWNICTWO
NAUKOWE UKSW



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Inny typ Francuza

W listopadzie 1919 r. w Opolu pojawiła się Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa mająca nadzorować przeprowadzenie głosowania na Górnym Śląsku. Miało ono zadecydować o przynależności państwowej dzielnicy, komisja działała pod osłoną wojsk alianckich, natomiast

20 sierpnia 1920 r. wybuchło II powstanie śląskie

regularne formacje niemieckie opuściły obszar plebiscytowy. Na miejscu pozostały jednak oddziały Sicherheitspolizei (Sipo – policji bezpieczeństwa) mające strzec porządku, w rzeczywistości jednak jej funkcjonariusze wspomagali i osłaniali niemieckie bojówki.

Na całym terenie Górnego Śląska rozpoczęła się gwałtowna kampania plebiscytowa, przedstawicielstwem rządu z Warszawy był Polski Komisariat Plebiscytowy w Bytomiu pod przewodnictwem Wojciecha Korfanteo. Jego niemiecki odpowiednik – Kurt Urbanek – rezydował w Katowicach.

Pomimo obecności wojsk alianckich wrzenie na Śląsku nie ustawało. Bojówki niemieckie zaatakowały polskie pochody świętujące rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja, w tym czasie wybuchł również strajk szkolny mający doprowadzić do równouprawnienia języka

polskiego. Pod koniec maja Niemcy napadli na siedzibę Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu, zdemolowano również lokale w Głogówku i Koźlu. 17 sierpnia 1920 r. prasa niemiecka podała fałszywą informację o zdobyciu Warszawy przez Armię Czerwoną i w Katowicach doszło do gwałtownych zamieszek. Tłum niemieckich mieszkańców manifestował na ulicach radość z powodu upadku państwa polskiego, rozpoczęła się również grabież sklepów będących własnością naszych rodaków. Powiatowy inspektor Międzysojuszniczej Komisji, Francuz, płk Blanchard, polecił rozpędzić demonstrację bez użycia broni palnej. Gdy nie przyniosło to efektu, na jego rozkaz kompania piechoty otworzyła ogień. Zginęło 10 demonstrantów, było wielu rannych.

Następnego dnia doszło już niemal do regularnych walk polsko-niemieckich, a w nocy z 19 na 20 sierpnia 1920 r. wybuchło II powstanie śląskie. Była to jedna z czterech polskich insurrekcji zakończonych sukcesem (obok dwóch powstań wielkopolskich i sejneńskiego). Natomiast na marginesie całej sprawy trudno nie oprzeć się wrażeniu, że płk Blanchard był innym typem Francuza niż jego rodacy z czasów II wojny światowej. Znał swoje obowiązki, działał zdecydowanie i nie wycofywał się na widok uzbrojonych oraz agresywnych Niemców. Latynosi określiliby go jako mężczyznę mającego cojones, czego chyba nie trzeba tłumaczyć. ©©

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

**NIE POZWÓLMY, ABY
WYDARZENIA SPRZED LAT
ULEGŁY ZATARCIU.
DZIELMY SIĘ RELACJAMI
Z TEGO TRUDNEGO CZASU.
KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981,
NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE
WSPOMNIENIA.
UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY
W SWOIM RODZAJU OBRAZ
TAMTYCH DNI.**

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU

**WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIENI!**

**PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL**





Olivier Bault

Afera z 26-letnim szefem ochrony Emmanuela Macrona może być przełomowym punktem w jego prezydenturze. Już zburzyła obraz tego, który zaproponował „nową” politykę

Alexandre Benalla nigdy nie był w posiadaniu kodów atomowych, Alexandre Benalla nigdy nie zajmował mieszkania o powierzchni 300 mkw., Alexandre Benalla nigdy nie otrzymywał pensji w wysokości 10 tys. euro, Alexandre Benalla nie jest moim kochankiem – takie dementi wystosował prezydent Francji w lipcu, w odpowiedzi na pogłębiającą się krytykę. Afera z 26-letnim mężczyzną pochodzenia marokańskiego (media algierskie mówiły o marokańskim szpiegu) wybuchła 18 lipca, kiedy dziennik „Le Monde” opublikował filmik wideo, na którym widać było, jak „faworyt króla” bije dwoje pierwszomajowych manifestantów – mężczyznę i kobietę – a wszystkim przyglądają się policjanci. Co gorsza, człowiek, którego Emmanuel Macron wybrał sobie na bliskiego współpracownika, odpowiedzialnego za ochronę, podczas bicia demonstrantów miał na sobie kask policyjny i opaskę policyjną, choć nie jest funkcjonariuszem. Dwoje poturbowanych przez Benallę protestujących miało ponoć zachowywać się agresywnie w stosunku do policjantów.

UDAJĄCY POLICJANTA

Benalla nie tylko łamał prawo, udając policjanta. Dostał też kopię kompromitującego go nagrania z monitoringu od znajomych policjantów, którzy nie mieli prawa mu tego filmu wydać.

A to niejeden problem z szefem ochrony Macrona. Ujawniono też informacje o niezwykłych przywilejach, którymi cieszył się ten młody człowiek. A zeznania różnych osób związanych z tą aferą są sprzeczne i w parlamencie utworzono komisję śledczą, aby całą sprawę wyjaśnić. Wiadomo, że ta już niczego ważnego nie odkryje, bo prace tego ciała (zdominowanego przez partię LREM prezydenta Macrona) zostały storpedowane



Nowoczesne

już na samym początku. Partie zawiesiły swój udział w pracach komisji, oskarżając przewodniczącą i posłów partii LREM o obstrukcję i o działanie na zlecenie Pałacu Elizejskiego.

Dużo bardziej kłopotliwa dla prezydenta i obozu rządowego może okazać się komisja senacka, w której większość

mają centroprawicowi republikanie. Prace tej komisji będą relacjonowane w mediach i mogą przeszkadzać obozowi prezydenckiemu w wyciszaniu afery.

26-LETNI „SPECJALISTA”

26-letni Alexandre do niedawna obecny był przy wszystkich oficjalnych



Emmanuel Macron i 26-letni Alexandre Benalla, który cieszył się niezwykłymi przywilejami prezydenta

FOT. LUDOVIC MARIN/AFP/EAST NEWS

uwikłanie

wydarzeniach i podróżach z udziałem prezydenta Francji. Jak ujawniły francuskie media, miał nawet własny komplet kluczy do domu małżonki prezydenta znajdującego się w kurorcie Touquet nad kanałem La Manche. Młody socjalista i mason jest członkiem obediencji Francuskiej Wielkiej Łoży Narodowej

(GNLF). Od początku działalności w Partii Socjalistycznej (PS) był w służbie porządkowej – najpierw przy pani burmistrz miasta Lille, następnie przy François Hollande'ie podczas kampanii prezydenckiej w 2012 r. Po wygranej Hollande'a zatrudnił się jako szofer w jednym z ministerstw. Stracił jednak

tę posadę po tygodniu – spowodował wypadek i próbował zbiec z miejsca zdarzenia. W latach 2012–2016 pracował w firmach ochroniarskich, aż do założenia własnej firmy we współpracy z innym późniejszym współpracownikiem Emmanuela Macrona, zamieszkanym w obecnej aferę związaną z pobicie pierwszomajowych manifestantów – Vincentem Crase'em. W 2016 r. został zatrudniony przez nowo powstałą partię En Marche! („W drodze!”) Macrona z wynagrodzeniem w wysokości 3,5 tys. euro miesięcznie.

Po wygranej Macrona Benalla miał stworzyć dla nowego prezydenta coś w rodzaju równoległej, półoficjalnej osobistej służby odpowiadającej za bezpieczeństwo prezydenta. Opozycja zaczęła po wybuchu afery mówić nawet o „policji równoległej”.

Ponieważ Benalla jest członkiem rezerwy żandarmerii, nadano mu stopień podpułkownika rezerwy (w wieku 26 lat!) jako „specjaliście”.

W Pałacu Elizejskim otrzymywał pensję w wysokości 6 tys. euro i miał mieszkanie służbowe o powierzchni 80 mkw. w ekskluzywnej VII dzielnicy Paryża (w rezydencji, w której niegdyś prezydent Mitterrand ukrywał kochankę i córkę), samochód służbowy z kierowcą i wyposażeniem policyjnym oraz paszport dyplomatyczny, który normalnie nie przysługuje członkom ochrony prezydenta. Benalla miał otrzymać ów paszport 24 maja, czyli niecały miesiąc po pierwszomajowym zajściu.

Satyryczny tygodnik „Le Canard enchaîné” ujawnił także, że 20 lipca wieczorem – po wybuchu skandalu – miała się odbyć rewizja mieszkania Benalli. Chodziło o zabezpieczenie broni, o której posiadaniu faworyt Macrona poinformował śledczych podczas tymczasowego aresztowania. Jednak Benalla twierdził, że nie ma przy sobie klucza, a ślusarz, który przyjechał z policją, nie potrafił otworzyć zamka. Tak zeszło do godz. 21, po której policjantom nie wolno zakłócać spokoju, więc jedynie mieli zaplombować drzwi naklejką. Kiedy zjawili się następnego poranka, w mieszkaniu nie było już sejfów z bronią. Benalla miał wyjaśnić funkcjonariuszom, że z powodu ujawnienia jego adresu w mediach poprosił przyjaciela o zabranie sejfów w bezpieczne miejsce. Ulubieniec Macrona odmówił podania nazwiska przyjaciela, a prokuratura

nie zgodziła się poszerzyć śledztwa o zarzut ukrywania dowodów.

OLBRZYM I ZAMACHOWCY

Okazało się też, że Alexandre Benalla był tym, który zatrudnił osobistego ochroniarza kandydata Macrona podczas kampanii prezydenckiej. Chodzi o mieżącego ponad dwa metry Makao pochodzącego z Kongo.

Człowiek, który użył swojego mieszkania terrorystom odpowiedzialnym za zamachy z 13 listopada 2015 r., opublikował w czerwcu w Internecie film, na którym widać, jak gra w grę wideo właśnie z tym Makao. Było to dokładnie dwa dni po tym, jak Makao pozował do zdjęć w Pałacu Elizejskim w towarzystwie prezydenta i jego żony Brigitte. Filmik stał się znany wśród internautów, gdy o jego istnieniu poinformował popularny portal alternatywnej prawy – Fdesouche.

Stopniowe ujawnianie szczegółów dotyczących przywilejów i zachowań „faworyta króla” działa jak powolna trucizna, której efekt mogą spotęgować kolejne przesłuchania przed komisją senacką.

Prezydencka machina PR-owska po raz pierwszy się zacięła. Przez kilka dni milczeli i prezydent, i rząd, a gdy minister spraw wewnętrznych Gérard Collomb musiał pojawić się przed komisją Zgromadzenia Narodowego, nie umiał powiedzieć, dlaczego w towarzystwie podległych mu policjantów człowiek prezydenta bił manifestantów, udając policjanta, i dlaczego w zejściu brał udział także bezprawnie noszący opaskę policyjną drugi człowiek prezydenta – Vincent Crase. Ten ostatni jest także widoczny na innym filmiku ujawnionym 27 lipca przez dziennik „Libération”. Na nagraniu widać, jak wyrwa telefon kobiecie filmującej scenę bicia demonstrantów i wykasowuje jego zawartość. Collomb przerzucił całą odpowiedzialność na Pałac Elizejski i pokazał siebie jako ministra, który nie jest o niczym informowany.

Zeznający przed komisją powiedzieli też coś innego, niż podawały komunikaty Pałacu Elizejskiego o dwutygodniowej karze zawieszenia dla Benalli. Okazało się, że sankcja istniała tylko na papierze, a Benalla wciąż pracował i otrzymywał wynagrodzenie.

Paryski prefekt policji Michel Delpuech 23 lipca, zeznając pod przysięgą

przed komisją Zgromadzenia Narodowego, twierdził, że ledwo zna Alexandra Benallę. Tymczasem 8 sierpnia „Le Canard enchaîné” opublikował kopię listu Delpuecha adresowanego do Benalli, który rozpoczynał się słowami: „Drogi przyjacielu...”.

Z kolei „Le Monde” ujawnił, że dwie osoby poturbowane przez Benallę podczas zejść 1 maja, o których Delpuech zeznał, iż nie miały przy sobie dokumentów, nie chciały podać swoich personaliów i zachowywały się agresywnie w stosunku do policjantów, tak naprawdę ani nie ukrywały swojej tożsamości wobec policjantów, ani nie zachowywały się agresywnie. Ma to wynikać z pism przesłanych przez policjantów do prokuratora.

Skandal z szefem ochrony wpłynął na spadek notowań. W jednym z sondaży Macron po raz pierwszy miał mniej niż 30 proc. zwolenników

Minister spraw wewnętrznych także przed Zgromadzeniem Narodowym zarzekał się, że nie zna osobiście Benalli, choć ten w wywiadzie dla „Le Monde” opowiadał o szczegółach swoich spotkań z szefem MSW.

TĄPIŃCIE W SONDAŻACH

Efekt ubocznym skandalu jest odłożenie debaty parlamentarnej wokół reformy konstytucji, którą jako realizację obietnic Macron zamierzał przeprowadzić. Chociaż partia prezydenta wchłonęła „zrecyklingowanych” działaczy partii socjalistycznej i centroprawicy, to wizerunek Macrona zbudowany został w dużej mierze na skutecznym przekazie PR, mówiącym o zerwaniu ze starą polityką. Pozycja i zachowanie „faworyta” Macrona, podobnie jak istnienie całej ekipy ludzi prezydenta o niejasnym statusie i przywilejach, kłóci się z tym wizerunkiem.

Przełożyło się to w drugiej połowie lipca na wyraźny spadek notowań prezydenta Francji. Trzy sondaże przeprowadzone po 19 lipca, w których pytano respondentów, czy są zadowoleni z działalności prezydenta lub z jego prezydentury, pokazały spadek proporcji zadowolonych o cztery-pięć punktów procentowych.

Najgorzej dla prezydenta Francji wypadł sondaż YouGov przeprowadzony w dniach 25–26 lipca dla portali gazety „Huffington Post” i telewizji CNews. Po raz pierwszy, odkąd Emmanuel Macron został prezydentem, liczba zadowolonych z tego ludzi spadła poniżej 30 proc. Pozytywnych opinii było bowiem 27 proc., a niezadowolonych respondentów aż 62 proc.

Wśród sympatyków centroprawicy poparcie dla prezydenta spadło w lipcu aż o 18 punktów procentowych – do 33 proc. Jednocześnie 61 proc. respondentów chciałoby, aby prezydent złożył zeznania przed komisją śledczą senatu.

Jak bardzo sprawa Benalli może zaszkodzić prezydentowi Macronowi, jeszcze nie wiadomo, gdyż media wciąż ujawniają nowe jej wątki. W sondażach dotyczących przyszłorocznych wyborów do Parlamentu Europejskiego partia Macrona ma niewielką przewagę nad partią Marine Le Pen. Reformy gospodarcze i reforma rynku pracy miały być atutami prezydenta, ale francuska gospodarka spowalnia i prognozowany w tym roku wzrost PKB ma tylko nieznacznie przekroczyć 1 proc., co przełożyło się już na zatrzymanie tendencji spadkowej bezrobocia.

Ekspertzi zakładają, że we wrześniu może dojść do zmian w rządzie i otoczeniu prezydenta. Media spekulują o możliwym odejściu szefa kancelarii prezydenta oraz ministra spraw wewnętrznych.

Jedno jest pewne: mocno ucierpiał sztucznie stworzony przez Macrona i mainstreamowe media wizerunek nowego prezydenta i nowej partii, zrywających ze starymi sposobami uprawiania polityki. Ucierpiał także jego wizerunek prezydenta, który miał przywrócić godność funkcji po prezydenturze Hollande’a. Zamiast prezydenta fotografowanego na skuterze, pędzącego w „młodzieńczym uniesieniu” do kochanki w śmiesznym kasku na głowie, mamy prezydenta, który kolejny raz musi dementować pogłoskę o kochanku (wcześniej pogłoski dotyczyły jego rzekomej relacji z przystojnym prezesem publicznego radia) i który daje się fotografować z zaproszonymi do Pałacu Elizejskiego z okazji Święta Muzyki czarnymi transseksualistami i czarnym gejem w koszulce z napisem: „Syn imigranta, czarny i pedał”. Czas pokaże, czy Macron stanie się z czasem tak samo niepopularny jak Hollande.



NIE MOŻNA KRYTYKOWAĆ BUREK

Były szef brytyjskiego MSZ napisał felieton dla dziennika „The Telegraph”, w którym skomentował duński zakaz noszenia burki. Boris Johnson napisał, że kobiety noszące burki „chodzą, wyglądając jak skrzynki pocztowe” lub „przestępcy napadający na bank”. Przewodniczący Partii Konserwatywnej poprosił Johnsona, aby przeprosił za te komentarze. Muzułmańska minister Sayeeda Warsi uważa, że Johnson powinien zostać za te słowa ukarany

FOT. FOTOLIA

MIŁOŚĆ I IMIGRACJA

Szwedzki urząd ds. migrantów okazał się nie tylko okropnie nieczuły na los przybyszów zza wielkiej wody, lecz także kompletnie obojętny na miłość. Otóż urzędnicy odmówili 35-letniemu Gambijczykowi zezwolenia na stały pobyt w tym kraju oraz na pracę mimo tego, że wyszła za niego 73-letnia Szwedka. Mało tego – Szwedka udowodniła już, że jest stała w uczuciach, bo to już jej trzeci mąż imigrant (poprzedni dwaj ją porzucili).

DROGOWCY SKORZYSTALI Z ELFÓW

Władze niemieckiej Dolnej Saksonii potwierdziły mediom, że skorzystali z pomocy elfów i trolli w sprawie wypadków na autostradzie A2. Do urzędników zgłosił się bowiem samozwańczy „komisarz elfów” i zaproponował pomoc w ustaleniu, dlaczego na jednym z odcinków dochodzi do tylu zderzeń. Szefowa urzędu drogowego zgodziła się, bo – jak tłumaczyła – są „otwartym organem, który wspiera obywateli i ich działania”. Szefowa elfów, niejaka Melanie Rüter, przemaszerowała poboczem

autostrady i zameldowała urzędnikom, że wykryła „bardzo smutną energię”. Po jej interwencji niektóre części autostrady „zostały uszczelnione energetycznie”.

REZOLUCJA CHODNIKOWA

W słynnej alei gwiazd w Los Angeles swoją gwiazdę na chodniku ma Donald Trump. Jego przeciwnicy tak go nie lubią, że tę gwiazdę już kilka razy niszczyli – ostatnio jeden z nich walił w nią kilofem. Teraz za gwiazdę prezydenta wzięli się lokalni politycy. Rada pobliskiego miasta West Hollywood – choć nie ma żadnej mocy zarządzać czymkolwiek w LA – przyjęła rezolucję, w której wezwała władze Los Angeles do usunięcia z bulwaru gwiazdy upamiętniającej Trumpa.

EROTYCZNY GRANAT

Na lotnisku Schönefeld w Berlinie ewakuowano jeden z terminali. Pracownicy znaleźli podejrzany przedmiot w bagażu jednego z podróżnych. Okazało się, że to, co wzięli za granat, było... erotyczną zabawką. © ©

Łukasz Zboralski

PIECZEŃ RZYMSKA



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

0 wzmawianiu choroby

W Italii strach dziś wziąć do ręki gazetę i włączyć telewizor. Można pomyśleć, że lada chwila na ulicach pojawiają się faceci w białych kapturach i krzyże staną w płomieniach. Na razie jednak rozpoczęło się polowanie nie na przybyszów z Afryki, a na rasistów.

W Latynie dochodziło do licznych włamań i kradzieży. Grupa biesiadujących sąsiadów dostrzegła podejrzanie poruszający się samochód. Chcieli sprawdzić, kto zacz, ale auto odjechało z piskiem opon. Ruszyli w pościg. Ścigany samochód po paru kilometrach wjechał w mur. Kierowca wygrzebał się

z wraku, ale chwilę potem już nie żył. W aucie znaleziono komplet narzędzi włamywacza. Zmarły okazał się Marokańczykiem „znanym policji”. I na co wyszło? A no na to, że grupa rasistów zamordowała biednego uchodźcę.

W Turynie ktoś rzucił jajkiem w córkę nigeryjskich imigrantów i uszkodził jej oko. Ofiara jest reprezentantką Włoch w rzucie dyskiem, więc wybuchł ogromny skandal. Był to już siódmy taki atak w Turynie. Ofiarami poprzednich padali rodowici Włosi i Włoszki. Nie przeszkodziło to postępowym mediom i politykom wrzeszczeć o rasistowskim terrorze. Sprawców

ujęto. Miotacz jajek, o zgrozo, okazał się synem lewicowego polityka.

Oba incydenty w narracji postępców były skutkiem rasistowskiej retoryki szefa MSW Matteo Salvini. Za to zupełnie bez echa przeszło to, że islamscy mizogini w urzędach pośrednictwa pracy wywołują burdy, bo obsługują ich kobiety.

A delirium tygodnia? Lewicowa „La Repubblica” zamieściła ekstatyczny reportaż o dwóch sprytnych migrantach ekonomicznych z Tunezji, którym udało się nielegalnie przedostać z Lampedusy do Paryża. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



Holenderska polityk Willie Dille, zbiorowo zgwałcona i zastraszana przez grupę muzułmanów, popełniła samobójstwo

FOT. PETER HILZ/HOLLANDSE HOOGTE/EAST NEWS

Znaczące samobójstwo



Tomasz P. Terlikowski

Są takie wydarzenia, których trudno nie uznać za symboliczne. Tak jest z samobójstwem 53-letniej Willie Dille, holenderskiej polityk

Jej historia jest, nie ma co ukrywać, wstrząsająca. Willie Dille, radna miasta Haga, a wcześniej posłanka do holenderskiego parlamentu, należąca do populistycznej, antyislamskiej i antyimigracyjnej Partii Wolności, popełniła samobójstwo kilka godzin po tym, jak umieściła w sieci nagranie, w którym oświadczyła, że rok temu została zgwałcona zbiorowo przez grupę muzułmanów, którymi kierować miał były polityk jej partii, obecnie konwertyta na islam Arnoud van Doorn.

Kobieta była posłanką do parlamentu w latach 2010–2012, a obecnie pełniła funkcję radnej w Hadze, gdzie mocno i jednoznacznie sprzeciwiała się działaniom na rzecz imigrantów, a także głosiła niechętnie wobec islamu poglądy. To z tego powodu, dwukrotnie – w marcu i maju roku 2017 – miała zostać zgwałcona i zastraszona przez muzułmanów, którzy kazali jej „trzymać głębę na kłódkę” podczas posiedzeń rady. Dille oświadczyła, że nie jest w stanie poradzić sobie z tym, co ją spotkało, nie chce narażać swojej rodziny, wobec której także formułowano groźby, i dlatego rezygnuje z mandatu. Kilka godzin później zabiła się, bo – jak podkreślała liderka lokalnego oddziału Partii Wolności Karen Gerbrands w rozmowie z „Dutch News” – „Nie mogła już dłużej znieść tego, co ją spotkało, i reakcji na to zdarzenie”.

KRĘTE DROGI OSKARŻONEGO

Oskarżony (w materiale na portalu społecznościowym) o zorganizowanie

gangu islamskiego, który miał – także za pomocą gwałtu – wymusić milczenie na Dille, nie przyznaje się do winy, ale nie ma co ukrywać, że jego historia jest – być może – jeszcze bardziej symboliczna niż historia samobójczyni. Tak się bowiem składa, że jeszcze w roku 2008 van Doorn był współproducentem pokazującego negatywne strony islamu filmu „Fitna”, a w późniejszym czasie został nawet wiceprzewodniczącym antyimigracyjnej Partii Wolności Geerta Wildersa. W 2012 r. jednak dokonał konwersji na islam, a krótko później udał się na pielgrzymkę do Mekki, w trakcie której w wywiadzie dla „Saudi Gazette” wyraził skruchę z powodu swojej wcześniejszej działalności. „Czułem wstyd, stojąc przed grobem proroka. Pomyślałem o poważnym błędzie, który popełniłem, produkując ten świętokradczy film. Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy i zaakceptuje moją skruchę” – przekonywał. „Wciąż żałuję, że dystrybuowałem ten film. Mam obo-

wiązek skorygować błędy, które popełniłem w przeszłości” – mówił. I zapewnił, że chce naprawić swoje winy, tworząc film pokazujący islam w pozytywnym świetle. Pielgrzymka do Mekki skłoniła go także do zapewnienia, że wreszcie „znalazł się wśród serc wiernych”. „Mam nadzieję, że moje łzy żalu wypłuczą wszystkie grzechy” – dodał. Film powstał i nosi tytuł: „Muhammad – mistrz praw człowieka”.

Skrucha i współprodukcja filmu to jednak nie wszystko, ponieważ van Doorn rozpoczął także polityczne odkupienie win poprzez zaangażowanie się w radzie miasta Haga w działalność muzułmańskiej partii Islamskich Demokratów. Organizacja ta, wbrew nazwie, niewiele ma wspólnego z demokracją – jej członkowie byli już skazywani za pobicia i zastraszanie osób, które były niechętne działalności islamistów.

Sam van Doorn także nie ma czystej karty. W lutym 2014 r. (a zatem dwa lata po konwersji) polityk został skazany na karę grzywny za ujawnianie prasie tajnych dokumentów, nielegalne posiadanie broni rakietowej, a także sprzedaż nieletnim miękkich narkotyków. Polityk ostatnie oskarżenie odrzucił, zapewniając, że sprzedawał miękkie narkotyki wyłącznie po to, by schwytać dilerów, ale... sędzia uznał jego tłumaczenie za absurdalne. Wyrok nie zatrzymał kariery van Doorna w społeczności islamskiej. Obecnie polityk jest przewodniczącym European Dawah Foundation, a także ambasadorem Canadian Dawah Association w Europie.

ZACHODNI ISLAM? BZDURA

Jeśli chodzi o poglądy, to – mimo radykalnej zmiany wektorów – nadal są one radykalne. Gdy żydowski biznesmen Steve Maman zapłacił ISIS za uwolnienie 140 jazydzkich i chrześcijańskich kobiet i dziewcząt, van Doorn na swoim Twitterze zadał absolutnie skandaliczne pytanie: Czy zrobiono to po to, by „sprzedać je z zyskiem”? Część środowiska medialnego, w tym Esther Voet, redaktor „New Israelite Weekly” czy Leon Verdonschot, felietonista „Nieuwe Revu”, uznała van Doorna za antysemitę, jednak on sam oskarżenia odrzucił, a później często fotografował się z rabinami i zapewniał, że wraz z nimi walczy z rasizmem, antysemityzmem i islamofobią. Ciekawe, że nikto nie zauważył, iż w istocie skandalem jest w tej wypowiedzi co innego, a mianowi-

cie całkowite zlekceważenie cierpienia gwałconych, prześladowanych i sprzedawanych jazydzkich oraz chrześcijańskich kobiet.

I to jest prawdziwy skandal, który ukazuje oblicze, także zachodniego, islamu. Nie zmieniają tego zapewnienia samego van Doorna, który w wywiadach opowiada o tym, że został muzułmaninem, ponieważ – wychowany w chrześcijańskiej rodzinie – dostrzegł w tej religii piękno, pokój, szacunek dla kobiet i tolerancję. Jego zdaniem mówienie o terroryzmie islamskim, złym traktowaniu kobiet czy sprzeciwie wobec praw człowieka, to jedynie stereotypy „wynikające z braku wiedzy”. „Możesz znaleźć fanatyków w każdej religii na świecie. Niestety, jeden procent fanatyków jest pokazywany w mediach, a ich wpływy są wyolbrzymiane. 99 procent muzułmanów to ludzie pokoju i ciężkiej pracy. Jeśli więcej ludzi będzie studiować prawdziwy islam, to więcej zobaczy jego piękno” – przekonywał w jednym z wywiadów. Trudno

Uznanie, że Europa jest za słaba, by się obronić, może skłaniać do przyjęcia islamu, przyłączenia się do zwycięskiej – na dłuższą metę – większości

jednak dostrzec piękno, gdy ktoś sugeruje – nawet w żartach – handel kobietami czy oznajmia, że rzekomy spisek w Turcji jest efektem działalności „zachodniosjonistycznej”. A takie właśnie opinie formułuje polityk oskarżony o zorganizowanie gangu, który stał się przyczyną samobójczej śmierci Willie Dille.

DWIE DROGI POPULISTÓW

Historie dwojga polityków Partii Wolności Geerta Wildersa doskonale ukazują wybór, który stoi przed liberalnymi populistami z partii antyimigranckich. Warto mieć świadomość, że wbrew opisom medialnym nie są one – a dotyczy to nie tylko Holandii – wcale konserwatywne, a w istocie liberalne. Ich sprzeciw wobec migracji islamskiej wynika z obrony eutanazji, homoseksualizmu, aborcji i innych – rzekomych – „zdobyczy” zachodniego świata. Nie są one, w ogromnej większości, chrześcijańskie, nieliczni z ich człon-

ków chcą bronić Kościoła katolickiego czy Kościołów i wspólnot wyznaniowych, a konserwatyzm jest ostatnią rzeczą dla nich ważną. To zaś oznacza, że w starciu z silną grupą religijną, której fundamentem jest wiara w Absolut, pozostają – na dłuższą metę – bezsilni.

Walka polityczna z islamem może być, jak pokazuje historia Willie Dille, niebezpieczna, a trudno znaleźć ludzi, którzy chcą umierać dla... legalnej marihuany czy wolności dla homoseksualistów. I dlatego populiści – mimo sukcesów – pozostają w istocie bezsilni wobec marszu islamu. Jeśli chcą zachować wierność zachodnim standardom, to jedyne, co im pozostaje, to... właśnie samobójstwo. Innej drogi, jeśli nie chcą dokonać masowych ekstradycji, a to wiąże się z... walką i możliwymi pogromami, nie ma.

No, chyba że ktoś zdecyduje się, jak van Doorn, na konwersję na islam. To, wbrew temu, co może się wydawać, także jest konsekwencją przyjęcia populistycznych założeń. Uznanie, że Europa jest za słaba, by się obronić, może skłaniać do przyjęcia islamu, przyłączenia się do zwycięskiej – na dłuższą metę – większości, która – co świetnie pokazał Michel Houellebecq w „Uległości” – akurat mężczyznom daje naprawdę wiele możliwości wygodnego życia.

I dlatego nie powinno zaskakiwać, że co jakiś czas media informują o tym, iż kolejny z aktywistów populistycznych partii przyjął islam. Tak było z Arthurem Wagnerem z Alternatywy dla Niemiec (AfD) czy z Maxence Buttey z francuskiego Frontu Narodowego. Obaj zmienili wyznanie i obaj przekonują, że jest to konsekwencja ich wcześniejszych wyborów. – Front Narodowy i islam mają wiele wspólnego. Obie są demonizowane przez media. Podobnie jak islam Front Narodowy broni najsłabszych. Partia potępia wygórowane oprocentowanie zadłużenia naszego kraju, a islam jest przeciwny lichwie – wyjaśniał Buttey. W świecie miękkich, niepewnych, słabych tożsamości przyłączenie się do grupy o tożsamości mocnej (a przynajmniej mocniejszej) pomaga też odkryć własną tożsamość i cel w życiu. I znowu islam i partie populistyczne są do siebie w tej kwestii podobne, a losy van Doorna i Willie Dille doskonale pokazują, że populizm nie jest realną odpowiedzią na wyzwanie, którym jest islam. Tej trzeba szukać zupełnie gdzie indziej.

Karol Marks musi przewracać się w grobie. Po miesiącach negocjacji czeski rząd uzyskał większość i nowym premierem jest podręcznikowy przykład wielkiego kapitalisty – Andrej Babiš. Kierowany przez niego gabinet może wydawać się egzotyczny: składa się niby tylko z centrowego ugrupowania Akcja Niezadowolonych Obywateli (ANO) i Czeskiej Partii Socjaldemokratycznej (ČSSD). Jednak w rozdrobnionym po ubiegłorocznych wyborach parlamencie taki alians nie mógłby liczyć na większość – stąd potrzeba poparcia ze strony Komunistycznej Partii Czech i Moraw. Komuniści w zamian za tolerowanie nowego rządu otrzymali obietnicę realizacji siedmiu partyjnych postulatów: trwałego wzrostu płacy minimalnej, rewaloryzacji emerytur, ochrony zasobów naturalnych przed sprzedażą obcokrajowcom, wzrostu udziału sektora publicznego w zarządzaniu zasobami wodnymi, opodatkowania restytucji kościelnych, zapobiegania wzrostowi cen mieszkań i wsparcia dla budowy mieszkań komunalnych oraz utrzymania dostępności do opieki zdrowotnej na wysokim poziomie bez obarczania pacjentów dodatkowymi kosztami.

To jednak nie typowy socjalno-etatystyczny katalog (pod większością postulatów podpisałby się pewnie i obecny polski rząd) wywołał sprzeciw ze strony opozycji, ale to, że pierwszy raz w historii Republiki Czeskiej komuniści mają choćby pośredni wpływ na rządy. W przeciwieństwie bowiem do postkomunistów w wielu innych krajach (np. Polsce) ci czescy pozostali na marginesie polityki. Nie przeфарbowali się na nowoczesną socjaldemokrację, tylko nadal odwołują się do marksizmu, chcą obalenia kapitalizmu, a w polityce zagranicznej sprzeciwiają się członkostwu Czech w Unii Europejskiej i NATO. Pikanterii sprawie dodaje przeszłość Babiša. Nie tyle to, że był członkiem Komunistycznej Partii Czechosłowacji: do KPC należeli przecież także inni czescy premierzy, tacy jak Jan Fischer czy Josef Tošovský. W styczniu tego roku słowacki sąd przyznał rację tamtejszemu Instytutowi Pamięci Narodowej, według którego Babiš był współpracownikiem komunistycznych służb, Bezpieczeństwa Państwa (StB).

Z DROBNĄ POMOCĄ PRZYJACIÓŁ

Trzydzieści lat po upadku komunizmu w Czechach i na Słowacji, w których zresztą bardzo szybko przeprowadzono lustrację, taki fakt nie robi na obywatelach

Oligarcha u władzy



Stefan Sękowski

Ma pod kontrolą olbrzymi biznes, największe czeskie media i najsilniejszą partię w Czechach. Andrej Babiš został właśnie premierem z poparciem m.in. czeskich komunistów



FOT. DAVID W CERNY/REUTERS/FORUM

większego wrażenia – pikietę przeciwników nowego rządu gromadzą z reguły raptem po kilkaset osób. Co nie znaczy, że nie mógł mieć wpływu na rozwój kariery Babiša. Ten jest bowiem drugim najbogatszym człowiekiem w Czechach. „Forbes” szacuje wartość jego majątku na 4,6 mld dol. Dla porównania – najbogatsi Polacy, czyli rodzeństwo Dominiki i Sebastiana Kulczyków, posiadają majątek wart 3,8 mld dol. Pochodzący ze Słowacji Babiš to przykład kariery nomenklaturowej. Jako syn czechosłowackiego dyplomaty dużą część swojego dzieciństwa spędził za granicą. Później pracował w czechosłowackiej centrali handlu zagranicznego Petrimexie, a gdy ten – zresztą za jego namową – założył firmę zajmującą się głównie produkcją żywności, Agrofert, Babiš szybko został jej właścicielem.

To znaczy pierwotnie nie on, tylko szwajcarska spółka krzak – OFI. Skąd miała na to pieniądze, tego nie wiadomo: Babiš twierdzi, że otrzymał je od swoich szwajcarskich kolegów ze szkoły. To były zresztą czasy, w których szybko następowała oligarchizacja czeskiej gospodarki. Model powszechnej prywatyzacji zwanej „kuponówką” był źródłem bogacenia się np. najzamożniejszego Czecha, Petra Kellnera. Babiš nie poszedł drogą skupywania drobnych udziałów od nieświadomych, co oznacza być właścicielem, akcjonariuszy, choć Agrofert także gromadził aktywa. Dzisiaj jest największym prywatnym pracodawcą w Czechach: zatrudnia 35 tys. osób, jest m.in. największym producentem wieprzowiny, jednym z głównych dostawców pieczywa i produktów mleczarskich, koncernem chemicznym i producentem pasz. Do Agrofertu należy także spółka Mafra, wydająca m.in. dwie duże czeskie gazety – „Mladá fronta Dnes” i „Lidové noviny”. Firma działa także na polskim rynku, zajmując się głównie skupem i sprzedażą płodów rolnych, nawozów czy środków ochrony roślin.

MILIARDER ANTYSYSTEMOWCEM

Tego było jednak Babišowi za mało. Z czasem postanowił zająć się polityką. W 2011 r. wystartował z założoną przez siebie formacją ANO – i przebojem wszedł do polityki, z hasłami antyestablishmentowymi. Brzmiałoby to może absurdalnie (jak miliarder o już wcześniej bliskich relacjach z politykami może uchodzić za antysystemowca?), a jednak przecież tylko powtórzył to, co wcześniej zrobił we Włoszech Silvio Berlusconi, a niedawno

■ także w Stanach Zjednoczonych Ameryki Donald Trump. Żeby to zrozumieć, warto zdać sobie sprawę z tego, że do czasu jego pojawienia się na scenie politycznej trzęsły nią osoby związane z wcześniejszą opozycją demokratyczną lub co najmniej niezaangażowane w budownictwo socjalistyczne w Czechosłowacji. Przykładowo czeska socjaldemokracja – inaczej niż polska – została założona głównie przez dysydentów i polityków emigracyjnych. A to ułatwiało rozstrzygać ewentualne konflikty. Mimo różnic programowych czeska prawica i lewica potrafiły się ze sobą dogadywać, w efekcie czego zwłaszcza w latach 90. w Czechach funkcjonowało wiele rządów mniejszościowych wspieranych przez opozycję.

Babiš nie był pierwszy, który próbował przebić bańkę i wejść do polityki jako polityk z zewnątrz. W 2010 r. do parlamentu (i rządu) weszła partia Sprawy Publiczne, kierowana przez dziennikarza śledczego Radka Johna, który zresztą został na rok ministrem spraw wewnętrznych. Ugrupowanie, które szło do wyborów z hasłami walki z korupcją, szybko zeszło ze sceny politycznej po... aferze korupcyjnej, w którą zaangażowani byli jej członkowie działacze. Jednak przełomowe okazały się wybory w 2013 r., wieńczące kadencję, w której zarzuty o korupcję i nadużycie władzy osiągnęły apogeum. Służby specjalne aresztowały szefową gabinetu premiera Petra Nečasa z konserwatywno-liberalnej Obywatelskiej Partii Demokratycznej, Janę Nagyovą, która miała zlecić wywiadowi wojskowemu śledzenie żony polityka. Jak się niebawem okazało, robiła to w zupełnie prywatnym celu: szef rządu rozwodził się bowiem właśnie ze swoją ślubną, zaś Nagyová była jego kochanką (zresztą kilka lat później wzięli ślub). Te informacje przelały czarę goryczy licznym innym skandalom, dotyczącym kupczenia stanowiskami czy korupcji. W efekcie Nečas ustąpił, a w Czechach po pewnych przepychankach rozpisano nowe wybory, w których ANO zajęła drugie miejsce i pozostawiła w pokonanym polu m.in. partię Świt znanego z antyimigranckich poglądów czesko-japońskiego biznesmena Tomio Okamury. Babiš został ministrem finansów w nowym rządzie, w którym zasiadali także socjaldemokraci i chadecy.

UNIJNA POLISA

Dlaczego Babišowi się udało, a innym nie? Odpowiedzią może być z pewnością nie tylko egzotyczność konkurencji. Także

fortuna, którą mógł wydawać na kampanię, a także posiadanie wpływowych mediów. Jednak nie tylko: osiągnięte sukcesy biznesmen obiecywał, że będzie prowadził państwo jak przedsiębiorstwo, czyli skutecznie. Ten styl Czechom się spodobał. Jednocześnie jakie poglądy ma Babiš i jaką ideologię wyznaje jego ugrupowanie – właściwie nie wiadomo. ANO to Babiš – mimo że na przestrzeni tych kilku lat, w których istnieje, dochodziło do różnych odejść z ugrupowania, to jednak nie miały one większego znaczenia. Dużą część jej głównych twarzy to byli współpracownicy z okresu pracy w Agrofercie lub któreś z podległych mu firm. ANO jest częścią Sojuszu Liberałów i Demokratów na rzecz Europy (ALDE): centroliberalnej partii paneuropejskiej, której szefem frakcji w Parlamencie Europejskim jest Guy Verhofstadt – w Polsce należy do niej Nowoczesna. Nie należy tego akcesu traktować jako ideowej autoidentyfikacji, raczej bardziej jako polisę ubezpieczeniową na wypadek, gdyby Babiš miał zrobić coś, co mogłoby się w Brukseli nie spodobać. A nie jest wykluczone, że coś będzie mogło – przedsiębiorca jest bowiem mocno sceptyczny wobec dalszego zacieśniania integracji europejskiej, nie chce, by Czechy przyjęły euro, mocno krytykuje także politykę migracyjną Unii Europejskiej. Za słowami idą czyny – już jako premier odmówił Włochom przyjęcia części uchodźców, którzy niedawno przybyli na wybrzeże Italii.

Wiadomo jednak, że jako minister finansów starał się uszczelnić system podatkowy, np. wprowadzając elektroniczną ewidencję utargu. Jednak szybko atmosfera wokół niego zaczęła gęstnieć. Okazuje się bowiem, że od kiedy przedsiębiorca jest ministrem finansów, znacząco wzrosło wsparcie unijne dla firm powiązanych z Agrofermem: o ile w latach 2006–2013 otrzymały one 160 mln euro, o tyle zaledwie w ciągu dwóch lat jego urzędowania – aż 92 mln euro.

NOWE OBLCZE TRANSPARENTNOŚCI

Sam Babiš wydaje się teflonowy i podejrzania nie wpłynęły na jego sukces wyborczy: ANO zdobyło 29 proc. głosów w listopadowych wyborach i bezapelacyjnie je wygrało. Na korzyść byłego ministra finansów przemawiały zresztą wyniki gospodarcze: niskie bezrobocie i osiągnięcie w 2016 r. pierwszej od 1995 r. nadwyżki budżetowej. W takim układzie

Babiš mógł też zachęcać do głosowania na ANO obietnicami obniżki podatków. Mimo to formowanie kolejnego rządu trwało miesiącami. Powodem były ciągnące się za Babišem już konkretne oskarżenia. Kilka lat temu firma należąca m.in. do jego dzieci otrzymała 1,6 mln euro dotacji unijnej dla małych i średnich przedsiębiorstw, na budowę nowoczesnego ośrodka wypoczynkowo-konferencyjnego 50 km od Pragi – Bocianiego Gniazda, będącego kompleksem zawierającym w sobie nie tylko sale wykładowe, lecz także hotel, restaurację, halę jeździecką i minizoo. Kłopot w tym, że firma należała wcześniej do Babiša, którego trudno określić mianem małego przedsiębiorcy. Podejrzania o wyłudzenie dotacji ma Europejski Urząd ds. Zwalczenia Nadużyć Finansowych (OLAF). Jednak nie tylko: w ubiegłej kadencji Izba Poselska już raz zdecydowała o cofnięciu Babišowi immunitetu, by można było prowadzić śledztwo w tej sprawie.

To był jeden z powodów, dla których rozmowy koalicyjne trwały tak długo. Po miesiącach negocjacji socjaldemokraci zgodzili się na wejście do rządu. W Czechach mamy więc do czynienia z daleko idącą oligarchizacją polityki. O tym, jakie rodzi to zagrożenia, myśleli już tamtejsi politycy w poprzedniej kadencji, uchwalając prawo (wbrew głosom – co za niespodzianka – ANO), które szybko przezwano „lex Babiš” – wygląda bowiem, jakby było żywcem pisane pod jego sytuację. Zakazuje ono członkom rządu posiadania udziałów w mediach, a także spółkom będącym ich własnością, korzystania z publicznych funduszy. Aby zostać premierem, Babiš musiał oddać Agrofert w zarząd funduszowi powierniczemu (z kierownictwem zrezygnował już w 2014 r.). Zdaniem Transparency International to jednak nie wystarczy – 3 sierpnia organizacja oskarżyła polityka o to, że mimo zakazu nadal ma wpływ na zarządzanie firmą. Za to wykroczenie grozi mu kara grzywny o równowartości 10 tys. euro: śmiesznie niska jak na wartość jego majątku.

Jak sprawa się rozwinie, trudno powiedzieć. Babiš jest symbolem nowej ery w polityce, w której biznesmeni starają się wpływać na politykę już nie tylko z tylnego siedzenia, lecz także brać sprawy w swoje ręce. Może tak musi wyglądać zwiększenie transparentności?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.

Ta zmiana gospodarcza nie ma najlepszej prasy. Coraz mniej umów o pracę związanych z pewnym bezpieczeństwem (a jednak pozornym, bo czy nikt, kto ma etat, nie stracił go nagle i niespodziewanie?), a coraz więcej innych form zatrudnienia – w obiegowej opinii sprowadzających się dziś do pojęcia „umowa śmieciowa”.

Być może niechęć wynika z pokolenia, które rozpoczęło pracę albo długo jeszcze pracowało w czasach, gdy zatrudniano głównie na etat. Dla nowego pokolenia Y (urodzeni w latach 1983–1999) taka umowa o pracę nie jest już tą najbardziej pożądaną. Ostatnie badanie „2018 Deloitte Millennial Survey. Millennials disappointed in business, unprepared for Industry 4.0” pokazuje powody tej zmiany oraz jej możliwe podłoże. Młodzi ludzie zaczęli mocno wątpić w etykę biznesu i jest to zapewne jeden z powodów tego, że nie chcą się na długo wiązać z firmami. Aż 43 proc. millennialów planuje, że w ciągu najbliższych dwóch lat zrezygnuje z obecnie wykonywanej pracy. Wśród najmłodszych z nich ten odsetek jest jeszcze dużo wyższy – aż 61 proc. planuje zmienić pracę, a zaledwie 12 proc. chce związać się z pracodawcą na dłużej niż pięć lat.

To dla pracodawców z jednej strony problem, a z drugiej – szansa. Młodzi ludzie szukają bowiem w pracy zaspokojenia pewnych potrzeb, m.in. możliwości rozwijania konkretnych kompetencji. Jednak nie tylko. – Coraz częściej upatrują szansę na zaspokojenie tych oczekiwań w pracy opartej na nietatowych formach zatrudnienia, rośnie zainteresowanie krótkoterminowymi kontraktami zawieranymi w celu realizacji konkretnego projektu – mówi



FOT. FOTOLIA

O nowej gospodarce w Krynicy



Łukasz Zboralski

Już na początku września jak co roku tysiące gości przyjadą do Krynicy, by wziąć udział w największej konferencji w Europie Środkowo-Wschodniej. O gospodarce rozmawiać będą przedstawiciele rządów, parlamentarzysty, prezesi wielkich firm i przedstawiciele biznesu z ponad 60 krajów. Podczas tegorocznego Forum Ekonomicznego odbędą się m.in. dwa panele poświęcone nowej gospodarce: „W poszukiwaniu nowoczesnego rynku pracy dla nowej epoki. Trendy, dyskusje, działania” oraz „Elastyczne zatrudnienie: globalny chaos czy nowa równowaga rynku pracy?”

Magdalena Bączyk, menedżer w dziale konsultingu Deloitte.

62 proc. biorących udział w tym badaniu młodych ludzi, którzy zamierzają opuścić pracodawcę, uznaje

niestandardowe formy zatrudnienia za alternatywę dla etatu. Tylko 13 proc. z nich taką opcję odrzuca.

Wygląda więc na to, że rynek pracy pod tym wzglę-

dem będzie się jeszcze stale zmieniał – i raczej liberalizował formy zatrudnienia. Część ludzi będzie z tego zadowolona, część będzie taki model krytykować, głównie za redukcję świadczeń społecznych. Nie zmieni to faktu, że właśnie takiej pracy oczekują młodzi – a więc przyszli pracownicy. A jeśli młodzi chcą jak największej elastyczności, która pozwoli im szybko zmieniać pracodawcę, to na to wyzwanie musi też odpowiadać państwo i wciąż uelastyczniać prawo pracy. Jak to robić? Zastanawiać się nad tym niebawem będą eksperci Forum Ekonomicznego w Krynicy podczas panelu „W poszukiwaniu nowoczesnego rynku pracy dla nowej epoki. Trendy, dyskusje, działania”.

Na krynickim Forum poruszony zostanie jeszcze inny, ważny aspekt tak zmieniającego się rynku pracy. Eksperci rozmawiać będą o tym, czy elastyczne zatrudnienie to naprawdę nowy model trwałości tego rynku. Jeśli pozwala lepiej dopasować się pracodawcy do oczekiwań pracowników, to czy może to być prosta droga do globalnego chaosu? Elastyczna praca to nie tylko same zalety. Ludzie, którzy przy wykorzystaniu nowych technologii mogą pracować z rozmaitych miejsc, przestają się ze sobą spotykać w zakładach pracy. Według Międzynarodowej Organizacji Pracy właśnie taka izolacja powoduje u ludzi niepewność i społeczne wyalienowanie. A jeśli tak jest, to czy można temu zaradzić? Tego dowiedzą się ci, którzy wezmą udział w panelu „Elastyczne zatrudnienie: globalny chaos czy nowa równowaga rynku pracy?”. © Wszelkie prawa zastrzeżone

XXVIII Forum Ekonomiczne odbędzie się w Krynicy w dniach 4–6 września 2018 r.



FOT. JERZY DUDEK

Polska na lądzie



Agnieszka Niewińska

Czy warto zabiegać o polską wodę w PKP i polskie masło w Sejmie?

– Globalne marki buduje się, zaczynając od rynku lokalnego – twierdzą eksperci

Maciej Dulak, członek zarządu Klubu Jagiellońskiego, był zaskoczony, kiedy w pociągu PKP InterCity w ramach poczęstunku otrzymał Nałęczowiankę, bo choć nazwa wskazywałaby, że jest to polski produkt, marka ta należy dzisiaj do szwajcarskiego koncernu Nestlé.

– Sprawdziliśmy, jak jest w innych krajach. Okazało się, że w Niemczech, Wielkiej Brytanii, we Włoszech czy w Hiszpanii podróżni otrzymują prawie wyłącznie rodzime produkty. Tymczasem w polskim pociągu nie można napić się polskiej wody – mówi Dulak.

Klub Jagielloński koordynuje rozwój aplikacji Pola pozwalającej sprawdzić, na ile dany produkt jest polski. Dlatego też wraz zespołem Poli zdecydował się uruchomić akcję #PolskaWoda. W jej ramach wysłał pismo do Ministerstwa Infrastruktury, które z kolei skierowało pismo do PKP InterCity, a te do spółki Wars. Kilka tygodni temu zdecydowano, że w pociągach Express InterCity i Express InterCity Premium podróżnym podawana będzie woda Ostromecko firmy FoodCare z podkrakowskiego Zabierzowa. – Ciężko jednak stwierdzić, że jest to sukces cieszą-

cej się popularnością akcji #PolskaWoda, gdyż spółka WARS SA zadeklarowała, iż nowa woda na pokładach pociągu PKP IC jest efektem prowadzonego od lutego postępowania przetargowego. Niemniej jednak cieszy nas po prostu to, że w polskim pociągu serwowana będzie polska woda – kwituje Dulak.

O zmianie dostawcy PKP InterCity poinformowało w lipcu, tłumacząc, że „oferent wody Ostromecko spełnił wymagane warunki oraz zaoferował najniższą cenę dostawy”.

POŚLOWIE I DUŃSKIE MASŁO

Kolejna akcja twórców Poli prowadzona jest wspólnie z redakcją „Świat Rolnika”. Tym razem chodzi o masło – duńskie. Podawane jest w polskim Sejmie. – A przecież mamy kilka polskich marek – uznanych,

eksportujących swoje produkty nie tylko do innych krajów UE, lecz także do Azji czy Afryki – mówi Maciej Dulak. Pola i „Świat Rolnika” skierowali pismo do szefowej Kancelarii Sejmu. – Zwłaszcza instytucje publiczne, utrzymywane z naszych podatków powinny zadbać o to, aby korzystać z produktów polskich firm. Jeśli chcemy budować markę „Made in Poland”, musimy zaczynać od rzeczy małych. To, że w polskich liniach lotniczych będą serwowane polskie marki, przynosi efekt promocyjny, utrwala wizerunek polskich produktów. Docelowo ułatwia też wejście polskim firmom na rynki zagraniczne. Nie bez powodu rodzimą wodę serwują niemiecka Lufthansa czy British Airways – tłumaczy Dulak. Zaprasza do zgłaszania Klubowi tych instytucji publicznych, które nie korzystają z polskich produktów. – Będziemy pytać, co zdecydowało o takim wyborze – zapowiada.

Doktor Joanna Szalacha-Jarmużek, socjolog ekonomii i organizacji, współtwórczyni programu „Polski Ślad”, który przyznaje certyfikaty dla rodzimych firm, zwraca uwagę, że patriotyzmu gospodarczego musimy się dopiero nauczyć. – W wielu krajach zachodnich od dziesięcioleci stawia się na produkty lokalne. Kupowanie rodzimych produktów jest naturalne, nie trzeba o tym nawet mówić. Polacy po latach deficytu i gospodarczych niedoborów pożąдали produktów zagranicznych, spodziewając się, że są dużo lepszej jakości, co często okazywało się nieprawdą. Wybierania tego, co polskie, musimy się dopiero nauczyć. Stąd akcje edukacyjne, promocyjne. Niektórym mogą się wydawać nietrafione, ale jednak budzą naszą świadomość i widać wzrost świadomości konsumentów – tłumaczy dr Szalacha-Jarmużek. Podkreśla, że patriotyzm ekonomiczny przynosi gospodarce konkretne korzyści. – Polskie firmy zazwyczaj płacą podatki w Polsce, a zysk przeznaczają na inwestycje w kraju. Zagraniczne przedsiębiorstwa częściej czują się bardziej związane z krajem, w którym znajduje się centrala firmy. To tam idzie zysk z działalności w Polsce. W przypadku niektórych zagranicznych sieci dyskontów mamy zazwyczaj taką politykę księgową, w ramach której centrala wystawia polskiemu oddziałowi np. wysoką fakturę za działania marketingowe i w efekcie okazuje się,

że w Polsce firma osiągnęła zerowy czy minimalny zysk – tłumaczy dr Szalacha-Jarmużek.

Według badań CBOS Polacy idący na zakupy zwracają uwagę na: cenę, jakość, a w trzeciej kolejności na pochodzenie produktu. Wzrasta odsetek klientów, którzy przywiązują wagę do tego, czy kupowany przez nich towar jest polski. Według sondażu CBOS z maja 2016 r. uwagę zwracało na to 33 proc. badanych. We wrześniu 2017 r. już 46 proc. – Okazuje się, że jeśli mamy do wyboru dwa produkty o zbli-

Twórcy aplikacji Pola i redakcja „Świata Rolnika” postulują, by w polskim Sejmie podawać polskie masło, a nie duńskie

żonej jakości, to jesteśmy gotowi zapłacić więcej, jeśli produkt jest polski. Trudno nam konkurować w branży RTV AGD, ale za to możemy promować bardzo dobrej jakości polskie produkty chemiczne czy spożywcze – podkreśla Maciej Dulak.

SKANOWANIE POLA

Jednak w dobie gospodarki globalnej wybranie w sklepie polskich produktów okazuje się być nie tak prostym zadaniem. Wiele rodzimych marek przeszło w ręce zagranicznych koncernów. Konsumentom w dokonaniu świadomego wyboru pomaga Pola – aplikacja na urządzenia mobilne. Zadebiutowała w 2014 r. Od tamtej pory ściągnęło ją blisko pół miliona osób. Użytkownicy za pośrednictwem aplikacji sprawdzili już ponad

6 mln produktów. Pola po zeskanowaniu kodu kreskowego produktu ze sklepowej półki daje odpowiedź na pytanie, czy został on wyprodukowany w Polsce, przez firmę z polskim kapitałem oraz czy firma prowadzi badania rozwojowe w naszym kraju. – Chcemy, by sprawdzenie produktu było jeszcze łatwiejsze. Firmy, które uzyskały w aplikacji maksymalną liczbę 100 punktów, w ramach umowy licencyjnej z nami będą mogły posługiwać się logo aplikacji Pola. Będzie wiadomo, że to w 100 proc. polski produkt bez wyciągania telefonu – tłumaczy Dulak.

Doktor Joanna Szalacha-Jarmużek podkreśla, że w patriotyzmie gospodarczym nie chodzi o to, by zaprzestać kupowania bananów. – Jednak jeśli je kupujemy, to wybierzmy lokalny sklep zamiast zagranicznego marketu. Jeśli sięgamy po butelkę wody, to wybierzmy tę od polskiej firmy, a jeśli takiej nie znajdziemy, to sięgnijmy po produkt firmy, która przynajmniej produkuje w Polsce – mówi. I zaznacza, że patriotyzm gospodarczy to społeczna gra zespołowa. Nie wystarczy jedynie decyzje zakupowe zwykłego Kowalskiego. – Kluczową rolę odgrywa zachowanie dużych graczy na rynku – takich jak spółki Skarbu Państwa. Jeśli firmy te wybierają polskie produkty rodzimych dostawców, to wyznaczają w ten sposób trend. To, że patriotyzm ekonomiczny przynosi rezultaty, pokazują przykłady takich krajów jak chociażby Japonia czy Korea Południowa. Ich globalne marki powstały na bazie rynku lokalnego. Oczywiście kilkadziesiąt lat temu gospodarka nie była tak zglobalizowana, nie było tak szerokiej oferty produktów jak dziś, ale po części to lokalni konsumenci stworzyli potęgę znanych dziś na całym świecie japońskich czy koreańskich marek.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Plebiscyt „Do Rzeczy” – „100% Polski Produkt”

Od 2016 r. redakcja „Do Rzeczy” wraz z PwC organizuje konkurs dla przedsiębiorstw, w ramach którego promuje polskie firmy produkujące całkowicie polskie produkty. Jury bierze pod uwagę to, czy przedsiębiorstwo ma w 100 proc. polski kapitał, polską technologię, łańcuch dostaw i polskie komponenty. W plebiscycie przyznajemy nagrodę główną („100% Polski Produkt”). Co roku przypada ona firmie posiadającej w portfolio „100% Polski Produkt”, a także wyróżniającą się zrównoważoną strategią działania, budującą markę polskich produktów na rynku.

W 2016 r. nagrodę główną otrzymała firma Drutex za drzwi tarasowe podnoszone-przesuwne Iglo-HS. W 2017 r. laureatem nagrody głównej została firma Zamel za System Inteligentnego Domu Exta Life. Zgłoszenia do kolejnej edycji plebiscytu „Do Rzeczy” przyjmujemy do 15 września. Szczegóły można znaleźć na stronie internetowej: www.polski-produkt.dorzeczy.pl.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto nas pakuje w węgiel z Rosji

Polska, uciekając spod deszczu – dominacji rosyjskiego gazu, trafia pod rynną – rosnącego importu rosyjskiego węgla. Z powodu braku naszego węgla w 2017 r. sprowadzono do Polski, głównie z Rosji, aż 13,4 mln ton tego surowca – o 60 proc. więcej niż w 2016 r. A szacunki z pierwszych miesięcy tego roku dowodzą, że w 2018 r. import węgla wzrośnie do 17 mln ton – i aż 70 proc. będzie pochodzić z Rosji.

W tym samym czasie zarządy polskich kopalń – po latach topienia swych firm w morzu długów, wskutek swej legendarnej niechęci do naturalnego w czasach dekonstrukcji, naturalnego w dobrze zarządzanych firmach, cięcia kosztów, w tym płac – znów lekką ręką wydają setki milionów złotych na podwyżki i premie dla i tak nieźle zarabiających górników. W sumie – wylczyli dziennikarze „Rzeczpospolitej” – pójdzie na to w tym roku dodatkowo ponad 1,3 mld zł.

Tak, wystarczyło ledwie kilkanaście miesięcy koniunktury, kilkanaście miesięcy wyższych cen węgla i nie oglądając się na ciężkie miliardy złotych długów ciążyących na kopalniach, ich zarządy bez opamiętania wypłacają pracownikom milion za milionem. Zamiast najpierw pospłacać długi wobec ZUS, banków i dostawców oraz potężnie zainwestować w uruchomienie nowych wyrobisk. Po to, by polskiego węgla, którego coraz bardziej brakuje w składach, było pod dostatkiem i nie trzeba go było zastępować importowanym.

Na szczęście nie jest tak, że zarządy kopalń zupełnie nie myślą o przyszłości, czyli o inwestycjach. Bo i na ten cel udało się im wysupłać nieco grosza – choć niestety niewiele więcej niż na płacowe ekstrawagancje, a to już zakrawa na obłąd, by nie napisać ostrzej. Czymże bowiem jest niecały miliard złotych wydany na inwestycje od stycznia do maja, czyli pewnie trochę ponad 2 mld zł w ciągu całego 2018 r.? Zwłaszcza że maszyny górnicze podrożały w tym czasie o kilkadziesiąt procent, bo produkujące je firmy też zwietryły koniunkturę.

Nie zapowiada się więc na to, by polscy górnicy, do których pozostali obywatele w ten czy inny sposób wciąż muszą dopłacać góry pieniędzy (choćby w umarzanych im długach wobec ZUS czy rachunkach za prąd wytwarzany przez firmy, które długo musiały dotować deficytowe kopalnie), zaoferowali nam dostateczną ilość, dostatecznie dobrego i taniego polskiego węgla oraz przestali nas zmuszać do kupowania importowanego. A wiele wskazuje na to, że dalej będziemy musieli kupować również importowany, w tym rosyjski, i jeszcze słono za to płacić polskim górnikom.

A za to, iż tak się dzieje, winę ponoszą politycy, którzy nie dość, że uparli się, by naszą energetykę „po wsze czasy” opierać na węglu, to jeszcze „od zawsze” boją się wymagać od górników – tylko i aż – tego, co bez skrupułów egzekwują od pozostałych obywateli: by nie zmuszali innych do płacenia za własne błędy. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Granice niekompetencji

W sierpniu przez tydzień jeździliśmy rodzinnie po Europie: Wiedeń, Graz, Lublana, Wenecja, Sarajewo. Świetny klimat starych w Lublanie i Sarajewie, zmieszany z socrealizmem budynków stawianych przez ówczesnych socarchitektów. Naprawdę warto. Chociaż zaskoczyło mnie, jak bardzo mużułańskie jest Sarajewo. Trzeba się dobrze nachodzić, żeby znaleźć lokal z piwem i drinkami. Potem na tydzień pojechaliśmy do Czarnogóry. Po drodze przekraczaliśmy dwie granice, które zapadły nam w pamięć – między Chorwacją a Bośnią i Hercegowiną oraz między Bośnią i Hercegowiną a Czarnogorą. Na

potwornie zakorkowane, a na plażach tłok. Brakuje tylko parawanów, żeby poczuć się jak w Łebie w środku sezonu. No i ceny znacznie niższe niż nad Bałtykiem w sezonie, co już odkryli Polacy, których jest tu całkiem sporo. W Barze znalazłem też lokal z rewelacyjną fajką wodną, dwie półki powyżej warszawskich.

Wracając do tematu kolejek na granicy... Przyczyną było to, że kolejkę obsługiwał tylko jeden funkcjonariusz straży granicznej. Robił to sprawnie, dwie-trzy minuty na samochód, ale jeżeli w kolejce jest 200 samochodów, to czeka się kilka godzin. Dlaczego szef służby granicznej, który z pewnością wie o tych kolejkach, niczego nie robi w tej sprawie? Jest kilka możliwych rozwiązań: 1) zatrudnić dwóch-trzech nowych urzędników i dostawić nowe komputery podłączone do systemu kontroli granicznej; 2) uzależnić premie lub wynagrodzenia urzędników od długości kolejki i braku incydentów; 3) zmienić procedury na granicy, np. wybiórczo zaglądać do bagażników wtedy, gdy samochody stoją w kolejce itp.

Każda osoba, która zajmuje wysoki urząd publiczny, powinna starać się usprawniać pracę swojego urzędu. W tym szef służby granicznej powinien dbać o to, żeby nie było koszmarnych kolejek na granicy w szczycie sezonu. Jeżeli tego nie robi, to znaczy, że nie wykonuje dobrze swojej pracy. ©

**Jeżeli jakiś kraj
wita turystów
pięciogodzinną
kolejką
samochodów,
to źle o nim
świadczy**

pierwszej staliśmy w kolejce półtorej godziny, na drugiej – dwie i pół. W drugim przypadku mieliśmy szczęście, bo ci, którzy przyjechali na granicę godzinę po nas, musieli stać pięć godzin lub więcej.

Jeżeli jakiś kraj wita turystów pięciogodzinną kolejką samochodów, to źle o nim świadczy. Być może jednak w Czarnogórze władzom na tym nie zależy, bo miasta mają bardzo obłożone, ulice

Author pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: XIAOMI MI MIX 2S

Atrakcyjna cena, elegancki design, wysoka wydajność, podwójny aparat fotograficzny oraz możliwość ładowania bezprzewodowego. To największe zalety modelu Mi MIX 2S, czyli flagowca od chińskiego producenta smartfonów, który po zdobyciu dużej części chińskiego i indyjskiego rynku szturmem wchodzi do Polski.

Flagowce są nierzadko luksusowe limuzyny. Mają więc wszystko to, czym inżynierowie danej marki potrafią się pochwalić. Smartfon musi być więc piękny i świetnie wykonany. Ten warunek Xiaomi, w czarnej lub białej smukłej obudowie łączącej szkło, odporną na zarysowania ceramikę oraz metal, spełnia bardzo dobrze.

Dobre wrażenie robi również panoramiczny wyświetlacz o proporcjach 18:9, przekątnej 5,99 cala i rozdzielczości 2160 x 1080 (Full HD+). To gorsza rozdzielczość, niż oferują drożsi konkurenci, ale ekran jest ostry i jasny, a wyświetlane kolory bardzo naturalne.

Chiński smartfon jest też bardzo szybki – odpowiadają za to wydajny, ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 845 oraz 6 GB pamięci RAM. Telefon fantastycznie radzi

sobie z obsługą wymagających aplikacji oraz gier.

Na dane mamy teoretycznie 64 GB, czyli w praktyce nieco ponad 50 GB. Bardzo sprawnie działa również umieszczony na tylnym panelu czytnik linii papilarnych. A osobom, które korzystają z numeru prywatnego i służbowego, do gustu przypadną Dual SIM czy możliwość używania jednocześnie dwóch kart nanoSIM. Płacący smartfonem cieszą się z kolei z modułu NFC.

Plusem Mi MIX 2S są również dwa aparaty fotograficzne o rozdzielczości 12 Mpix i przysłonami f/1.8 oraz f/2.4. Zdjęcia robione w dobrym, dziennym świetle są świetnej jakości. Nie jest to jednak smartfon idealny. Wyraźnie gorzej wygląda bowiem jakość fotografii wykonanych w trudnych warunkach



oświetleniowych (jest istotnie więcej szumów). Słabo wypada zaś jakość selfie wykonanych aparatem o rozdzielczości 5 MP, a także filmików, na których – jak na flagowca – widać zdecydowanie za mało detali.

Szkoda również, że nie jest wodoodporny. Mi MIX 2S został również pozbawiony złącza jack 3,5 mm – oczywiście w zestawie jest specjalna przejściówka do USB typu C, ale i tak z punktu widzenia użytkownika to istotna wada. Jeszcze bardziej pojemna mogłaby też być bateria. Akumulator o pojemności 3400 mAh dla normalnych użytkowników

powinien wystarczyć od rana do wieczora, ale pod koniec dnia trzeba już szukać ładowarki.

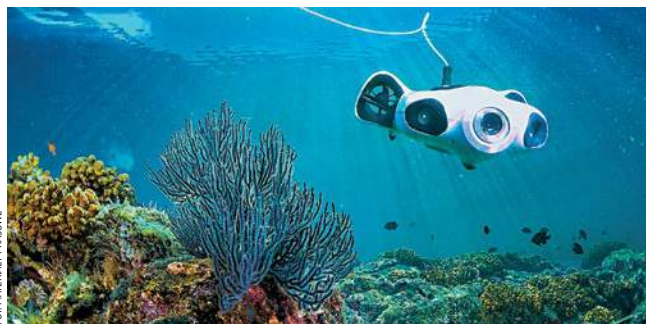
Cena: ok. 2,2 tys. zł. ©©

Jacek Przybylski

DRON PODWODNY

Niby największe upały już za nami, ale pogoda i tak zachęca do pobytu nad wodą. A jeśli ktoś ma okazję i możliwość, by wybrać się nad akweny nieco czystsze niż nasz Bałtyk i lokalne jeziora, to być może zainteresowany będzie zrobieniem unikatowych podwodnych zdjęć. Taką możliwość stwarza mu BMW-Space, prosty w obsłudze dron. Gadżet przypominający nieco hybrydę miniaturowego skutera wodnego i pontonu „uzbrojony” jest w kamerę (z automatycznym doświetleniem) pozwalającą nagrywać filmy 4K oraz mechanizm autopilota umożliwiający zaprogramowanie powrotu drona we wskazane miejsce. Oczywiście oprócz kamery 4K można także robić zdjęcia w jakości Ultra High Definition i zapisywać je w pamięci wewnętrznej – 128 GB, a także – zdalnie – przeprowadzić streaming spod wody i zamieścić film w mediach społecznościowych.

Co ciekawe – dron może filmować akcję pod wodą nawet do głębokości 100 m, pozostając pod naszą kontrolą tak długo, jak długo jesteśmy nie dalej niż 500 m od niego. Zabaweczka, którą można zamawiać już na Kickstarterze, niestety nie jest tania – trzeba liczyć się z wydatkiem ok. 2,6 tys. zł.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRAWIE JAK MĄŻ IDEALNY

Poznajcie, proszę, Wektora. Wektor jest zawsze szczęśliwy, gdy widzi panią (lub pana) domu, okazuje swoją radość i bardzo chętnie spieszy jej/mu z pomocą, udzielając odpowiedzi na różne, trudne pytania. Wektor nie jest społecznym pantoflarzem. Jest uczącym się robotem, który ma pomóc znaleźć pilną odpowiedź na nurtujące właściciela problemy. Jakże? Na przykład ile kalorii mają dwa awokado, które pani/pan Wektora zamierzają właśnie zjeść, jak długo i jaką najlepszą drogą będzie się jechać z Poznania do Warszawy lub z Tokio do Rzymu albo kiedy nadejdzie kolejne zaćmienie Księżyca. Wektor podpowie też, jaka jest aktualna pogoda na zewnątrz albo – jeśli wydamy mu takie polecenie – będzie pilnował pralki i poinformuje, kiedy nadejdzie czas „wielkiego rozwieszenia”.

Zrobi też, na żądanie, fotografie rodziny i jej zaproszonych gości, ewentualnie zagra w blackjacka. Cały czas będzie przy tym rozmowny, uśmiechnięty i sympatyczny, nie powie też: „Cisza w domu, bo gra Kolejorz”. Naszpikowany technologiami i czujnikami rozpozna osoby, przedmioty, w razie potrzeby zamknie lodówkę albo sprawdzi, czy na pewno wyłączyliśmy światło w łazience.

Wektor „widzi” dzięki kamerze HD, „słyszy” i uczy się nowych słów oraz – uważa! – uczy się także emocji. Oglądając w jego towarzystwie romantyczną komedię, możemy się spodziewać, że wybuchnie śmiechem albo zaleje się łzami.

Urządzenie można zamawiać na Kickstarterze, a kosztuje (w podstawowej wersji) ok. 750 zł. Dostawa w październiku. Jeden problem – ze względu na aplikację systemową Wektor rozpoznaje tylko język angielski. ©©

Wojciech Wybranowski





Joanna Bojańczyk

Zatłoczony w lecie, wszystkie uroki eleganckiego kurortu Sopot rozwija po sezonie

Miasto idealne

Kto nie chciałby mieszkać w Sopocie? To niewielkie miasto oferuje swoim mieszkańcom najpiękniejsze leśno-nadmorskie położenie, wczasowiczom – szeroką plażę, szpanerom – luksusowe hotele, młodzieży – kluby i dyskoteki. Czaruje willową zabudową z przełomu XIX i XX w. Rezydencje zamożnych rodzin żydowskich i niemieckich otoczone pięknymi ogrodami przetrwały zawieruchy dziejowe. Willa Herbstów należąca do niemieckiej rodziny z Łodzi, udająca zamek krzyżacki willa Friedricha Basnera, handlarza zbożowego, willa Immanuela Bergera, Claaszena...

– Miasto idealne – mówi o rodzinnym Sopocie architekt i urbanistka z Politechniki Warszawskiej dr Magdalena Staniszkis. – Sopot nie jest wyizolowany, jest częścią dużej aglomeracji. Jednak zarazem ma własną mocną identyfikację. Taka mała odczytna. Ludzie z Trójmiasta wiedzą, kto jest z Sopotu, a nie np. z Orłowa czy z Wrzeszcza. Sopot, jako część aglomeracji, ma także dodatkowo kontakt z kulturą i ze wspólną przyrodą. A piękny krajobraz, dobra jakość powietrza i płynące z tego korzyści doznań estetycznych to jest bonus.

Sopot ma dwie twarze: dolną z „Monciaka” – popularną, plażową, hałaśliwą.

I górną: spokojną, elegancką, willową, uliczki z domami w ogrodach, położone na zalesionych wzgórzach, w miejscach, gdzie nie docierają turyści.

O tym, jak dobrze tu mieszkać, świadczą ceny nieruchomości. Z raportu GUS z grudnia 2017 r. wynika, że w Sopocie są najdroższe mieszkania w Polsce ze średnią ceną 8862 zł za mkw. Ludzie kupują tu mieszkania inwestycyjnie, żeby je wynająć w sezonie, lub po prostu po to, by wynieść się z Warszawy czy Krakowa i zamieszkać wśród przyrody, nad morzem, w spokojnym otoczeniu. Z pewnością na wysokość średniej wpływają horrendalne ceny luksusowych apartamentów. 800-metrowy apartament La Playa całkowicie wyposażony (nawet w bieliznę pościelową) kosztuje 21,7 mln. 27 tys. zł za metr kwadratowy. Znajduje się w ofercie domu aukcyjnego Sotheby’s – agencji, która zajmuje się wyłącznie nieruchomościami z najwyższej półki. Klientów mają przyciągnąć m.in. odrestaurowane fragmenty malowideł i oryginalnej posadzki, neobarokowa elewacja ze zdobieniami i francuskie wieżyczki.

WANNA Z CIEPŁĄ WODĄ

Czy Sopot był uzdrowiskiem niemieckim? Odpowiedź na to pytanie nie jest

prosta. Miasto miało wielu właścicieli. W XIII w. mocą dekretu księcia gdańskiego Mściwoja II wieś trafiła do oliwskich cystersów i w ich rękach pozostała prawie 500 lat – do czasu, gdy dobra kościelne zostały odebrane po I rozbiórze Polski. Cystersi dzierżawili ziemię bogatym gdańskim kupcom, którzy budowali tam letniskowe dwory. Gdy latach 1733–1734 miasto zostało spalone przez oblegające Gdańsk wojska rosyjskie, sopockie dwory zostały opuszczone przez gdańskich patrycjuszów i pozostały niezamieszkanymi aż do połowy XVIII w. Wtedy większość z nich wykupili magnaci z rodu Przebendowskich.

Część z nich Przebendowscy sprzedali gdańskiemu kupcowi Carlowi Christophowi Wegnerowi.

On pierwszy dostrzegł potencjał morski Sopotu i w roku 1818 zbudował tu „zakład kąpielowy” z wannami do ciepłych kąpieli. W połowie XIX w., gdy rozpoczynała się moda na wyjazdy „do wód”, osada zaczęła przekształcać się w letnisko. Za symboliczną datę powstania sopockiego kurortu uznaje się rok 1823, kiedy dr Jean Georg Haffner rozbudował uzdrowisko.

Potem rozwój następuje szybko. Powstają Dom Kuracyjny, Park Kuracyjny



FOT. PRZESZCIE MAHL/WFOTLIA

W kąpielisku obowiązywała ścisła segregacja płci. Panie osobno, panowie osobno, przedzieleni dwumetrowym płotem. Magdalena Samozwaniec w książce „Maria i Magdalena” cytuje regulamin: „Do kąpieliska kobiet, w granicach wyznaczonych specjalnymi tablicami ostrzegawczymi, nie mogą się zbliżać osoby płci męskiej, jak również miejscowi rybacy, wykonujący zawód. Nie wolno również czynić żadnych obserwacji przy pomocy lornetek. Rozzebrany ludziom nie wolno w okolicy kąpielisk pływać koni i prowadzić do wodopoju bydła”.

Tylko małżeństwa z dziećmi mogły być koedukacyjne. Bezdzielnym czasem problem rozwiązywali, wypożyczając dziecko od rybaków. Do czasu, gdy któreś wypożyczone dziecko nie utonęło i sprawa się wydała...

KOCIOŁ KULTURALNY

Na początku II wojny światowej Sopot zostaje włączony do III Rzeszy, wiosną 1945 r. wyzwala go Armia Czerwona. Gdy Warszawa i Gdańsk są morzami ruin, Sopot nieoczekiwanie staje się ważnym centrum kultury. Siłami artystów, którzy znaleźli się na Wybrzeżu już jesienią 1945 r., powstaje Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych, później przekształcony w Gdańską WSSP i ASP. Tam rodzi się słynna Szkoła Sopotka, założona przez artystów wygnanych z Krakowa, w większości wywodzących się z kręgu kapiistów. Nie poddali się nakazom odgórnie narzuconego socrealizmu. Ze Szkoły Sopotkiej wyszli Artur Nacht-Samborski, Aleksander Kobdey, Piotr Potworowski.

W Sopocie rodził się również polski jazz. W 1956 r. odbył się tam pierwszy Festiwal Jazz Jamboree, który organizowali m.in. Leopold Tyrmand, Stefan Kisielewski i Jerzy Kosiński. O odwilżowej, buzującej energii atmosferze, która panowała wtedy w kulturalnym Trójmieście, świadczy działalność teatru Bim-Bom, który działał w Gdańsku. Wyszli z niego Bogumił Kobiela, Jacek Fedorowicz, Wowo Bielicki.

W sierpniu 1960 r. rozpoczęła się era Festiwalu Piosenki w Sopocie, którego przez następnych 20 lat słuchała cała wakacyjna Polska. Przed telewizorami w świetlicach zasiadali wczasowicze, przez otwarte okna mieszkań rozbrzmiewały przeboje, panie komentowały fryzury i suknie gwiazd. Festiwal powołany do życia przez Władysława

Szpilmana przez pierwsze dwa lata odbywał się w hali Stoczni Gdańskiej, potem przeniósł się do Opery Leśnej, pięknie położonej i z doskonałą akustyką. Pierwszym konferansjerem był gwiazdorski prezenter muzyczny tamtych czasów, Lucjan Kydryński, znany całej Polsce z radiowej „Rewii piosenek” i z grasejowanego „r”. Później zapowiadali także: pierwsza dama gomułkowskiej telewizji Irena Dziedzic, Mieczysław Voit i Elżbieta Czyżewska.

Złote czasy festiwalu przeżył w latach 1977–1980, kiedy Telewizja Polska rządzona przez Macieja Szczepańskiego chciała zrobić z niego konkurencję dla konkursu Eurowizji. Zamyśl zrealizowano z rozmachem – poczynawszy od charakterystycznej dla propagandy sukcesu telewizyjnej czołówki, przez imponującą scenografię, na doborze gwiazd i nagród (jacht pełnomorski jako Nagroda Publiczności) skończywszy.

Obok lubianych artystów z tzw. demoludów (Karel Gott, Helena Vondráčková) występowały gwiazdy z Zachodu. W 1979 r. zespół pierwszej wielkości, jakim był wtedy Boney M., zaśpiewał przebój „Rasputin”, którego oficjalne radiostacje nie puszczały, bo „godził w sojusz z ZSRS”.

Jednak i tak znali go wszyscy. Telewizja nadała ten występ z jednodniowym poślizgiem, wycinając kontrowersyjną piosenkę.

W latach 1981–1983 festiwal zawieszono. Sądono, że impreza zniknęła na zawsze. Władze zgodziły się wznowić go w 1984 r., ponownie pod nazwą „Międzynarodowy Festiwal Piosenki”, co miało oznaczać normalizację sytuacji w kraju. Pierwszego dnia wystąpił Charles Aznavour. Teraz impreza nazywa się Sopot Festival, ale dawna sława nie wróciła.

Dzisiejszy Sopot jest zadbanym miastem i stara się być kurortem prawdziwie eleganckim. Jednak zabudowa zągęszcza się, pragnienie posiadania apartamentu nad morzem przyciąga bogatych. Czasy, gdy przyjeżdżała tu tylko elita finansowa, minęły. W czasach masowej turystyki na „Monciaku” miesza się młodzież, dresiarze, turyści, snoby i ciekawscy. Szukający spokoju i dawnej atmosfery chronią się z dala od centrum, ludzie kultury spędzają czas w pensjonacie ZAiKS-u.

Tak jest latem. Wtedy mieszkańcy nie chodzą na plażę. Wszystkie uroki miasto Sopot rozwija zimą. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

i pierwszy drewniany pomost o długości 63 m, który w przyszłości stanie się molo.

Jeszcze większą popularność miasto zyskało, gdy przez Sopot poprowadzona została linia kolejowa Gdańsk – Koszalin – Berlin. Na początku XX w. przyjeżdża tu już 12 tys. kuracjuszy rocznie. Po I wojnie, gdy na mocy traktatu wersalskiego powstało Wolne Miasto Gdańsk, Sopot zostaje włączony do jego obszaru, stając się miastem granicznym z Rzeczpospolitą Polską. W roku 1927 ukończona zostaje budowa hotelu Kasino, co jest zwieńczeniem renomy najelegantszego i jednego z najdroższych kurortów wybrzeża bałtyckiego. Rok później do długości 512 m zostaje rozbudowane sopockie molo.

Po I wojnie światowej przyjeżdżanie nad polskie morze stało się niemal obowiązkiem patriotycznym. Najmodniejszy był oczywiście należący do II RP Półwysep Helski, ale szykowne niemieckie Zoppoty również cieszyły się powodzeniem letników. Życie kurortu, jego mieszkańców i letników dokumentują fotografie Karla Ottona von Wechmara, który w latach 1928–1933 pełnił funkcję dyrektora sopockiego kąpieliska. Pokazują turnieje sportowe, zabawy, wyścigi konne, uroczystości miejskie.



Katarzyna Pinkosz

„Macie w rękach życie takich osób jak ja” – mówił na posiedzeniu Senackiej Komisji Zdrowia 48-letni pacjent. Lek ostatniej szansy, który potrafi radykalnie zmienić rokowanie chorych, czeka w Polsce na refundację

Andrzej P. (prosi o niepodawanie nazwiska) przeczy stereotypom, że na przewlekłą białaczkę limfocytową (PBL) chorują tylko osoby po 65. roku życia. Gdy pięć lat temu choroba została u niego zdiagnozowana, miał 43 lata. Zaniepokoiły go niewielkie guzki na szyi. W morfologii okazało się, że ma podwyższoną liczbę limfocytów. Lekarz sugerował, że przyczyną jest infekcja. – Zdziwiło mnie to, bo żadnej infekcji wtedy nie przechodziłem. Wyszukałem w Internecie pięć przyczyn, dlaczego poziom limfocytów może być podwyższony. Jedną z nich była białaczka. Uspokoiło mnie, gdy przeczytałem, że to choroba osób w starszym wieku, czyli mnie to nie może dotyczyć – opowiada.

Kiedy po roku na szyi pojawiły się kolejne guzki, powtórzył morfologię. Poziom limfocytów był już 10 razy wyższy niż norma. Hematolog potwierdził diagnozę: przewlekła białaczka limfocytowa. – Lekarz stwierdził, że mam szczęście w nieszczęściu, gdyż spośród wszystkich nowotworów krwi ten jest „najlepszy”. Nie przypuszczałem, jak bardzo w moim przypadku się mylił – mówi Andrzej.

Wiesława O. (58 lat) takie objawy jak osłabienie, nocne poty, uderzenia gorąca wiązała z klimakterium. – Były dni, że czułam się normalnie, kiedy indziej na okrągło bym spała, nie miałam na nic siły. Zrobiłam morfologię: okazało się, że mam kilka razy przekroczony poziom limfocytów z powodu przewlekłej białaczki limfocytowej – opowiada.

PBL to najczęstsza choroba nowotworowa krwi. Zapadają na nią głównie osoby po 65. roku życia, jednak coraz częściej zdarzają się zachorowania także u osób młodych. W Polsce notuje się 1,9 tys. nowych zachorowań rocznie, choć może być ich więcej, gdyż u wielu

Podstępna białaczka



FOT. FOTOLIA

osób nie daje ona początkowo objawów. – Aż trzy czwarte chorych w momencie rozpoznania PBL nie wymaga rozpoczęcia leczenia. Jedna trzecia z nich nigdy nie będzie musiała być leczona, wystarczy ich obserwować. Zawsze mówimy, że wcześniej rozpoznany nowotwór trzeba jak najszybciej leczyć, jednak w przypadku PBL najczęściej tak nie jest – tłumaczy prof. Wiesław Jędrzejczak, krajowy konsultant ds. hematologii.

Jeśli leczenie jest konieczne, to w zależności od stanu ogólnego pacjenta dobiera się odpowiednią chemioterapię połączoną z immunoterapią. W zdecydowanej większości przypadków choroba wchodzi w stan remisji: cofa się nawet na kilka lat. Jeśli dojdzie do wznowy, to można zastosować kolejne leczenie. Niestety, są też osoby, u których PBL ma przebieg agresywny.

ZŁE ROKOWANIE

Andrzej od razu został zakwalifikowany do leczenia: dostał chemioterapię. Liczył na dobre efekty, zwłaszcza że stan jego zdrowia był znakomity: zawsze prowadził aktywny tryb życia, uprawiał sport. Jednak już w trakcie chemioterapii pojawiły się poważne efekty uboczne: paraliż prawej części twarzy, silna łuszczyca, spadek odporności. Dzięki leczeniu udało się osiągnąć remisję choroby, poziom limfocytów wrócił do normy, jednak bardzo szybko po zakończeniu chemioterapii znów zaczął rosnąć. Po dziewięciu miesiącach z powrotem był na takim poziomie jak przed rozpoczęciem leczenia. – W szpitalu, w którym się leczyłem, właściwie nie miano mi nic do zaproponowania poza powtórzeniem chemioterapii z jednym zamienionym lekiem. Stwierdziłem, że to nic nie da – opowiada.

Ma żonę, troje małych dzieci – nie chciał umierać. Zaczął sam dla siebie szukać leczenia. Kontaktował się z zagranicznymi ośrodkami hematologicznymi. Nie rekomendowały powtarzania chemioterapii, która nie przyniosła u niego efektu, tylko nowoczesne leki, z których żaden jeszcze wtedy w Polsce nie był refundowany. Jego stan zdrowia mocno się pogorszył. – Węzły chłonne na szyi były tak powiększone, że nie mogłem oddychać. W ciągu nocy kilka razy miałem bezdech senny, traciłem oddech na ponad minutę. Wydawało mi się, że jestem już jedną nogą na tamtym świecie – opowiada. Cudem udało mu się dostać do badania klinicznego w Łodzi jednego z innowacyjnych leków – wenetoklaksu.

Wiesława również od razu została zakwalifikowana do leczenia, jednak u niej też choroba szybko wróciła po chemioterapii. W trakcie drugiej chemii pojawiły się powikłania: brak apetytu, silne obrzęki nóg, płyn w opłucnej. Wiesławie zaproponowano nowoczesny lek: ibrutynib, po którym białaczka się cofnęła. Przez półtora roku wyniki badań były bardzo dobre, niestety wiosną tego roku choroba znów wróciła. – Kilka miesięcy byłam w szpitalu, było ze mną bardzo źle, nie mogłam jeść. Miesiąc temu dostałam nowy lek: wenetoklaks – opowiada.

LEKI DLA OPORNYCH

– U części chorych PBL przebiega znacznie bardziej agresywnie. Ich czas przeżycia jest krótki, wymagają innego leczenia. Wiemy, że źle rokują na pewno chorzy, u których stwierdzono delecję chromosomu 17 lub mutację w genie TP53. Dla tych chorych szansą na życie są nowoczesne leki o innym mechani-

u których rozwinie się oporność po ibrutynibie. Lek blokuje białko, którego działanie polega na wydłużaniu życia komórek białaczkowych. Robi to bardzo skutecznie, dochodzi wręcz do rozpuszczenia guza, chorzy zyskują kolejne miesiące i lata życia – opowiada prof. Jędrzejczak.

Wenetoklaks nie jest jeszcze w Polsce refundowany – garstka osób, które są nim leczone, dostaje go głównie w ramach badań klinicznych. W USA i Europie jest on zalecany w leczeniu PBL odpornej na leczenie – zwłaszcza dla chorych, u których z delecją chromosomu 17 i mutacją w genie TP53.

Wiesława przyjmuje lek od miesiąca: efekty są znakomite – czuje się znacznie silniejsza, może wstać, ugotować dla siebie obiad, iść na spacer. Wyniki morfologii ma dobre. Andrzej bierze lek od czerwca ubiegłego roku. U niego co prawda nie stwierdzono mutacji w genie TP53, ale choroba ma tak agresywny przebieg i jest tak samo oporna na leczenie jak u chorych z mutacjami.

– Ten lek to mistrzostwo świata, działa nieprawdopodobnie szybko. Po pięciu tygodniach miałem już morfologię w normie. Guzy na szyi zniknęły po miesiącu, a każdy miał po 4–5 cm. Przyjmuje lek jak witaminę C, bez żadnych skutków ubocznych – opowiada. Może pracować, uprawiać sport. Dzieci nawet nie wiedzą, że jest chory. Większość znajomych też.

Podczas posiedzenia Senackiej Komisji Zdrowia w maju tego roku prof. Tadeusz Robak, prezes Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów, podkreślał, że w hematologii w niektórych przypadkach odstajemy od reszty Europy pod względem dostępu do nowoczesnych terapii. Podawał przykład ibrutynibu, który powinien być dostępny nie tylko dla chorych z mutacją w genie TP53, lecz także dla tych pacjentów, u których standardowe leczenie nie działa, oraz wenetoklaks, który jest już dostępny w 18 krajach w Europie, także na Węgrzech, w Czechach, na Słowacji, w Bułgarii, Chorwacji, na Słowenii. Bez tego leku chorzy, u których przestał działać ibrutynib, bardzo szybko umierają, nawet w ciągu dwóch miesięcy. – Nie mam wątpliwości, że bez tego leku mnie już by na świecie nie było – mówił podczas senackiej komisji Andrzej. – Mają państwo w rękach życie takich osób jak ja.

W hematologii w niektórych przypadkach odstajemy od reszty Europy pod względem dostępu do nowoczesnych terapii

zmie działania, takie jak ibrutynib, idealisib i wenetoklaks – potwierdza prof. Iwona Hus, kierownik Samodzielnej Pracowni Hematologii Doświadczalnej Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.

Pierwszy z tych leków od ubiegłego roku jest już w Polsce dostępny dla pacjentów w ramach tzw. programu lekowego (mogą go jednak otrzymać tylko chorzy z nawrotową PBL, którzy mają delecję chromosomu 17 lub mutację w genie TP53). – Ibrutynib zmienia sytuację tych chorych z opornością na leczenie. Działa równie skutecznie u pacjentów, którzy mają mutację w genie TP53, co u tych, którzy jej nie mają – mówi prof. Wiesław Jędrzejczak.

Niestety, u części chorych po pewnym czasie nowotwór przełamuje działanie leku. Tak się stało w przypadku Wiesławy. Gdy choroba wraca, jedyną szansą (poza przeszczepieniem szpiku u młodszych chorych) jest lek o zupełnie innym mechanizmie działania. – Wenetoklaks to lek ostatniej szansy dla chorych,



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Złowroga Zawiszanka

Szukam w aktach i w „Prawem i Lewem” jakiegoś budującego dla feministek i genderystek przykładu uciśnionych niewiast z XVII w., gwałconych butem samczego, szlacheckiego kolonializmu. Tymczasem znajduję same awanturniczki i mężobójczynie, infamiski i banitki, panie orężne i bojowe, prędzej same uciskające niż uciśnione.

I tak w 1607 r. województwem ruskim wstrząsnęła zbrodnia dokonana przez Beatę Solikowską, z domu Zawiszankę, na jej własnym mężu – Jakubie Solikowskim. Mord popełniony został wspólnie ze sługami pana; zapewne także za wiedzą, a może i przyzwoleniem brata Beaty – Jana Zawiszy. Tłem była zapewne waśń rodzinna, wielka nienawiść żony do męża, która być może uwiodła służących we dworze Sienia i Stasia, aby skłonić ich do pomocy w zbrodni. Jak wynika z zeznań tego pierwszego, pani darowała mu konia, aby – jak podaje Władysław Łoziński – „w morderstwie jej pomógł i zachował tajemnicę”. Sień zresztą cieszył się łaskami Solikowskiego, był jego sługą rękodajnym i doświadczył od pana licznych dobrodziejstw. Pewnego razu jednak Beata „pana upoiła tak, że zaras spokojnie szedł wшы precz usnął”. Wówczas wysłała kilka razy dziewczkę, aby sprawdziła, czy na pewno śpi. Kiedy ta potwierdziła, weszła do izby ze Stasiem i Sieniem. Staś pierwszy uderzył pana siekierą – obuchem, ale nie zabił, gdyż szlachcic poderwał się przerażony. Wówczas – jak podają akta – „porywającego się pani przyległa na nim pierzyną i współ ze Stasiem dusili; aż go udusili, potem z łoża ściągawszy, szablą Staś go przebił”. W tym czasie Sień przyświecał im, trzymając świecę. Dzisiaj możemy tylko wyobrazić sobie, jak wyglądała ta straszna, nocna scena, oglądać zdysane



postacie zabójców i domyślać się, co kryło się w ich głowach.

Największym problemem po dokonaniu morderstwa stało się – jak to zwykle w XVII w. – zagubienie ciała, a więc ukrycie tak, aby nikt nie mógł znaleźć trupa, gdyż bez zwłok trudniej było zacząć sprawę sądową. Beata chciała, aby Staś utopił nieboszczyka razem z koniem w Dniestrze, tak by wydawało się, że utonął. Jednak sługa wymyślił inny sposób – zwłoki Jakuba zakopano w nawozie pod stajnią, a potem je spalono.

Jak łatwo się można domyśleć, zbrodnia szybko wyszła na jaw, gdyż przeciwko Beacie wytoczył sprawę brat zamordowanego męża – Jan. Piękna Beata Solikowska została schwyтана, jednak od dolnej wieży uratował ją z kolei jej rodzony brat – Jan Zawisza, który zaręczył Solikowskiemu, że pod karą 6 tys. zł (cena dobrej wsi na Ukrainie albo przynajmniej pięciu pocztów husarskich) dostarczy siostrę do Trybunału w Lublinie. Termin procesu jednak minął, więc Solikowski wytoczył Zawiszy proces o zapłacenie zakładu i wywiązała się z tego jak zwykle długotrwała wojna na pozwy i protestacje, bo obwiniony z kolei usiłował dowieść, że dopuszczono się błędów procesowych. Ostatecznie jednak uległ

– kiedy przeciwnik uzyskał na niego wyrok intromisji i rumacji (a więc zajęcia) jego majątków, dostarczył siostrę do Trybunału w Lublinie, a ten z kolei uwolnił go od zapłacenia wspomnianego zakładu.

Teraz wszystko przebiega w piorunującym tempie. Piękna Beata zostaje osadzona w górnej wieży na zamku w Lublinie, a woźny sądu grodzkiego halickiego przeprowadza skrupulatne śledztwo. Wygląda jednak na to, że jego rezultaty są niepomysłne, ponieważ – jak podaje Łoziński – trybunał ruski poleca Janowi Solikowskiemu przysiąc „samosiedm”, to znaczy z sześcioma świadkami pochodzącymi ze stanu szlacheckiego, że to właśnie Beata zamordowała jego brata we śnie. Solikowski znajduje świadków i wykonuje zbiorową przysięgę, a wówczas sąd skazuje bratową na karę gardła, czyli ścięcia mieczem. Wyrok wykonany został w Lublinie, a piękna Beata nie była pierwszą niewiastą, którą stracono w tym mieście lub więziono z wyroku trybunału. Wcześniej zapewne sąd halicki wydał wyrok śmierci na jej sługę – Sienia, który przed śmiercią sporządził dokładne zeznanie opisujące okoliczności morderstwa. Co się stało z głównym sprawcą zabójstwa – Stasiem – tego nie wiadomo, jednak zbrodnia długo odzywała się echem wśród szlachty. Być może dlatego, że zabójstwa małżonkównie zdarzały się często.

Przez cały wiek XVII Władysław Łoziński doszukiwał się w aktach województwa ruskiego zaledwie siedmiu takich przypadków. Z czego i tak jeden proces kończył się dowiedzeniem niewinności żony, a dwa pozostawały zawikłane i nierozstrzygnięte. Statystycznie to o wiele mniej niż dzisiaj, nawet biorąc pod uwagę, że na wspomnianym terenie mieszkało 400 lat temu nawet do 300 tys. ludzi. ©©

PAWŁA KUKIZA RELAKS PRZY GARACH

Czy gotuję? To dla mnie najlepszy relaks. Bardzo lubię zupy. Zawsze zaczynam od ugotowania wielkiego, 10-litrowego gara bulionu, który później można też zamrozić. Rosół umie ugotować chyba każdy, ale o pewnych rzeczach niektórzy zapominają. Najistotniejsze jest to, aby gotować go na małym ogniu od zimnej wody, czyli nie wrzucać do gorącej wody ani warzyw, ani mięsa. Trzeba też pamiętać, by naciąć pora na całej długości, ponieważ wtedy można go dokładnie oczyścić z gromadzącego się tam piasku. Czasem można włożyć mnóstwo wysiłku w przygotowanie zupy, a ona będzie zgrzytała w zębach. Pamiętajmy też o dużej ilości marchewki, bo nadaje rosółowi słodyczy. No i oczywiście dobry bulion robimy z różnego rodzaju mięs, powinny znaleźć się tam i indyk, i kaczka, i kura, i kawałek wołowiny, i gęś, jeśli mamy to mięso. Z tak przygotowanej podstawy zrobienie pomidorowej czy szparagowej albo różnych miksów pod chińską kuchnię to już banał. Można też na bazie bulionu zrobić pyszną i bardzo syjącą zupę z żółtek.

FOT. JACEK DOMSKI/REPORTER



Składniki:

- bulion
- żółdki drobiowe lub gęsie
- ziemniaki
- pieczarki
- biała cebula
- śmietana 32-procentowa
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Do tej zupy najlepiej użyć gęsich żółtek, ale mogą być też kurze. Przede wszystkim musimy je porządnie oczyścić, a następnie kilkakrotnie (nawet pięć razy) sparzyć. Kroimy żółdki (kurze na cztery, gęsie na więcej części), wrzucamy do garnka i zalewamy bulionem w proporcji na jedną część żółtek dwie-trzy części bulionu i gotujemy. W międzyczasie siekamy cebulę na dość drobną kostkę, dusimy ją na maśle, uważając, by jej nie złocić. Wyjmujemy cebulę i dusimy pokrojone pieczarki, aby nabrały ciemnego koloru, a później pieczarki oraz cebulę wrzucamy do bulionu i żółtek. Dorzucamy jeszcze pokrojone w dość drobną kostkę ziemniaki i gotujemy dalej, aby żółdki i ziemniaki były miękkie. Na koniec zagęszczamy śmietaną 32-procentową, doprawiamy solą i pieprzem, a przed podaniem dodajemy dużo koperku. ©© **oprac. raw**

Paweł Kukiz jest postem, liderem Kukiz'15, muzykiem.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

No i przez te grzybki...



FOT. FOTOLIA

Kiedy nasi synowie byli mali, spędzaliśmy wakacje w pensjonacie na Mazurach razem z zaprzyjaźnioną rodziną, także z dziećmi. Na kolację pierwszego dnia sympatyczna właścicielka postawiła przed nami na stole pachnącą potrawkę z grzybów. – Same prawdziwki! – zareklamowała. Znajomy, fachowy grzybiarz rzuciwszy okiem na półmisek, zadekretował bez wahania: „Dzieci, grzybów, których sami nie zbieraliśmy, nie jemy. Koniec. Kropka”.

Zawahaliśmy się, bo w końcu nie było powodów podejrzewać, że właścicielka morduje lokatorów z zimną krwią. Ludzie na Mazurach znają się przecież na grzybach. Chcieliśmy uratować honor gości – odmówić poczęstunku to niegrzeczność. I z minami samobójców połykających arszenik grzyby zjedliśmy. Następną parę godzin było w suspensie...

Jak widać, przeżyliśmy. Jednak podobne uczucie towarzyszyło mi, gdy niedawno na Mazurach znalazłam 20 (rzekomych) prawdziwków i postanowiłam poczęstować nimi przyjaciółkę.

Minę miała równie niewyrażną co my wtedy. Jednak zjadłyśmy i żyjemy.

Nie wiem, czy podobne obawy towarzyszą milionom Polaków, amatorom grzybobrania. Może mają stuprocentowe zaufanie do swojej wiedzy fungologicznej? Chyba tak, bo inaczej grzybobranie nie byłoby naszym sportem narodowym.

Cudzoziemcy się dziwią naszej manii. Szwedzi,

mieszkańcy leśnej krainy, leśnym runem są mało zainteresowani. We Francji, aby zbierać grzyby, trzeba wnieść w urządzenie opłatę, nie słyszałam, żeby ktoś się wybierał do lasu. We Włoszech należy wyrobić „kartę grzybiarza”, w Niemczech wolno zbierać tylko na własny rachunek. W Belgii i Holandii grzybobranie jest w ogóle zabronione (nawet gdyby nie było, to i tak nie mają tam przecież lasów). U nas wolno amerykańka. Ktoś widocznie zapomniał to obstarwić zakazami albo postawie sami są grzybiarzami.

Grybobranie kiedyś mnie nudziło, teraz w chodzeniu po lesie odczuwam przyjemność. A już wrócić do domu ze zdrowym prawdziwkiem (prawuskiem – jak mówią u nas na wsi) to duża przyjemność. I potem zjeść go usmażonego z czosnkiem.

Kiedy to piszę, sezon jeszcze się nie rozkręcił, ale za chwilę grzybiarze ruszą do akcji i w pobliżu naszego domu w Warszawie będę znajdować dowody ich obecności w postaci małpeczek po wódce i puszek po piwie. Jakoś tak się składa, że amatorzy grzybobrania są również amatorami mocnych trunków. No a przy okazji parę osób wylądowało także na oddziałach toksykologii. Przez te grzybki... ©©

NASZ TEST: NISSAN NP300 NAVARA

Teoretycznie to wół roboczy, ale Navara nowej generacji – zwłaszcza w wersji King Cab – to pick-up, który jest na tyle komfortowy, że bez problemu może zastąpić modnego crossovera. Z zewnątrz wygląda zaś na tyle potężnie i brutalnie, że nadaje się na auto i dla drwala (który na pakę ważącego 2 t auta zapakuje aż 1 t ładunku), i dla menedżera, który jadąc na weekend, chce za swoim maszynym pick-upem ciągnąć np. przyczepę z kilkumetrową motorówką lub luksusową przyczepę kempingową (do 3,5 t).

W KABINIE

W pięcioosobowej wersji Double-Cab wnętrze Navary przypomina kabinę typowego crossovera.

Japończycy bardzo się starali, aby auto mniej przypominało wołu roboczego, a bardziej typowy samochód pasażerski.

Co prawda we wnętrzu nadal jest dużo plastiku, ale skórzane, podgrzewane fotele – opracowane we współpracy z projektantami z NASA – są już bardzo wygodne. Narzekać mogą jedynie pasażerowie podróżujący z tyłu: sama kanapa nie jest zbyt komfortowa, brakuje też miejsca na nogi i nad głową.

rozrywki (który poprzez Bluetooth można połączyć ze smartfonem).

JAZDA

Silnik Diesla o pojemności 2,3 l i mocy 190 KM rozpędza długiego na 5,3 m pick-upa od 0 do 100 km/godz. w 10,8 s. Auto jest na tyle dynamiczne, że navarę swobodnie można wyjechać nie tylko w teren, lecz także na autostradę.

Jak na pick-upa navara prowadzi się bardzo przyzwyczajenie. Szttywne zawieszenie sprawia, że na zakrętach wychyla się tylko nieznacznie.

Jak na auto dla prezesa kabina mogłaby być lepiej wytłumiona – zwłaszcza na autostradzie we wnętrzu robi się już bowiem zbyt głośno.

Automatyczna, siedmiobiegowa skrzynia biegów mogłaby szybciej reagować na gwałtowne naciśnięcie gazu, ale i tak przeważnie sprawuje się dobrze.

W trudnych warunkach przydaje się nie tylko odłączany napęd 4 x 4 z trzema trybami jazdy



Auto zapewnia dobrą widoczność. Przydatny jest także system kamer 360 stopni. Przy podjeżdżaniu pod strome wzniesienie można więc na ekranie obserwować, jak wygląda droga przed autem i po jego bokach. System ułatwia również manewrowanie na parkingu.

CENA

Nowa navara jest dostępna wyłącznie z silnikami Diesla.



Na desce rozdzielczej zamontowano 7-calowy wyświetlacz dotykowy, który umożliwia obsługę nawigacji, a także systemu pokładowej

(po asfalcie, po łatwym terenie lub po piasku, śniegu czy po głębokim błocie), lecz także możliwość włączenia reduktora czy asystenta zjazdu.

Plusem jest także stosunkowo niskie spalanie: podczas naszego testu navara w cyklu mieszanym zużywała średnio 8,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Nissan Navara zdobył cztery gwiazdki na pięć, otrzymując 79 proc. w kategorii ochrony dorosłych, 78 proc. w kategorii ochrony dzieci i 78 proc. w kategorii ochrony pieszych.

W opisywanej wersji Double Cab z manualną skrzynią biegów można ją kupić za 128,7 tys. zł. Za eleganckiego wołu roboczego z siedmiostopniową automatyczną skrzynią biegów trzeba już jednak zapłacić co najmniej 151,5 tys. zł, a w wersji Tekna (ze światłami dziennymi i reflektorami w technologii LED, systemem kamer 360 i 7-calowym wyświetlaczem) – 165,5 tys. zł.

KONKURENCJI

Ford Ranger, Mitsubishi L200, Toyota Hilux, VW Amarok ©© **Jacek Przybylski**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

WYWIAD Z „TARZANEM”,
BOHATEREM POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO

Marcin Bartnicki – **Ludowe Wojsko Patologii**

Jarosław Kapsa – **Zgnoić „kota”**

Piotr Zychowicz – **Żydowska agentka gestapo**

Spór o powstanie – **Janusz Korwin-Mikke kontra Tadeusz Płużański**

Rafał A. Ziemkiewicz – **Antysemityzm klasowy**

Sławomir Cenckiewicz – **Agenci tajnych służb PRL**

Paweł Szulc – **Mroczne tajemnice brata Hermaszewskiego**

Marek Gałęzowski – **Rozwadowski kontra Piłsudski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

ZŁY TYRMAND

Izba Reprezentantów albo śmierć



MATTHEW TYRMAND

MARCIN MAKOWSKI: Dawno nie rozmawialiśmy o wewnątrzamerykańskiej polityce. Wielkimi krokami nadchodzą wybory połowy kadencji (midterm elections). Jak w tej chwili wygląda sytuacja republikanów, którzy mają większość w Izbie Reprezentantów i senacie. Zdołają ją utrzymać?

MATTHEW TYRMAND: To pytanie za milion dolarów. Odbijające się raz na cztery lata wybory w połowie kadencji prezydenta powoli wchodzi w decydującą fazę, z kulminacją podczas listopadowego głosowania. W tej chwili republikanie mają w Izbie odpowiednio 237 na 435 przedstawicieli oraz 51 na 100 w senacie. To mało stabilna przewaga. Moim zdaniem, szczególnie w senacie, zostanie jednak zwiększona o kilka miejsc. Podczas każdego wyborów około jednej trzeciej senatorów ulega zmianie, niektórzy zmieniają również afiliacje partyjne. Pod tym względem demokraci mają się czego obawiać. Bodaj 10 pochodzi ze stanów, w których wygrali Donald Trump i Mitt Romney. To „przesunięcie na prawo” tradycyjnego matecznika Partii Demokratycznej, czyli „Pasa Rdzy”, wpływa również na decyzje tamtejszych senatorów. Przykład? Wirginia Zachodnia i Joe Manchin, niegdyś demokratyczny gubernator

stanowy, teraz senator, który coraz częściej sam siebie sytuuje politycznie po prawej stronie. Wcale mnie to nie dziwi, ponieważ ludzie tacy jak Manchin to demokraci „starej szkoły”, związani ze związkami zawodowymi i przemysłem ciężkim. Kimś takim w Arkansas w latach 90. był np. Bill Clinton. Dzisiaj związkowcy to często wyborcy Trumpa.

To jednak nie na Senacie, lecz na Izbie Reprezentantów spoczywa większa odpowiedzialność polityczna za kraj, i to Izba ma większe możliwości „przeszkodzenia” w polityce obecnego prezydenta.

To prawda, dlatego prawdziwa bitwa o przyszłość „trumpizmu” odbędzie się właśnie tam. Podział mandatów w Izbie nie jest już tak jasny jak w senacie, a progresywna lewica zupełnie wprost zapowiada, że jeśli przejmie większość, to rozpocznie procedurę impeachmentu. Bez względu na to, czy jest ona konstytucyjnie uzasadniona, duża część mediów już dzisiaj opisuje taki scenariusz jako najbardziej prawdopodobny. Nie wierzę w ich intuicję. Niestety, na niekorzyść republikanów w tych wyborach przemawia całkiem spora liczba polityków przechodzących na emeryturę i przykłady gerryman-

deringu, dokonywane na granicach dystryktów przez demokratyczne władze stanowe. To niemal na pewno przełoży się na mniejszą przewagę w Izbie, ale – tak jak mówiłem w kontrze do większości prognoz – stawiam dzisiaj dolary przeciwko orzechom, że jednak to Partia Republikańska wygra ten wyścig. Ostatnio często mówi się w amerykańskiej polityce o „błękitnej fali” (kolor demokratów), w związku z kilkunastoma dodatkowymi/specjalnymi wyborami. Gdyby jednak przyrzeć się dokładnie, kto i gdzie osiągnął dobry wynik, na plus dla nich wypada tylko zachodnia Pensylwania – tradycyjnie uznawana za rejon głosujący na demokratów. I to w dużej mierze dlatego, że republikanin Tim Murphy wycofał się z polityki, gdy okazało się, że jest hipokrytą popierającym ruchy pro-life, ale prywatnie nakłaniał swoją partnerkę do dokonania aborcji. Demokraci są więc obecnie silni – jak zazwyczaj – głównie w mediach, a nie w terenie.

Do tej pory trend, w którym na półmetku prezydentury wyborcy podchodzą sceptycznie do partii, która wsparła prezydenta, zdaje się potwierdzać. Tak było ze wspomnianym Bilem Clintonem oraz rokiem 2010 i Barackiem Obamą, gdy do głosu doszły konserwatywne oddolne ruchy w stylu TEA Party, co przełożyło się na konserwatywną przewagę polityczną w Kongresie.

Z tą różnicą, że w przeciwieństwie do Clintona i Obamy Donald Trump wypełnia swoje wyborcze obietnice. Amerykańska gospodarka ma się stosunkowo nieźle, a klasa średnia powoli wychodzi z dołka po kryzysie gospodarczym. Jeśli jednak moje przewidywania się nie sprawdzą, a demokraci przejmą Izbę, to wtedy Trump będzie miał przechłapanie. Nieustanne przepychanki, związane ręce, wewnętrzny konflikt na całego. Oby do tego nie doszło. ©©

ROZMAWIAŁ: MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



OKIEM JASTRZĘBIA

Oszustwo etycznie **bardzo** podejrzane

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

No dobra, przyznaję, mam wielką uciechę z różnej maści zaperzaczek i to, prawdę powiedziawszy, uciechę czystą. Już tłumaczę – zaperzaczką to istota żyjąca w przeświadczeniu o posiadaniu wysokich kwalifikacji moralnych. Koniecznie musi o tym informować świat, stawiając się w roli wzorca, drogowskazu, kompasu. Artykułuję owa istota swoją etykę głośno, wrzaskliwie, publicznie i niestety zawsze, ale to zawsze niemądrze. Dyskutować się z tym nie da, no bo to jest zaperzone. Problem zaperzaczek polega na tym, że ich emocje lecą do przodu bez umysłu. Umysł zostaje,

emocje lecą. To jest niezwykle widowiskowe. Lubię to.

Świeży przykład. Jesienią w komercyjnej telewizji ma wystartować program Piotra Kraśki o uchodźcach. Pomysł jest taki, że kilka osób, w tym prowadzący, będą podróżować szlakiem uchodźców, będą z nimi rozmawiać, pokazywać, jak żyją, przedstawiać ich historie, nadzieje itd. Nie mam pojęcia, czy program będzie dobry czy niedobry, przecież go nie widziałem. Produkcja jest komercyjna, czyli ma się oglądać, a sami autorzy (słusznie albo niesłusznie) twierdzą, że to misja. Ale nie o tym tu jest mowa. Tutaj jest mowa o zaperzaczkach.

Głos w sprawie zabrała pani Ludwika Włodek, prawniczka Jarosława Iwaszkiewicza, autorka książki „Prawo. Opowieść o rodzinie Iwaszkiewiczów”, którą to pozycję szczerze polecam nie tylko dlatego, że można się z niej dowiedzieć, iż Wielki Jarek lubił to robić i z żoną, i z chłopakami. Żona wiedziała o jego chłopakach i niektórych, zdaje się, lubiła. Niech mi państwo wybaczą dygresję, ale ja się muszę podzielić czymś absolutnie zdumiewającym. Otóż w jednym z wywiadów pani Włodek powiedziała o swojej prababci, żonie Wielkiego Jarka, że: „Miała fioła na punkcie czystości, co też może utrudniać udane życie seksualne”. Aż się boję pomyśleć, jaką receptę ma pani Włodek na udane życie seksualne, ale zostawmy to, wróćmy do zaperzania.

Oceniając program, którego nie widziałam, napisała o nim: „Jak w ogóle można pomyśleć, że ten reality show może mieć dobre skutki, skoro u jego zarania jest oszustwo bardzo etycznie podejrzane?”. Podział na oszustwa

etycznie podejrzane i na etycznie niepodejrzane wydaje się pasjonujący, ale autorka nie rozwija tego wątku. Zresztą wcale nie chodzi o panią Włodek i o krytykę programu, tylko o coś naprawdę ważnego. O to, że wykształcenie wcale nie daje gwarancji, że ktoś myśli. Że tzw. słuszny gniew okazuje się bardzo często gniewem po prostu głupim, bo gniew zawsze jest zaślepiący. Cieszę się, że po tych moich słowach nikt się już nigdy nie będzie zaperzał, przejdźmy więc do konieczności konfiskaty.

Istnieje pilna potrzeba, ba, konieczność, skonfiskowania piłkarzom z naszej reprezentacji wszystkiego, co mają. No, może coś tam jednak można im zostawić, szczoteczki do zębów i może coś tam jeszcze. Skąd ta potrzeba? Z naszych wielkich oczekiwań i dla ich dobra. Mam przed oczami zdjęcia Anity Włodarczyk, która do imponującej kolekcji swoich medali dodała właśnie złoty medal mistrzostw Europy w Berlinie. Pani Anita na tych zdjęciach ćwiczy na stadionie warszawskiej Skry, przypominającym bunkry po wojnie atomowej. Gołe, wilgotne betonowe ściany, ciemne pomieszczenia, zardzewiałe sztangi i odważniki. Tak rodziła się wielka mistrzyni. A nasi piłkarze?

Gogusie z problemami, ile żelu nałożyć na włoski czy do mokasynów z krokodylęj skóry założyć stópkę czy na gołe stopy. Nie ma wyjścia, próbowaliśmy wszystkiego, różnych trenerów, taktyk, szaleńczego dopingu... Nic nie działa. Nadeszły czasy radykalnych działań. Trzeba im wszystko skonfiskować, wyłowić i zostawić tylko tych, którzy mają w sercu chęć zwycięstwa, a nie mamonę. A buty dawać im tylko na mecze. ©©



FOT. ROBERT CAROŹŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Razem, czyli osobno

GRZEGORZ SCHETYNA: *Za dwa lata w innej rzeczywistości politycznej, po wygranych, zwycięskich wyborach samorządowych i parlamentarnych, będziemy w stanie zorganizować te wybory w taki sposób, że wszyscy staniami obok siebie. Nie będzie różnych uroczystości. Nie będziemy tego dnia pamięci 15 sierpnia czcić osobno czy przeciwko sobie, tak jak jest dzisiaj. Będziemy wszyscy razem za dwa lata, 15 sierpnia 2020 r.*

Trzeba docenić pana Grzesia za szczerość, z jaką przyznał, że tegoroczne (nie) świętowanie przez opozycję rocznicy Cudu nad Wisłą było

Zastanawia mnie z kolei, jaki pomysł ma opozycja na spełnienie swojej obietnicy o wspólnym świętowaniu za dwa lata z tymi, z którymi nie chciała świętować dzisiaj. Nie chciała świętować z władzami, nie chciała też świętować z obywatelami, swój udział w uroczystościach ograniczając do heheszków na Twitterze. Jeśli więc obiecując, że po pogonieniu PiS będziemy wszyscy świętować razem, nie miał na myśli wszystkich swoich kolegów i wyborców, ale także tę pisowską część Polski, to ciekawam pomysłu na zbudowanie w dwa lata wspólnoty zdolnej do świętowania razem, gdy się startuje z punktu, w którym bojkotuje się ważne państwowe uroczystości, okraszając to mniej lub bardziej prymitywnymi kpinami z nich.

Na szczęście dla Schetyny na planowanie wspólnych państwowych obchodów jednoczących społeczeństwo może mieć dużo więcej czasu niż te dwa lata, zwłaszcza jeśli nadal jedynym programem zjednoczonej opozycji będzie pogonienie PiS, a potem się pomyśli o pozytywnym programie. Nie wiem, czy nienawiść do PiS przekroczyła już ten poziom, po którym obietnica zemsty na nim zaczyna wyborcom

wystarczać. Schetyna może więc jeszcze długo czekać na swoją szansę pokazania światu, jak się buduje wspólnotę, bojkotując w międzyczasie kolejne państwowe uroczystości, w tym tę najważniejszą – 100-lecie odzyskania niepodległości.

Czasu nie ma już natomiast prezydent, któremu zostały niecałe trzy miesiące na sprawienie, żeby 11 listopada na trybunie honorowej stał obok niego ktoś jeszcze, poza partyjnymi kolegami i Stanisławem Tyszką w charakterze opozycyjnego rodzynka. Jeśli opozycja otwartym tekstem przyznaje, że świętuje przeciwko, trzeba jej to maksymalnie utrudnić, nawet jeśli będzie to oznaczało bardziej serdeczne zaproszenia, niżby się chciało wystosować, dla osób, które niekoniecznie się lubi i poważa. I które niekoniecznie chcieliby widzieć na trybunach obok siebie partyjni koledzy. Pewnie jestem w mniejszości, ale gdyby 11 listopada miało być podobnie jednopartyjnym świętem jak 15 sierpnia, będzie to porażka prezydenta, który ma mandat i możliwości próbować sklejać to, co już nie tylko urodzonym pesymistom wydaje się niemożliwe do sklejenia. © ©

Schetyna może jeszcze długo czekać na swoją szansę pokazania światu, jak się buduje wspólnotę

przeciwko PiS. Nie żeby ktoś miał jakieś wątpliwości, ale dobrze, że to zostało głośno powiedziane przez bojkotujących państwowe uroczystości. Próbuje sobie wyobrazić jakiś cywilizowany kraj, w którym z nienawiści do rządu opozycja bojkotuje jedną z ważniejszych państwowych uroczystości, ale to chyba nasza specjalność.

PODSŁUCHANE

Dodatkowy pomysł

Grzegorz, Duda zawetował. Musimy coś wymyślić.

Po co wymyślać, Gośka? Lecimy tym, co zawsze: że marionetka, że niesamodzielny i tak dalej.

Ale czy to się klei? Podpisuje – mówimy, że marionetka. Nie podpisuje – też mówimy, że marionetka.

No i gra gitara. Ciemny lud wszystko kupi. Chyba że masz jakiś dodatkowy pomysł, jak pokazać, że to wszystko ukartowane.

No właśnie mam, chociaż łatwo nie było, bo przecież wiesz, że oni żadnego układu nie mieli, Duda z Kaczorem. Słyszałeś o... czekaj, muszę sobie tu z notatek przeczytać... o dipfejk? Że co?

Ja się na tym nie znam, ale Szczerba mi pokazał. Jest taki program, że można do gotowego filmiku wkleić dowolną twarz i ona będzie wyglą-

dać całkiem naturalnie. I myśmy zrobili taki film: Duda z Kaczorem gadają o tej ustawce, robią sztangę, potem zacierają rączki. To znaczy – nieprawdziwi Duda i Kaczor?

No skąd. Wkleiliśmy ich twarze. To znaczy jedną, bo Kaczor był prawdziwy. Jak to?

No... Użyłam nagrania z tego spotkania, kiedy to ty dobijałeś z nim targu w sprawie zmiany ordynacji. Najlepiej pasowało! © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„15.08 – dzień dla Warszawy symboliczny. Zaczęliśmy od złożenia wieńca pod Grobem Nieznanego Żołnierza, następnie pod pomnikiem gen. Józefa Piłsudskiego [...]”.

RAFAŁ TRZASKOWSKI, poseł PO, kandydat na prezydenta Warszawy, na Facebooku



fol. Jerzy Gumowski

Wodzowie-literaci

Gdyby Jarosław Kaczyński napisał powieść, to z pewnością nie byłby to romans miłosny, tylko thriller polityczny niepotrzebujący żadnych elementów „political fiction” czy „fantasy”, bo same twarde realia wlepiłyby czytelnikom gęsią skórę. Owszem, zdarzało się wielkim przywódcom pisać romanse miłosne (exemplum Napoleon Bonaparte, autor „Clissona i Eugenii” oraz „Romansu korsykańskiego”, lub Benito Mussolini, autor antykościelnej powieści „Kochanka kardynała”), lecz tylko za młodu, bo dojrzałe lata służyły politykom do parania się karierą, a gdy piórem, to raczej publicystyką i historiografią „dla potomnych”.

Wśród starożytnych polityków i wojowników czołową rolę jako mistrz pióra odgrywał Juliusz Cezar, autor multirodzajowy, gdyż był twórcą nawet rozprawek gramatycznych („De analogia”), poezji i dramatów. Do historii przeszły wszelako jego nieliczne zachowane dzieła historiograficzne: „Commentarii de bello civili” („Rozważania o wojnie domowej”, niedokończone, zachowały się trzy księgi) i zwłaszcza wspaniałe siedmioksięgi „Commentarii de bello Gallico” („Rozważania o wojnie galijskiej”), uważany — przez swój poziom literacki — za pierwszorzędną dzieło rzymskiej literatury, stawiające Cezara w rzędzie klasyków. Co dawało jego stylowi taką jakość? To, czego brakuje większości dzisiejszych naszych komentatorów politycznych i historyków — profesor Włodzimierz Dzwonkowski: „Niezwyczajna prostota, jasność, rzeczowość, zwartość są cechami pism Cezara” (1938).

Inny wielki wojownik, nowożytny „bóg wojny”, cesarz Napoleon Bonaparte, wspomniany przed śmiercią: „Ledwie dojrzałem, już chwyciłem za pióro pisarza”. Jego biograf, Roger Peyre: „Pragnąc sławy literackiej, Bonaparte chciał zwrócić na siebie uwagę dziełami pisarskimi. Oficerowie artylerii mieli wówczas widocznie dużo wolnego czasu, skoro porucznik mógł być także literatem, filozofem i moralistą” (1888). Pisał bajki („Królik, pies i myśliwy”, „Giulio”), baśnie wschodnie („Maska proroka”), nowele angielskie („Hrabia Essex”), rozprawki filozoficzne („Porównanie miłości ojczyzny z miłością sławy”), psychologiczne („Myśli o samobójstwie”) i polityczne („Wieczera w Beaucaire”), prócz, oczywiście, tekstów wojskowych. Styl miał nierówny. Współczesny mu brytyjski krytyk literacki, William Hazlitt, komplementował Korsykańina („pisał z prawdziwym talen-

tem”), lecz Peyre był bardziej wstrzeźmieliwy: „Pisał dość błyskotliwie, jednak grzeszył emfazą, tak wówczas zwykłą u wielu pisarzy. Spotykamy u niego fragmenty wspaniałe, obok pewnych błędów smaku”. Co dotyczyło głównie miłosnej literatury Bonaparte, jak „Dialog o miłości” i dwa wspomniane romanse (główny — „Clisson i Eugenia” z 1794 roku — był oparty na młodzieńczej pechowej miłości autora do późniejszej królowej Szwecji, 16-letniej Eugonii Clary; notabene trzy czwarte rękopisu tej prozy leży w skarbcu Biblioteki Kórnickiej PAN). Gdy Hugo, Stendhal, Balzac i inni wielcy francuscy pisarze zachwycali się stylem literackim cesarza — chodziło im o jego teksty prawnicze, urzędowe i wojskowe.

Współczesny Napoleonowi amerykański przywódca, Thomas Jefferson, unieśmiertnił swe pióro napisaniem fundamentalnej dla USA, wiekopomnej „Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych”, lecz na tym nie poprzestał. Henryk Katz: „Jefferson zostawił po sobie znaczną spuściznę piśmienniczą” (1965). Były to głównie rozprawki socjologiczne lub broszury polityczne, jak choćby „Summary View of the Rights of British America” (1774), z któ-



Syrokomla (Ludwik Kondratowicz): „Że wy, panowie, pisać umiecie...”



rych czerpano później mnóstwo „złotych myśli”, sentencji i maksym, exemplum: „Kiedy ludzie boją się rządu — mamy tyranie. Kiedy rząd boi się ludzi — mamy wolność”.

W drugiej połowie XIX wieku chwycił za pióro kolejny francuski cesarz — Napoleon III. Stanisław Cat-Mackiewicz: „Napoleon III miał ambicje publicystyczne, stał się więc zamiłowanym publicystą” (1961). Również polemistą (polemizował m.in. z Thiersem) oraz historyografem-eseistą („Likwidowanie nędzy”, „Marzenia polityczne”, itd.). Z jego twórczości zapamiętano dwutomową „Historię Cezara”, głównie wskutek wysnutej tam przezeń parascjencytycznej tezy, że od czasu do czasu Opatrzność desygnuje pewnych ludzi (nadludzi) dla spełnienia wyższego posłannictwa (Cezar, Karol Wielki, Napoleon Wielki). Jego przyjaciel, hrabia Camillo Benso di Cavour, mając 37 lat założył pismo „Risorgimento” (Odrodzenie), z natury rzeczy więc wojował dłuższy czas piórem. Pragnąc uczynić Napoleona III aliantem politycznym (patronem/promotorem/sponsorem zjednoczenia Włoch), i wiedząc jak cesarz jest łasy na wdzięki kobiece — Cavour wysłał do Paryża swą kuzynkę, piękną hrabinę Virginie Castiglione, by negocjowała dlań „w horyzontalnej pozycji”. Robiła to skutecznie — Napoleon III się zgodził i Włochy zjednoczo-

no (lata 60–e XIX wieku). Wdzięczni Makaroniarze przezwali ją „złotą piczą zjednoczenia Włoch”, natomiast historycy ograniczyli się do wzmiankowania „wpływu lubieżnej ponętności włoskiej hrabiny”.

Zjednoczenie Polski (scalenie ziem trzech zaborów) obyło się bez aktów penetracyjnych, tylko odwrotnie: Piłsudski wyjął szablę z pochwy. I gdy już stał się Wyzwolicielem (1918), mógł spokojnie kontynuować pisarstwo. Wcześniej parął się (momentami dość intensywnie) publicystyką gazetową oraz historiografią (praca o Powstaniu Styczniowym), zdążył jeszcze, tuż przed wyzwoleniem Polski, napisać w magdeburzkiej celi (gdzie był zamknięty przez Niemców jako więzień stanu) pracę wspomnieniową „Moje pierwsze boje”. Później, już jako Naczelnik Państwa, wolne chwile poświęcał pisanu, z którego szczególnie się dziś ceni dzieło „Rok 1920” (o wygranej przezeń wojnie bolszewicko-polskiej). Jego pisma wydane pośmiertnie zmieszczono w dziesięciu tomach. Marszałek Francji, Philippe Pétain, uzasadniał wówczas (1935) analogię geniuszu Piłsudskiego i Napoleona I „jako wodza, pisarza oraz męża stanu”, a komplementy pod adresem pióra padały tak wtedy (Tadeusz Dybczyński: „Jest nie tylko człowiekiem czynu, ale i pisarzem w całym znaczeniu tego słowa”, 1934), jak i dziś (Zdzisław Najder: „Był wybitnym człowiekiem słowa pisanego. Możemy tu mówić o mistrzostwie słowa, do którego nie zbliżył się żaden polityk XIX czy XX wieku”, 2015). Nie zapomniano też o honorariach — Jacek Komuda: „Józef Piłsudski nie korzystał z przysługującego mu uposażenia marszałka Polski, oddając je na cele dobroczynne, a utrzymywał się wyłącznie z pisanie i wykładów” (2016).

Za pióra chwytały wtedy również dygnitarze-zbrodniarze nazistowscy — starczy wymienić wielotomowe „Dzienniki” Goebbelsa, czy też „Mein Kampf” Hitlera, katechizm nazistów, który do roku 1944 kupiło prawie 13 milionów Niemców, a od roku 1945 do 2015 jego sprzedaż była zakazana. Gdyby psychopatyczny „ludobójca z wąsikami” wygrał wojnę — bez wątpienia dostałby za „Moją walkę” Nobla literackiego. A tak — dostał go (1953) śmiertelny wróg Hitlera, brytyjski premier Winston Churchill, autor wielu rozpraw o tematyce wojskowej i historycznej tudzież niezliczonych prasowych artykułów.

To, że raczej nie doczekamy się pisarskich występów naszych dzisiejszych prominentów, to chyba bardziej kwestia techniczna aniżeli wolicjonalna, pióra bowiem zostały zastąpione przez elektroniczne klawiatury tableto- laptopów i smartfonów, co nie sprzyja rozpisywaniu się, zwłaszcza gdy talentu do pisania brak. ©©

Waldemar Łysiak



TORII



butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 479b9cb77c